

LUDZIE • WYDARZENIA • PRZEMIANY

KULTURA WSI

KWARTALNIK POPULARNONAUKOWY
NARODOWEGO INSTYTUTU KULTURY I DZIEDZICTWA WSI

W numerze: _____

Ludowe koncepcje choroby

Pośredniczki, mediatorzy, uzdrowicielki

Brud był kiedyś wszechobecny

Jak Lasowiaci oświetlali wnętrza wiejskich izb

Gdy feretron staje się początkiem lawiny odkryć



Spis treści

■ OD REDAKCJI

- 3 *Elżbieta Osińska-Kassa*

■ STUDIA I MATERIAŁY

- 4 **Ludowe koncepcje choroby**
Anna Chowaniec
- 10 **Czarnoból, czyli bylica zwyczajna w etnomedycynie**
Sara Orzechowska
- 15 **Jak Lasowiaci oświetlali wnętrza wiejskich izb**
Magdalena Fołta

■ LUDZIE

- 20 **59. Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym**
Rozmowa z członkami zespołu *Swojacy z Sitna*
Rozmowa z Anną Bałdygą i Roksaną Butrym-Lampard
Izabela Wolniak, Mamadou Diouf
- 29 **Pośredniczki, mediatorzy, uzdrowicielki. Rozmowa z Ewelina Sadanowicz**
Magdalena Trzaska

■ TWÓRCZOŚĆ

- 35 **O twórczości Wiesława Myśliwskiego**
Izabela Wolniak

■ DAWNA WIEŚ W FOTOGRAFII

- 42 **Dożynki na starej fotografii**
Daniel Kamiński

■ PRZEMIANY

- 43 **Brud był kiedyś wszechobecny. Rozmowa z Dorotą Kalinowską**
Andrzej Kazimierski
- 51 **Pomoc sąsiedzka na wsi polskiej – dawniej i teraz**
Zbigniew Masternak
- 57 **Gdy feretron staje się początkiem lawiny odkryć**
Joanka Szewczyk
- 62 **Leczenie na wsi we wspomnieniach Tadeusza Daszewskiego**
Daniel Kamiński
- 68 **Etnograficzna Atrakcja Turystyczna**
Jacek Żukowski

■ RECENZJE

- 74 **Opieka stomatologiczna na powojennej wsi**
Grażyna Olszaniec

■ KONKURS „KORZENIE I SKRZYDŁA”

- 77 **Krajobraz kulturowy wsi Wielkopolski Wschodniej**
Alicja Chęcińska

■ Z DZIAŁALNOŚCI NARODOWEGO INSTYTUTU KULTURY I DZIEDZICTWA WSI

- 83 **Zjazd Szkół Rolniczych**

- 84 **Dzień Dziecka na Ludowo
Wsie Warszawy**
- 85 **Święto Pasterskie w Lipnicy Wielkiej
Bukowińskie Spotkania w Jastrowiu**
- 86 **Etnotrendy – pokaz strojów ludowych
Tradycją odziane**
- 87 **Wieści z biur regionalnych NIKiDW**
- 92 **Kazimierskie granie**
- 93 **Kiermas i Festyn Trzech Kultur w Sętalu**
- 94 **Iłżecki Jarmark Sztuki Ludowej**
- 95 **EtnoBaltica 2025**
- 96 **Odpust św. Rocha z błogosławieństwem zwierząt**

■ 70 LAT CENTRALNEJ BIBLIOTEKI ROLNICZEJ

- 97 **Dzieje Centralnej Biblioteki Rolniczej**
Daniel Kamiński, Elżbieta Kuriata

■ NOWOŚCI WYDAWNICZE – NABYTKI CENTRALNEJ BIBLIOTEKI ROLNICZEJ IM. MICHAŁA OCZAPOWSKIEGO, ODDZIAŁU NIKiDW W PUŁAWACH

- 103 *Krzysztof Makijewski*

■ BADACZE KULTURY LUDOWEJ

- 105 **Leon Bokiewicz – lekarz, ludoznawca Mazowsza Leśnego**
Jacek Żukowski

■ Z KART HISTORII

- 110 **Wybuch II wojny światowej w pamiętnikach chłopskich**
Elżbieta Osińska-Kassa
- 115 **Józef Mikułowski-Pomorski – pierwszy rektor SGGW**
Tomasz Motyka

Drogi Czytelniku!

Jeśli zainteresowało Cię nasze czasopismo, zapraszamy do podzielenia się opinią na jego temat.

Serdecznie zachęcamy do współpracy z redakcją, czekamy na sugestie dotyczące problematyki poruszanej na łamach kwartalnika, artykuły tematyczne związane z profilem czasopisma, opinie na temat zamieszczanych artykułów i polemiki z autorami: redakcja@nikidw.edu.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów.

Prosimy także o rozpropagowanie czasopisma wśród osób oraz instytucji kultury w obrębie Twojej miejscowości.

KULTURA WSI

NR 30 (3) 2025

Redaktor naczelna:
Elżbieta Osińska-Kassa

Sekretarz redakcji:
Agata Biłas-Chwazik

Redaguje zespół:
Agnieszka Brodowska, Mamadou Diouf,
Elżbieta Kuriata, Krzysztof Makijewski,
Grażyna Olszaniec, Joanna Szymańska-
Radziejewicz, Magdalena Trzaska, Izabela
Wolniak

Korekta:
Beata Kozieł-Kulesza, Krystyna Kupiec

Adres redakcji i wydawcy:
Narodowy Instytut Kultury
i Dziedzictwa Wsi
ul. Krakowskie Przedmieście 66
00-322 Warszawa
www.nikidw.edu.pl
tel. +48 22 380 98 00
redakcja@nikidw.edu.pl

Nakład: 2500 egz.

Opracowanie graficzne:
Paweł Jaros

Projekty reklam:
Paula Zasada

Druk i oprawa:
KOLUMB Krzysztof Jański
www.drukarniakolumb.pl

Zdjęcie na okładce:
Szeptucha Artemiuk Paraskiewa
fot. Andrzej Sidor/Forum

Drodzy Czytelnicy,

Oddajemy w Wasze ręce kolejny numer kwartalnika. Tematem przewodnim są tym razem medycyna, higiena i życie codziennie na dawnej wsi. Zagadnienia te zostały wybrane nie bez przyczyny, albowiem Senat ustanowił rok 2025 Rokiem Edukacji Zdrowotnej i Profilaktyki. W artykułach, które zamieszczamy w tym numerze opisujemy, jak podejście do higieny na wsi ewoluowało wraz z postępem technicznym, dostępnością do lekarzy, a także zmianą pokoleniową. Higienizacja wsi, w znaczeniu współczesnym, wdrażana pod koniec lat 50. XX w. zaczęła przynosić efekty dopiero dwadzieścia lat później.

Anna Chowaniec w materiale „Ludowe koncepcje choroby” pisze: *... Jeszcze do niedawna warunki życia na polskiej wsi były skrajnie trudne (do tego pogorszone przez zawieruchę pierwszej i drugiej wojny światowej). Tym stwierdzeniem należałoby rozpocząć wszelkie rozważania na temat choroby i zdrowia na polskiej wsi....*

Jak Lasowiaczy oświetlali wnętrza wiejskich izb dowiemy się z artykułu Magdaleny Fołty z Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej. Jak sobie radzono z tym zagadnieniem, skoro jeszcze w latach 70. w niektórych miejscowościach nie było prądu? Dowiemy się czytając ten bardzo ciekawy materiał.

O tym, kim są szeptuchy, w czym pomagają i jakie mają relacje z cerkwią, Magdalena Trzaska rozmawiała z dr Ewelina Sadanowicz, autorką książki „Szeptuchy. Religijność ludowa na Podlasiu”. Mieszkają na Podlasiu, gdzie przeważa religia prawosławna, ale zjeżdżają się do nich ludzie z całego kraju.

W Twórczości wracamy do Wiesława Myśliwskiego – pisarza, eseisty, dramaturga, jednego z najwybitniejszych twórców współczesnej literatury polskiej. Autor całe swoje twórcze życie związał z kulturą chłopską, a jego utwory są uniwersalną opowieścią o człowieku, jego losie, pamięci i tożsamości.

Dorota Kalinowska, Kustosz Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku, w rozmowie z Andrzejem Kazimierskim mówi o tym, że brud był kiedyś wszechobecny: *... Higiena na wsi, taka, jak ją dzisiaj rozumiemy, zaczęła funkcjonować dopiero od lat 20. XX wieku, a może i jeszcze później. Wcześniej panował brud...*

W roku obchodów 70-lecia Centralnej Biblioteki Rolniczej przedstawiamy kolejny artykuł dotyczący bogatych dziejów instytucji. Tym razem prezentujemy syntetyczną historię Biblioteki napisaną przez jej długoletnich pracowników, Elżbietę Kuriatę i Daniela Kamińskiego.

W Dziale Badacze Kultury Ludowej przedstawiamy sylwetkę Leona Bokiewicza – lekarza, ludoznawcy Mazowsza Leśnego, którego postać nie jest powszechnie znana nawet w środowisku etnologów.

Zapraszamy do lektury
Elżbieta Osińska-Kassa
Redaktor naczelna



Elżbieta Osińska-Kassa – pasjonatka i popularyzatorka kultury ludowej. Od lat zajmuje się organizacją wydarzeń kulturalnych dotyczących promocji dorobku dziedzictwa kulturowego wsi. Autorka i redaktorka artykułów i publikacji poświęconych tej tematyce. Długoletnia pracownica Centralnej Biblioteki Rolniczej. Kierowała Działem Programowym w Narodowym Instytucie Kultury i Dziedzictwa Wsi, obecnie jest Zastępcą Dyrektora Instytutu.

Ludowe koncepcje choroby

Anna Chowaniec



Fragment wnętrza domu wiejskiej zielarki – „babki”, chałupa z Bronkowic, Park Etnograficzny w Tokarni
fot. Mariusz Łęźniak, zbiory Muzeum Wsi Kieleckiej

Ludność wiejska była społecznością głęboko zainteresowaną zrozumieniem świata, w którym żyła. Za pomocą dostępnych jej narzędzi – doświadczenia, obserwacji przyrody, przekazów ustnych i wiary – starała się wytłumaczyć zjawiska, które dotyczyły ducha i ciała. Choroba nie była więc tylko fizyczną dolegliwością, lecz także znakiem zakłóconego porządku: naturalnego, społecznego, moralnego lub kosmicznego.

Jeszcze do niedawna warunki życia na polskiej wsi były skrajnie trudne (do tego pogorszone przez zawieruchę pierwszej i drugiej wojny światowej)¹. Tym stwierdzeniem należałoby rozpocząć wszelkie rozważania na temat choroby i zdrowia na polskiej wsi. Bieda i niedożywienie, stan opieki medycznej, która długo omijała wiejskie domostwa, oraz dopiero rozpoczynające się działania na rzecz higieny i zdrowia publicznego

tworzyły świat, w którym choroba była traktowana jako stały, nieunikniony element życia.

Zarówno wysoka zachorowalność, jak i umiERALNOŚĆ długo były wpisane w los i rytm życia polskiej wsi. Pomimo tego nieprawdziwe i niesprawiedliwe jest postrzeganie ludowych koncepcji choroby i jej leczenia wyłącznie w kategoriach zabobonu czy prymitywnej ignorancji. Ludność wiejska za pomocą narzędzi, które były jej do-

stępne – doświadczenia, obserwacji przyrody, przekazów ustnych i wiary – starała się wytłumaczyć zjawiska, które dotyczyły ducha i ciała.

Warto wpisać tę koncepcję w ogólną historię rozwoju tzw. biomedycyny – medycyny zachodniej czy konwencjonalnej, która oparta jest na dowodach naukowych i praktykowana przez odpowiednio przeszkolonych ekspertów. Innymi słowy, biomedycyna jest to dobrze nam wszystkim znany system medyczny złożony z lekarzy, szpitali, diagnoz, badań, farmaceutyków itd. Biomedycyna także musiała „powstać” – nie jest bytem naturalnym i organicznym, a wypadkową prób, błędów i wyciąganych z nich wniosków. Chociaż przyjmuje się, że jest to system ekspercki, profesjonalny, w opozycji do innych, nieprofesjonalnych, ludowych systemów leczniczych, to nie jest on wolny od wpływów kulturowych czy historycznych. Już w latach 80. Atwood Gaines i Robert Hahn opisali biomedycynę jako system mający spójny zestaw wewnętrznych praktyk, przekonań i reguł – konstrukt kulturowo-historyczny, a więc zmienny i niestały w czasie (m.in. rozwój nauki), odzwierciedlający do pewnego stopnia wartości osób, które go tworzą².

Z tego względu warto jest spojrzeć na ludowe percepcje, definicje, nazewnictwo czy etiologię chorób jako na te również ukształtowane przez kulturę i czas, w których powstały³ – wypadkowe wszystkich, niemożliwych do wymienienia tutaj czynników, wpływające na życie polskiej wsi.

Gdy przyglądamy się ludowym koncepcjom choroby, wyłaniają się dwie kategorie – z perspektywy ludności (nie tylko wiejskiej) tożsame, ale z punktu widzenia Czytelnika potencjalnie interesujące. Jedną kategorię tworzą choroby, które możemy połączyć z konkretnymi, znanymi medycynie zachodniej, jednostkami chorobowymi, ale którym w kulturze ludowej nadawano odmienne znaczenia. I tak *Boża wola*, zanotowana m.in. przez Kolberga (Kaliskie)⁴,

utożsamiana była z epilepsją⁵, a znane nam między innymi z literatury *suchoty*, szybko wyniszczające, „wysuszające” ciało, to gruźlica. Druga kategoria to „choroby ludowe” („culture-bound syndrome”, „folk illness”)⁶, których nie znajdziemy w podręcznikach medycznych⁷. Pomimo że osoby nimi dotknięte niewątpliwie doświadczają realnego cierpienia – zarówno fizycznego, jak i psychicznego, biomedycyna ich nie rozpoznaje (lub nie uznaje). Przykładem może być *susto* – stan somatycznego cierpienia wywołany zaburzeniem relacji między ciałem a duszą, wynikającym z traumatycznego przeżycia⁸.

Z naszej dzisiejszej perspektywy są to dwa zupełnie różne porządki – jeden oficjalnych diagnoz, interpretowanych w danym kontekście kulturowym czy historycznym, np. wsi polskiej, i drugi – chorób „wyłącznie” ludowych. Jednak patrząc na rzeczywistość polskiej wsi – ukształtowaną przez czas, miejsce, warunki – trudno wyznaczyć wyraźną granicę między tym, co medyczne, a tym, co społeczne czy duchowe. Medycyna ludowa tworzyła inny porządek poznawczy, który, jak każda forma wiedzy (w tym biomedycyna), powstał z konieczności zrozumienia otaczającego świata.

Skąd zatem brały się choroby? Za Józefem Bursztą przyczyny chorób usystematyzować można w cztery kategorie: naturalistyczne (te, mające przyczyny biologiczne), magiczno-demonologiczne (mające przyczynę w działaniu boskim lub diabelskim, rzuconym uroku czy klątwie), kosmiczne (wpływ ciał niebieskich), i żywioły, świat roślinny i zwierzęcy (np. pasożyty)⁹. Przyjmy się zatem przykładom „chorób ludowych” spisanych przez polskich etnografów, które ilustrują zaproponowaną przez Bursztę klasyfikację.

Chociaż kategoria chorób naturalistycznych wydaje się najbliższa naszemu obecnemu rozumieniu choroby, także obecnie spotkać można „choroby ludowe” wyjaśniane według tej logiki.



Odczynianie uroku, Stanisław Grocholski (1858–1932), fot. ze zbiorów Muzeum Śląskiego

Ulschynięcie, gibnięcie, przelamanie czy przesunięcie, może pojawić się już przy porodzie i dotyczyć dzieci do 3. roku życia¹⁰. Tłumaczone jest przesunięciem kręgów, wypadnięciem dysku lub nadwyrężeniem mięśni przykręgosłupowych, co zaburza symetrię ciała¹¹. Objawia się płaczem, brakiem snu, problemami z apetytem. W okolicy Szydłowca uważa się między innymi, że efektem *chynięcia* jest guzek, narośl, zgrubienie, które, jeśli nieleczone (tu – masowane) skutkować będzie garbem¹².

Etiologia magiczno-demonologiczna to wszelkiego rodzaju kłątwy, uroki, złe spojrzenia, działania osób i bytów magicznych lub ponadnaturalnych. W ich wyniku chorować mogą nie tylko ludzie, ale także zwierzęta gospodarskie czy plony. Przykładem może być *postrzał*, dotykający i ludzi, i zwierząt, wysłany przez nieżyczliwą osobę i powodujący intensywny ból (np. pleców, Śląsk Cieszyński)¹³. Szczęśliwie *postrzał* dało się niekiedy przechwycić, zanim dostanie się do ciała (konieczny do tego był talent i refleks).

Za szczególnie wrażliwe na działanie ciał niebieskich – przede wszystkim księżyca – uznawano

niemowlęta i małe dzieci. Te mogły na przykład dostać *plączków*, tj. napadów płaczu codziennie o tej samej porze, jeśli kołyska stała w świetle księżyca (Wólka Kątna, woj. lubelskie)¹⁴ albo *boleści wewnątrz* (Żołynia, przemyskie)¹⁵.

Jeśli chodzi o wpływ żywiołów, to jednym z najbardziej znanych przykładów są przekonania o oddziaływaniu wiatru *halnego* na zdrowie psychiczne i ogólne samopoczucie. Ciepły, suchy i porywisty wiatr, wiejący ku dolinom z tatrzańskich wierchów uważa się za powodujący spadek nastroju, bezsenność, bóle głowy, nerwowość, a w najbardziej skrajnych przypadkach nawet samobójstwo. I chociaż nie można zidentyfikować tych objawów jako wynikających wprost z fenuwego wiatru, wiedzą o nim nie tylko Górale Podhalańscy – mówi się, że dokucza on ludziom nawet w Krakowie. Co szczególnie ciekawe, w ostatnich latach przeświadczenie o silnym negatywnym wpływie *halnego* na zdrowie psychiczne miało – raczej metaforyczne niż faktyczne – odzwierciedlenie w nazwie programu przeciwdziałania depresji na terenie Podhala „Aby halny nikogo nie zabrał”.¹⁶

Wydawać by się mogło, że dziś jesteśmy coraz dalej od „ludowego”, niebiomedycznego postrzegania chorób. Medycyna zachodnia nieustannie poszerza swoje możliwości diagnostyczne i terapeutyczne, i coraz mniej schorzeń pozostaje poza jej zasięgiem. Jak pokazują jednak wcześniejsze przykłady, wciąż można spotkać przypadłości o lokalnych etiologiach, nieobecne w systemie biomedycznym. Jedna z takich historii wydarzyła się niedawno na Kaszubach i doskonale ilustruje, jak „choroba ludowa” może z czasem awansować do rangi medycznej diagnozy.

W 2008 roku Gazeta Wyborcza opublikowała artykuł pod tytułem „Kłątwa rzucona na Kaszubów”, gdzie ów termin pojawił się po raz pierwszy. Traktował on o przypadkach ciężkiej, często śmiertelnej choroby wśród kaszubskich dzieci¹⁷. W kolejnych latach podobnych artykułów było więcej: „Kartuzy. Gen kaszubski wciąż groźny, ale już pod kontrolą”¹⁸, „Groźny gen »kaszubski«”,¹⁹ „Kłątwa zabija polskie dzieci!”²⁰. „Kłątwa kaszubska” w medialnym, mającym przyciągnąć czytel-

nika, a zatem sensacyjnym, przekazie opisywana była w następujący sposób:

O „kaszubskiej kłątwie” mieszkańcy okolic Kościerzyny, Kartuz, Wejherowa czy Pucka mówią bardzo niechętnie. Ale to właśnie tu odnotowano najwięcej przypadków choroby. I tu również od pokoleń zdarzały się niewyjaśnione przypadki nagłej śmierci niemowląt (...). Choroba pojawia się nagle, a przy tym zaczyna się bardzo niepozornie – przypomina zwyczajne przeziębienie. Bardzo szybko jednak gorączka rośnie, a dziecko słabnie z godziny na godzinę. Traci przytomność, zapada w śpiączkę. Statystyka jest bezlitosna: jeśli lekarze w porę nie rozpoznają schorzenia, szansa na przeżycie wynosi zaledwie 50 procent²¹. Dlaczego zatem kłątwa? Zdaniem internautów wypowiadających się pod powyższymi artykułami, choroba miała być karą za niestosowne praktyki małżeńskie²². Domniemane kazirodztwo i endogamia wśród Kaszubów miała powodować pojawienie się choroby z braku „świeżej krwi”. Zatem kłątwa była uważana przez osoby



Kobiety z dziećmi sprzedające rozłożone na chodniku rośliny (także zioła). Handel uliczny w nierozpoznanych miejscowościach, źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe



Poradnia Przeciwgruźlicza i Przeciwjagliczna przy Powiatowym Ośrodku Zdrowia w Jarosławiu, 1930
źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

wypowiadające się za efekt zaburzenia przyjętego porządku społecznego.

„Kłątwa kaszubska” to tak naprawdę rzadka choroba genetyczna, niedobór dehydrogenazy 3-hydroksyacilo-koenzymu A długołańcuchowych kwasów tłuszczowych (niedobór LCHAD). Jej pierwsze przypadki zaczęto diagnozować w Polsce we wczesnych latach 90., a niegdyś kojarzona była z zespołem nagłej śmierci noworodków (SIDS). Powoduje, że ciało nie jest w stanie czerpać energii z tłuszczu, tak jak ma to miejsce w zdrowym organizmie, i jeśli osobie chorej nie będą regularnie dostarczane węglowodany, wejdzie ona w stan kryzysu metabolicznego, który może zakończyć się śmiercią. W tym przypadku nawet krótkotrwały głód może zakończyć się tragicznie (trudne warunki życia!)²³. Choroba nie daje od razu objawów i jest na tyle rzadka, że

jeśli dziecko znajdzie się w takim kryzysie, nie będzie to oczywista diagnoza, co znacznie utrudnia skuteczną interwencję. Chorobę można jednak leczyć za pomocą diety i od wielu lat jest ona włączona do panelu badań przesiewowych noworodków. Inspiracją była „kłątwa kaszubska” i to właśnie na Kaszubach rozpoczęto pilotażowy program badań przesiewowych²⁴.

Obecnie wiemy, że nie tylko choroba nie występuje częściej na Kaszubach, ale także że nie ma nic wspólnego z kłątą, pochodzeniem czy zaburzeniem porządku społecznego. Jest to mutacja genetyczna, której wystąpienia nie da się przewidzieć. Osoby nią dotknięte, ich rodziny i opiekujący się nimi lekarze uznają termin „kłątwa/gen kaszubski” za krzywdzący, nieprawdziwy, stygmatyzujący i potencjalnie niebezpieczny²⁵. „Kłątwa kaszubska” pokazuje, że choć żyjemy

w epoce zaawansowanej diagnostyki, wciąż zdarza się tłumaczenie choroby według dawnych schematów – szukając winnych w świecie poza-

biomedycznym. Dziś, dzięki postępowi medycyny i nowych technologii, potrafimy ją jednak skutecznie rozpoznawać i leczyć.

Przypisy:

- 1 Szpak, E., Kulturowa historia zdrowia i choroby na wsi polskiej w latach 1945-1960 [w:] Polska 1944/45–1989, „Studia i Materiały” XI/2013.
- 2 Nie zmienia to jednak faktu, że fundamentem biomedycyny pozostaje metoda naukowa: rygorystyczna, oparta na dowodach i stale weryfikowana, dzięki której biomedycyna reprezentuje poziom skuteczności leczenia nieosiągnięty przez żaden inny system medyczny; Physicians of western medicine: Anthropological approaches to theory and practice, Hahn, R., Gaines, A (red.), Reidel Publishing Company: Dordrecht-Boston-Lancaster 1985.
- 3 Penkala-Gawęcka, D., Antropologiczne spojrzenie na chorobę jako zjawisko kulturowe [w:] „Medycyna Nowożytna”, nr 1/2 1994, s. 5-16.
- 4 Steczko, I., Miętlica, kaduk, boża kaźń, czyli o nazwach epilepsji w polszczyźnie XV i XVI w. [w:] „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis. Studia Linguistica”, nr 1 2002, s. 387–401.
- 5 Jankowiak, L. O nazwach padaczki w polszczyźnie XIX wieku [w:] „Poradnik Językowy”, t. 787, nr 8 2021, s. 84–101.
- 6 Penkala-Gawęcka, D., Antropologiczne spojrzenie na chorobę...
- 7 Zauważmy, że w większości przypadków będzie to kwestia czasu – założyć należy, że niegdyś wszystkie choroby były niejako „ludowe”. To rozwój nauki pozwolił na ich biomedyczną diagnozę i większość chorób już dawno przeszła tego rodzaju drogę. Ale, jak pokażę w dalszej części tekstu, ten proces nadal się toczy.
- 8 Rubel, A., J., O’Neill, C., W., Collado-Ardon, R., Susto: A folk illness, Univ of California Press 1991.
- 9 Burszta, J., Lecznictwo ludowe [w:] Kultura ludowa Wielkopolski, Poznań 1967.
- 10 Rakowski, T., Antropologia medyczna jako stosowana nauka humanistyczna. Założenia, cele, praktyki [w:] Antropologia stosowana, red. M. Ząbek, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2013, s. 355–374.
- 11 <https://epozytywnaopinia.pl/przelamanie-dziecka-a-wiedza-medyczna-co-powinien-wiedziec-rodzic>
- 12 Rakowski, T., Antropologia medyczna...
- 13 Buława, M., Kulturowe uwarunkowania gwarowych nazw chorób [w:] Polonica t. XXXVI 2016, s. 259-274
- 14 <https://teatrnn.pl/leksykon/artykuly/etnografia-lubelszczyzny-medycyna-ludowa/>
- 15 Buława, M., Kulturowe uwarunkowania...
- 16 <https://zakopane.wyborcza.pl/zakopane/7,179294,27753292,depresja-gorala-aby-halny-nikogo-nie-zabral-o-moim-ojcu-mowilo.html>
- 17 Kwaśniewska, A., Choroba genetyczna jako klątwa. Analiza i kontekst dyskursu medialnego dotyczącego tzw. *genu kaszubskiego* [w:] Lud, t. 101 2017, s. 231-252.
- 18 https://expresskaszubski.pl/pl/11_wiadomosci/22030_kartuzy-gen-kaszubski-wciaz-grozny-ale-juzpodkontrola.html
- 19 <https://naszemiasto.pl/grozny-gen-kaszubski/ar/c1-4438080>
- 20 <https://facet.wp.pl/klatwa-zabija-polskie-dzieci-6002903683752577a>
- 21 Ibidem.
- 22 Kwaśniewska, A., Choroba genetyczna jako klątwa...; Chowaniec-Rylke, A. Rzadkie choroby metaboliczne – studium antropologiczne, rozprawa doktorska, Uniwersytet Warszawski, Wydział Nauk o Kulturze i Sztuce, Warszawa 2021.
- 23 Rodzice dzieci z LCHAD doszukują się niekiedy w historii rodzinnej przypadków wczesnej śmierci niemowląt, np. w czasie wojny, tłumacząc, że trudne warunki życia, w tym głód, mogły bezpośrednio przyczynić się do śmierci dziecka, jeśli i ono chorowało.
- 24 Chowaniec-Rylke, A. Rzadkie choroby metaboliczne...
- 25 Ibidem.



Anna Chowaniec – doktorat uzyskała na Wydziale Nauk o Kulturze i Sztuce Uniwersytetu Warszawskiego (antropologia kulturowa). Interesuje się przede wszystkim kulturowo-społecznymi zagadnieniami związanymi z chorobami o podłożu genetycznym, chorobami rzadkimi, dzieciństwem i niepełnosprawnością. Autorka i współautorka artykułów i rozdziałów w publikacjach naukowych (Routledge, BMC Health Services Research, BMC Public Health, Etnografia Polska) oraz raportów i badań dla instytucji Europejskich (m.in. Council of Europe, EPRS, HaDEA, DG SANTE, EU-OSHA). Badaczka i kierownik projektów badawczych finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki, Unię Europejską w ramach programu Horyzont 2020 (HERA), Uniwersytet Warszawski.

Czarnoból, czyli bylica zwyczajna w etnomedycynie

Sara Orzechowska



Bylice zastosowane w trakcie święta Kupły – jako element przytroczony do pasa oraz tworzący pas
fot. z archiwum Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu „Grodzisko Owidz”

Bylice to bohaterki słowiańskiej etnobotaniki zajmujące istotne miejsce w medycynie ludowej, wierzeniach, magii i obrzędach, co w kulturze chłopskiej było oczywistym odzwierciedleniem zapatrywania się na świat. Choroby i zaburzenia często postrzegano jako wynik ingerencji sił wyższych, czarownic, demonów, klątw lub zemsty: „Osoby zaczarowane, czyli długą chorobą znękaną, leczą się bzem i bylicą”¹. Rozdzielenie racjonalnych przyczyn podania rośliny od wniosków wysnutych w ramach myślenia magicznego było niemożliwe.

Pośród wielości dzikich roślin wykorzystywanych w ludowym leczeniu z pewnością dostrzec można upodobanie chłopów, a właściwie chłopiek, ponieważ to kobietom głównie przypadała rola domowej lekarki, do bylic (*Artemisia*),

w tym bylicy zwyczajnej (*A. vulgaris*), zwanej też bielimą, bielicką, byliną, bylicą czerwoną – od bordowego koloru łodyg i czasem bordowiejącego kwiecia – bylnikiem, a nawet bilem/bólem. Bywa także określana czarnobylem², jej bliską

krewniaczką jest b. piołun (*A. absinthium*), zwana sporadycznie białobyłem. Liście bylicy zwyczajnej są z wierzchu ciemnozielone, w odróżnieniu od srebrzystobiałego piołunu, stąd przeciwstawienie czarnobyl – białobyl. Ludowe (prawdopodobnie wtórne, choć niezwykle istotne) wytłumaczenie nazwy podaje M. Henslowa: „U Polaków nad Niemnem zanotowano dla *Artemisia vulgaris* nazwę czarnoból. Ludność miejscowa wyjaśniała, że określenie czarnoból pochodzi stąd, że roślina ta używana jest do bólów tak wielkich, że aż czarno robi się w oczach³. Niewielkim zainteresowaniem darzono inny dziki gatunek – b. polną (*A. campestris*), czego nie można powiedzieć o ogródkowej, przybyłej do Polski z południowego wschodu bylicy boże drzewo (*A. abrotanum*), po którą sięgano bardzo chętnie.

Wiele uwagi w folklorze obrzędowym poświęcano bylicom w okresie ich bujnego rozwoju, w maju i czerwcu, a zatem czasie palenia sobótek. Bylice (zwłaszcza zwyczajna) stanowiły nieodzowny element świętowania Kupalnocki. Niezwykle popularnym zwyczajem, który przetrwał do wieku XX, było przepasanie się bylicą oraz wyplatanie z niej wianków. „Ziele to służy w dzień św. Jana Chrzyciela po wsiach do majenia chałup pod okapem strzechy. Na tenże sam cel służy i łopian z tego powodu, że kiedy ścięto głowę św. Janowi Chrzycielowi, głowa jego upadła pomiędzy bylicę i łopian. Dla tego bylica jest przytomna (pomocna) na wszelkie bóle w krzyżach, postrzyknięcia, darcia w członkach jak i bóle rodzenia; robią z niej dla chorych okłady i kąpiele⁴. Zioło zbierane w czasie przesilenia nabierało jeszcze większej mocy leczniczej, zagotowaną świętojańską bylicą można było np. usunąć krosty u dzieci poprzez wykąpanie ich w odwarze z rośliny.

Bylice podkładano do świętecznego ognia, przez co owe ognie sobótki zwano nawet ogniami belicznymi (bylicznymi). Można uznać za

pewnik, że skoki nad paleniskiem i w oparach roślinnego dymu miały dawniej ważne znaczenie jako apotropeion, odpędzający byty demoniczne i czarownice, ściągające na ludzi przeróżne dolegliwości, ale też powodujące morzyska u zwierząt i inne choroby (wyobrażenie choroby jako gościa w ciele – „gościec”). „O srogich chorobach nągminnych lud ma wyobrażenie jeszcze fantastyczniejsze. W Lubelskiem n. p. cholerę wyobrażano sobie w postaci dziewczicy w czerwonej spódnicy. Ominęła ona Mogielnicę pod Chełmem, bo tam było dużo bylicy i dużo czarownic⁵.

Niechaj bylica w ogniu trzeszcze,
czarownica z złości wrzeszczy.
Niech bylicy gałąź pęka,
Czarownica próżno stęka. Myśma tu przyszły
z daleka,
popalili zioła święte;
Nie zabiorą już nam mléka
czarownice przekłete.
Spokojnie nam ogień świeci
I ziołeczko każde tleje,
Oj nie pomrą nasze dzieci,
Oj nie będzie swaru doma⁶.

Nie tylko w praktyce obrzędowej, ale i pieśniach otwierających obchody świąt niezwykle istotnych dla kultury chłopskiej również pojawia się bylica, co wskazuje na głęboko zakorzenioną świadomość obcowania z tą rośliną i jej znaczenie. Pomimo że należała do grupy zielsk/chwastów, pełniła ważne funkcje społeczne i dawniej – być może – również religijne. Wspomniane już obchody świętojańskie, np. w Sandomierskim, rozpoczynają się od „bylicznej” pieśni, inicjując całą zabawę.

Rosi się rosi – bylicka po wsi
Oj wygnała Marysia – Łukasza ze wsi.
Oj mój Łukaszu – kady ześ bywał?
Oj na polu moja Maryś – bylicki'm zbierał
i t. p.⁷



Bylice, fot. Sara Orzechowska

Pieśni dożynkowe, otwierające korowód z plonami, również wskazują na zainteresowanie bylicą, podobnie jak kluczowymi roślinami dla chłopów, czyli zbożami.

Wyrasta byliczka na odługu,
Dorznęłm pszeniczki chwała Bogu,
Plon niesiema plon,
Jegomości w dom⁸.

Bylice należą do roślin o bogatej historii etnomedycznej w Europie i na Bliskim Wschodzie, a wiele zastosowań w słowiańskich kulturach ludowych pokrywa się z tym, co odnotowywano w drukowanych herbarzach, w tym bardzo znanym tzw. Zielniku Szymona Syreniusza, w którym to z kolei znajdziemy informacje zaczerpnięte z dzieł medyków starożytnych – w tym Pliniusza, Dioskuridesa. Chętnie korzystano z zieleń, choć źródła etnograficzne podają także informacje o wykorzystaniu części podziemnej. Na Ukrainie stosowano korzeń przeciw padaczce, zwanej ze strachem wielką chorobą. Musiał być on wykopany drewnianą łopatą, następnie ususzony na świeżym powietrzu i sproszkowany

w makutrze – koniecznie bez użycia metalowych narzędzi⁹. Powszechnie stosowano ją w „klasycznych” dolegliwościach wiejskich, takich jak przestrach (przelęknienie), febra, wszelkie bóle: głowy, krzyża, brzucha.

Dziś bylice kojarzone są zwłaszcza jako zioła pomocne przy dolegliwościach żołądkowych i jelitowych, co z jednej strony jest wynikiem ich powszechnego stosowania w kulturze chłopskiej do leczenia układu pokarmowego i odrobaczania (warto dodać, że chorobę również wyobrażano sobie jako robaka), jak i ich realnego wpływu leczniczego, np. przeciwzapalnego i pobudzającego trawienie. Ból żołądka na wsi próbowano łagodzić nalewką na wódce ze święconego zieleń, ale także w formie okładów¹⁰.

Przykładanie bylicy do zboliałych i chorych miejsc jest ciekawą formą jej zastosowania, rozbiono to zarówno przy użyciu świeżej rośliny, jak i ugotowanej w wodzie, parzonej w serwatce lub kwaśnym mleku. Tak przygotowane leki znajdowały też zastosowanie w leczeniu chorób skóry, miały eliminować opuchlizny i szkrofuły (skrofuły – gruźlica węzłów chłonnych objawiająca się opuchlizną i ropieniem tychże, w okolicy szyi). Kolejną formą leku przyrządzanego z bylicy były wyciągi na winie, podawane wewnętrznie na puchlinę. Odnotowano także sposoby leczenia się bylicą poprzez jej zjadanie, znamy przepis na lecznicze danie podawane na czerwonek według zapisków z Czarnego Dunajca: „Chory je usmażone razem na maśle: bylicę, babkę, szczaw, kmin, jajo i bryndzę”¹¹.

Interesujący jest obraz bylicy w ludowej ginekologii Słowian. „Bylicy lud w Rosji przypisuje wielką skuteczność na wszelkie choroby kobiece”¹². Wśród różnych dolegliwości kryjących się pod tym zdaniem wymienić można „zaziębienie macicy”, na które należało „wziąć bożego drzewka, hizopu, szaleju, dziewanny, bylicy czerwonej, zagotować to dobrze w winie i nad tym się pa-

rzyć”¹³, co prezentuje kolejny już sposób przygotowania zioła i podania go chorej osobie. „Na zatrzymanie miesięczne bylica z izopem gotowana i pita. Miesięczną chorobę wywodzi bylica w winie gotowana i pita. Płód martwy z żywota wywodzi, gotując i pijąc bylicę”¹⁴. Bylice należą do ziół wczesnoporonnych i prowokujących krwawienia. W kulturze ludowej i wiekach starszych sformułowanie o przywróceniu krwawienia można było odnosić do prób leczenia zaburzenia regularności miesięczek, ich zatrzymania lub skąpych „czerwonych upławów”, które mogły pojawiać się wskutek zaburzeń hormonalnych, niedożywienia czy innych czynników chorobotwórczych. Brak miesięczki wskutek zajścia w ciążę również można było „leczyć” bylicą, często przy pomocy wiejskich babek. Bylica znajdowała zastosowanie w medycynie wiejskiej jako lek sprzyjający wywodom i wszelkiemu oczyszczaniu się macicy, również po porodzie.

Roślina towarzyszyła chłopstwu od najwcześniejszych lat, jeszcze w brzuchu matki człowiek wystawiany był na działanie tej rośliny. Kobiety przyspieszały datę porodu przy pomocy bylicy, przy tzw. trudnym rozwiązaniu, ale co ciekawe, istnieje też źródło mówiące o zastosowaniu nasion już w trakcie ciąży: „Brzemienna, gdyby każdego dnia trochę nasienia czerwonej bylicy używała w jedzeniu lub picu, tedy płód czerstwy mieć będzie”¹⁵. Po narodzinach zioło wspierało małe dzieci kąpane w odwarach celem zapewnienia im zdrowia, przeciwdziałania krzywicy, nadania ciała tężości i jako lek na suchoty¹⁶. Sam termin „suchoty” odnoszono nie tylko do gruźlicy, ale też do miernego wyglądu, chudości, czyli „suchości” leczonej osoby. Kąpiele w bylicowym odwarze były popularne w całej Polsce i stanowiły kolejną formę leczenia. W okolicach Krakowa korzystano z nich w przypadku kolki, w Lublinie zaś biegunki. Dodatkowo działanie lecznicze roślin próbowano „wzmocnić” poprzez ich święcenie,

a dopiero później przyrządzanie medykamentów z ziół dotkniętych dodatkową mocą *sacrum*. Odwarami z rośliny wykruszonej ze święconych wianeczków wspierano np. osoby starsze, gdy dokuczały im bólesci w „kości pacierzowej i bokach”¹⁷. Ostatnia ludzka podróż – w zaświaty – często także odbywała się w towarzystwie bylic kładzionych do trumny; żywiono nadzieję, że pozwoli to powstrzymać rozkład ciała¹⁸.

Bylice należą do roślin, po które sięgano chętnie celem okadzania, niegdyś bardzo popularnej formy wiejskiego leczenia. „Urzeczonego kadzą święconem bożem drzewkiem, bylicą ogrodową i bławatkiem, koprem i lubczykiem, z którego biorą suchą, wewnątrz pustą łodygę, zatlewają na jednym końcu, a drugim końcem wciągają dym w siebie”¹⁹. Ogień, w którym spalano odpowiednio dobrane i przygotowane gatunki roślin, stanowił ważny środek magiczno-leczniczy. Podczas pomoru bydła na ziemi dobrzyńskiej przepędzano stado przez ogień z jałowca, bylicy, dziewanny oraz macierzanki²⁰. Zabieg łączy wykorzystanie wielu elementów o charakterze symbolicznym



Bylica zwyczajna z czerwonym kwiatostanem
fot. Sara Orzechowska

i magicznym – ognia, dymu, ziół zaliczanych do tych chroniących przed złymi mocami.

Pospolity chwast, mijany przez nas każdego dnia, obecnie zdaje się nie aż tak istotną dla Polaków rośliną, jak jeszcze w wieku XX (jego początkach), XIX i wcześniejszych, kiedy to stanowił jeden z podstawowych leków na bardzo szerokie spektrum dolegliwości, od reumatycznych, trawiennych, ginekologicznych, skórnych, aż po malarię i epilepsję, a także nieodzowny element

życia religijnego i duchowego. Wydaje się jednak, że rosnące zainteresowanie tradycyjnym zielarstwem, a także niezwykle ciekawe doniesienia ze współczesnych laboratoriów, potwierdzające dobroczynny wpływ wyciągów z rośliny przy wielu schorzeniach, przyczyniają się do powrotu bylicy do naszych domostw, czy to w postaci suszonych wiechci na napary, kadzideł, nalewek, czy powoli pojawiających się ozdób służących do majenia chat w świętojański czas.

Przypisy:

- 1 O. Kolberg, DWOK t. 5, Krakowskie cz. 1, Kraków 1871, s. 309.
- 2 O. Kolberg, DWOK t. 33, Chełmskie cz. 1, Kraków 1890, s. 149
- 3 M. Henslowa, *Wiedza ludowa o bożym drzewku, bylicy i piołunie*, „Slavia Antiqua” 1972, s.105.
- 4 O. Kolberg, DWOK t. 7, Krakowskie cz. 3, s. 145.
- 5 O. Kolberg, t. 34, Chełmskie cz. 1, s. 203.
- 6 O. Kolberg, DWOK t. 24, Mazowsze cz. 1, s. 349.
- 7 O. Kolberg, DWOK t. 2, Sandomierskie, s. 119.
- 8 O. Kolberg, DWOK t. 3, Kujawy cz. 1, s. 234.
- 9 J. Talko-Hryncewicz, *Zarys lecznictwa ludowego na Rusi Południowej*, Kraków 1983, s. 198.
- 10 S. Udziela, *Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego: przyczynek do etnografii polskiej*, Warszawa 1891.s. 157.
- 11 J. Kantor, *Czarny Dunajec. Monografia etnograficzna*, „Materiały Antropologiczno-Archeologiczne i Etnograficzne” 1907, t. 9, s. 144.
- 12 S. Udziela, dz. cyt., s. 266.
- 13 Z. Miłkowski, *Na różne choroby lekarstwa*, „Wisła” 1898, t. 12, s. 293.
- 14 Tamże, s. 295.
- 15 Tamże, s. 295.
- 16 S. Udziela, dz. cyt., s. 72.
- 17 O. Kolberg, DWOK t. 34, Chełmskie, cz. 1, s. 185.
- 18 S. Udziela, dz. cyt., s. 259.
- 19 S. Udziela, *Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego: przyczynek do etnografii polskiej*, Warszawa 1891, s. 80.
- 20 A. Petrow, *Lud ziemi Dobrzyńskiej, jego charakter, mowa, zwyczaje, obrzędy, pieśni, przysłowia, zagadki i t.p.*, „Zbiór Wiadomości do Antropologii Krajowej”, t. 2, 1878, s. 22.

Bibliografia:

- Henslowa M., *Wiedza ludowa o bożym drzewku, bylicy i piołunie*, „Slavia Antiqua” 1972.
- Hrycyna E., *Bylica, Piołun*, [hasła w:] *Słownik stereotypów i symboli ludowych, tom 2. Rośliny*, cz. 4, red. J. Bartmiński, Lublin 2022.
- Kantor J., *Czarny Dunajec. Monografia etnograficzna*, „Materiały Antropologiczno-Archeologiczne i Etnograficzne” 1907, t. 9.
- Kolberg O., DWOK t. 2, 3, 5, 7, 24, 33, 34.
- Marczewska M., *Ja cię zamawiam, ja cię wypędzam... Chorooba. Studium językowo-kulturowe*, Kielce 2012.
- Miłkowski Z., *Na różne choroby lekarstwa*, „Wisła” 1898, t. 12.
- Petrów A., *Lud Ziemi Dobrzyńskiej, jego zwyczaje, mowa, obrzędy [...] zebr. i ułożył Aleksander Petrow*, „Zbiór Wiadomości do Antropologii Krajowej”, t. 2, 1878.
- Talko-Hryncewicz J., *Zarys lecznictwa ludowego na Rusi Południowej*, Kraków 1983.
- Udziela S., *Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego: przyczynek do etnografii polskiej*, Warszawa 1891.
- Zielnik Syreniusza, druk czcionką współczesną*, red. M. Łuczaj, Krosno 2017.



Sara Orzechowska – doktor nauk humanistycznych, etnobotaniczka, folklorystka, zielarka. Autorka książki „Kobiety i rośliny w folklorze polskim” wydanej na podstawie doktoratu w 2024 roku. Badaczka interdyscyplinarna łącząca nauki zakorzenione w antropologii kulturowej oraz przyrodnicze, a więc botanikę i ziołolecznictwo. Prowadzi działania popularyzujące naukę pod szyldem Chwaścior – Fundacja „Linnium”, a także projekty takie jak „Na len! Na konopie! Słowiańskie święta roślinne”. Zainteresowania badawcze: wyobrażenia kulturowe – obrazy roślin w folklorze, głównie słowiańskim.

Jak Lasowiacy oświetlali wnętrza wiejskich izb

Magdalena Fołta



Latarnia. Ekspozycja w Parku Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, fot. W. Dulski

Polska wieś w większości została zelektryfikowana dopiero po II wojnie światowej, głównie w latach 50. oraz 60. XX wieku, ale jeszcze w latach 70. w niektórych miejscowościach prądu nie było. Jak zatem, do czasu powszechnej elektryfikacji, Lasowiaci oświetlali wnętrza swoich domów?

Lasowiaci to grupa etnograficzna zamieszkująca obszar dawnej Puszczy Sandomierskiej, w widłach Wisły i Sanu (a także na prawym brzegu tej rzeki), w północnej części obecnego województwa podkarpackiego. Życie Lasowiaków (jak sami siebie określali) przez długi czas nierozwalnie związane było z lasem, o czym świadczy znane powiedzenie: *Las, ociec nas, a my dzieci*

jigo, idziewa do nigo. Bliskość lasów sprawiła, iż materiał budowlany stanowiło głównie drewno. Mieszcano w drewnianych chałupach krytych strzechą – takie budynki były powszechne w lasowiackich wsiach jeszcze w okresie elektryfikacji.

Do końca XIX wieku powszechnym sposobem oświetlania wiejskich chałup było stosowanie łuczywa, czyli *szczyp* łupanych ze smolnych



Świecak. Ekspozycja w Parku Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, fot. W. Dulski

pniaków sosen, zwanych także *szczapami*, *scypami*, *dartkami* czy *smolówkami*. Łuczywo zatykane bywało w szpary ścian, częściej jednak do palenia smolnych *szczyp* wykorzystywano piec – specjalny otwór w jego ścianie lub polepę. Biedniejsi gospodarze taki sposób oświetlenia wykorzystywali jeszcze w okresie międzywojennym: *A jak nie, to szczepy. Taki kominek był i szczepy se położyli na tym kominku i przędli przy tym. To było jeszcze tak przed wojną. Ja miałam dziesięć lat do wojny. To jeszcze wtenczas, to wiem, że na tym kominku się ta szczepa świeciła. Przy piecu i specjalnie tak był robiony, na te szczepę, przy blasze. Później się już temi szczepami nie świeciło* (Wydrza, GW, MKL-AE 398/6).

Łuczywo umieszczano także w różnego rodzaju świecakah lub świtnikach, które stały na klepisku albo były zawieszone u powały. Najczęściej używano świecaków stojących na ziemi, które składały się ze stojaka oraz zawieszonego na

nim kaptura. Stojak wykonywany był z kawałka pniaka lub słupka z przybitym na zewnątrz krzyżakiem, przykrytym krążkiem uplecionym ze słomy i oblepionym gliną. Czasami słupek był wbijany w klepisko, zazwyczaj można było go przesuwac. Kaptury, zwane *kadtubami* lub *ducami*, były rodzajem drewnianych rur służących do odprowadzania dymu. Najdłużej używane były lekkie stojące świecaki, które stawiano blisko pieca. Wykonywano je z drewnianego słupka lub metalowego pręta, który osadzano w drewnianym klocku i zaopatrywano w rozwidlony uchwyt, gdzie zatykano płonące łuczywo. Ze względu na prostą konstrukcję oraz łatwość przenoszenia takich świecaków były one bardzo rozpowszechnione. Starsi mieszkańcy dawnej Puszczy Sandomierskiej w prowadzonych z nimi wywiadach etnograficznych wspominali jeszcze takie oświetlanie wnętrza izb: *Poschodziło się nieraz parę do domu, nie było jeszcze w ten czas ani*

prądu, ani nic, to się na świetniku takim świeciło szczypami. Nawet widno było. A to było przy piecu, taki był wyrzeźbiony już, zrobiony do komina, żeby tam dym szedł. A tutaj się paliło, szczypki się kładło (Maziarnia, JM JW, MKL-AE 403/3).

W lasowiackich izbach świecaki zaczęły zanikać w latach 80. XIX wieku. Świecenie łuczywem było czasochłonne i wymagało nadzoru. Pilnowanie płonącego łuczywa należało do obowiązków dzieci. Czasami, na przykład podczas wesel, do pilnowania świecaków wynajmowano kogoś starszego, kto za odpowiednią opłatą wchodził na piec i oświetlał izbę. Ogień starano się utrzymać w popiele, a jeśli wygaś, to szło się po niego z garnkiem do sąsiadów. Do rozpalania ognia używano krzesiwa oraz hubki. Zazwyczaj krzesiwo stanowiły dwa kamienie. Znane były także krzesiwa żelazne, ale były rzadziej stosowane. Podczas krzesania iskrę kierowano na hubkę, którą najczęściej stanowiła kądziel lub kawałek zgrzebnego gałanka, używano także próchna – zwykle ze starych lip lub topoli. Zapalek zaczęto używać dopiero w drugiej połowie XIX wieku, jednak ze względu na ich koszt jeszcze do I wojny światowej ogień rozniecano dawnymi sposobami.

Z końcem XIX wieku do oświetlania wnętrza upowszechniło się używanie kaganków. Były to niewielkie naczynia wykonane z gliny, szkła lub blachy, które wypełniano łojem zwierzęcym, olejem lub naftą. Knoty do kaganków wykonywano z kawałków lnianych lub bawełnianych materiałów. Użycie kaganków zanikło po I wojnie światowej, chociaż niektórzy używali ich jeszcze do palenia przed świętym obrazem lub figurką.

O dawnych sposobach oświetlania wnętrza domu pisał Jan Słomka (1842–1932), chłopski działacz społeczny z Dzikowa (obecnie część Tarnobrzega), w swoich „Pamiętnikach włościanina. Od pańszczyzny do czasów dzisiejszych”:

Świecili w domu szczypami smolnemi, które paliły się na kominku zwanym „świecznikiem”

umyślnie na to urządzonym, przytem znane też były proste kaganki do świecenia oliwą. Pamiętam jak raz dziadek Gierczyk, jeżdżąc po drzewo do lasu, przywiózł z Dęby pniaka smolnego i dużo uciechy narobił, że szczyp do świecenia na długo wystarczy. „Dosyc – mówił – naszukałem się po lesie i ledwie tego smolnego pniaka zdobyłem, ale czem wy, moje dzieci, będzieta kiedyś świecić, skoro lasy się umykają, i coraz trudniej o smolny kawałek drzewa?”. Ogień rozniecali za pomocą krzesiwa i hubki, a ponieważ to wykrzesanie ognia zadawało dużo trudności, więc gospodynie starały się przechowywać ogień w popiele, nawet z jednego dnia na drugi. Jeżeli zaś zupełnie wygaś, co zdarzało się często, to wstawszy do dnia, wyglądały u kogo się już świeci i posyłały „po ogień”. Kto był po to wysłany, brał do garnka żarzące się węgle i nakrywwszy je pokrywką, żeby po drodze ognia nie zapuścić, śpieszył zaraz z powrotem do domu. Stąd poszło



Świecak. Ekspozycja w Parku Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, fot. W. Dulski



Lampa naftowa. Ekspozycja w Parku Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, fot. W. Dulski

przysłowie „wpadł jak po ogień”, jeżeli mówi się o kimś, że w odwiedzinach krótko zabawił.

Dopiero koło roku 1860 rozpowszechniły się więcej zapalki, a prawie równocześnie wchodziło w użycie oświetlenie naftowe. Ale nim się rozpowszechniły dzisiejsze lampy, przez długi czas znane były tylko tzw. „kmotki” albo „gajsówki” małe, bez szkiełka i dające światło jeszcze tak słabe, że w izbie można było przy niem rozpoznać tylko grubsze przedmioty.

Z końcem XIX wieku pojawiły się w lasowiackich chałupach lampy naftowe – dawały więcej światła, które mogło być regulowane. Pierwszymi użytkownikami lamp naftowych na wsiach byli rzemieślnicy, m.in. szewcy, stolarze czy tkacze, którzy pracowali wieczorami. Osoby pamiętające przędzenie i tkanie przy świetle lamp naftowych często wspominały o różnych

sposobach na oszczędzenie nafty: *I jeszcze babcia to umieli dobrze prząść, to było tak, że nafta była, lampa, postawili se. Ale jakoś tam robiły, żeby tego kapelusza nie było, żeby mniej nafty ciągnęła ta lampa, to wyciągali, bo szkoda było nafty. A przędli wieczorami* (Wydrza, GW, MKL-AE 398/6). *To przędli nocami, do lampy, nawet papki nie zakładali ani szkiełka, żeby nafty nie wychodziło* (Zdziary, KM, MKL-AE 432/6). Nafta była jednym z nielicznych produktów, które kupowano w sklepie.

Najprostsza lampa naftowa składała się z blaszanego pojemnika na naftę oraz knotu. W okresie międzywojennym występowały lampy naftowe różnego typu: z kloszami, lusterkami itp. Lamp naftowych używano jeszcze po II wojnie światowej aż do czasu elektryfikacji.

Pomieszczenia gospodarcze oświetlano przy użyciu ręcznych latarni. Były to oszkłone drewniane skrzynki, zazwyczaj na kwadratowej podstawie z płaskim lub daszkowatym nakryciem z otworami oraz drucianym uchwytem. Po I wojnie światowej pojawiały się blaszane latarnie fabryczne.

Na obszarze dawnej Puszczy Sandomierskiej elektryfikacja miała miejsce przede wszystkim w latach 50. i 60. XX wieku. W jej trakcie każda wieś musiała dostarczyć słupy: *Jak u nas elektryfikacja wioski w 1958 roku, to każda wioska szła. Nadleśnictwo wyznaczyło, ile słupów elektrycznych trzeba, i my musieliśmy to okorować. Ja byłem dzieckiem, latałem, to te słupy zostały wzięte do Lipy i tam były smolowane. Tam też smolowali podkłady kolejowe i później jak przywieźli, to u nas leżały przed drogą i my się na nich bawiliśmy i dostawaliśmy za to bicie. Bo cali ubrudzeni w tej smole, śmierzdzieliśmy potem w domu, ale to była najlepsza zabawa. Jeszcze teraz niektóre te słupy stoją, każda wioska musiała sama załatwić i okorować* (Koziarnia, ME, MKL-AE 839/2). *Moja mama też we wianie dostała kawałek lasu. Jodłowego oczywiście. I jak zakładali tutaj elektryczność, to każdy musiał mieć słupa, a słupy były drewniane jeszcze.*

Ze swojego lasu słupa. I pamiętam, że wycięli tę jedną jodłę. I trzeba było końmi wyciągać z tej paryji, jak się to mówiło, to jest bardzo głęboko. Przecież z moim ojcem i ze Skibą żeśmy końmi ciągli tego słupa. To las był potrzebny i na słupy (Zagorzyce, wywiad zbiorowy, MKL-AE 866/4).

Elektryfikacja była bardzo ważnym wydarzeniem na wsi, wpływającym na jakość życia jej mieszkańców: *Pamiętam, jak to światło przyszło, jak my się cieszyły, jak to było widno* (Wola Zarczycka, wywiad zbiorowy, MKL-AE 933/1). Moment podłączenia we wsi prądu wspominany jest w wielu wypowiedziach osób, z którymi przeprowadzane były wywiady etnograficzne dotyczące życia na lasowiackiej wsi: *Później, w latach sześćdziesiątych, jak już przyszedł ten prąd, to się to wszystko pomalutku zmieniało* (Mazury, AJ AE, MKL-AE 816/4). Elektryfikacja wsi była jedną z głównych przyczyn przemian zachodzących na polskiej, w tym lasowiackiej, wsi w drugiej połowie XX wieku.

Jak dawniej Lasowiacy oświetlali wnętrza izb i pomieszczeń gospodarczych, zobaczyć można na ekspozycji w Parku Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej.



Lampa naftowa. Ekspozycja w Parku Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, fot. W. Dulski

Tekst powstał we współpracy z Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej.

Bibliografia:

Archiwum Naukowe Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej:

- Koziarnia, ME, MKL-AE 839/2;
- Maziarnia, JM JW, MKL-AE 403/3;
- Mazury, AJ AE, MKL-AE 816/4;
- Wola Zarczycka, wywiad zbiorowy, MKL-AE 933/1;
- Wydrza, GW, MKL-AE 398/6;
- Zagorzyce, wywiad zbiorowy, MKL-AE 866/4;
- Zdżary, KM, MKL-AE 432/6.

Furdyna J., *Wiejski dom mieszkalny w widłach Wisły i Sanu. Forma i funkcja (1850–1965)*, Mielec 2014.

Gaj-Piotrowski W., *Kultura materialna ludu z okolic Rozwadowa*, Rzeszów 1975.

Ruszel K., *Leksykon kultury ludowej w Rzeszowskim*, Rzeszów 2004.

Słomka J., *Pamiętniki włościanina. Od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, Kraków 1929.



Magdalena Fołta – absolwentka Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ, Podyplomowego Studium Muzeologicznego UJ oraz Uniwersytetu Ludowego Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej. P.o. kierownik Działu Etnograficznego w Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej, członek Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, o/Rzeszów. Uczestniczka wielu projektów badawczych dotyczących kultury ludowej Polski południowo-wschodniej, autorka oraz współautorka artykułów naukowych i popularnonaukowych.

59. Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym

Izabela Wolniak, Mamadou Diouf



Zespół Śpiewaczy Swojacy z Sitna, fot. Rafał Karpiński

Z członkami Zespołu Śpiewaczego *Swojacy z Sitna* w województwie zachodniopomorskim rozmawiali Izabela Wolniak i Mamadou Diouf

Kiedy zespół powstał i ilu jest wykonawców

Marzena Nowacka: Może doprecyzuję, zespół przyjechał z Sitna, z Gminy Szczecinek, powiat Szczecinek, to tak we wschodniej części woj. zachodniopomorskiego. Często ludzie mylą Szczecin ze Szczecinkiem. Zespół *Swojacy* powstał w 2003 roku z inicjatywy mieszkańców miejscowości Sitno. Były to takie różnego rodzaju animacje kulturalne prowadzone na świetlicy przez panią Dorotę Świątek. W pewnym momencie zebrała się większa grupa pań, które chciały, oprócz różnych przedstawień teatralnych, coś zaśpiewać.

Tak to się rodziło gdzieś przez dwa miesiące i w listopadzie 2003 roku już zawiązaliśmy formalnie zespół. Było nas wtedy czternaście osób. To był zupełnie inny skład niż obecnie. Teraz w zespole jest dziewięć osób.

Jak było z nazwą? Kto wymyślił tytuł *Swojacy*?

Grażyna Bakula: To mój mąż wymyślił. Różne nazwy przychodziły nam do głowy, na przykład Słoneczniki. Mój mąż mówi: „jesteśmy tacy swojscy ludzie”. To się przyjęło, wszyscy zaakceptowali *Swojaków*.

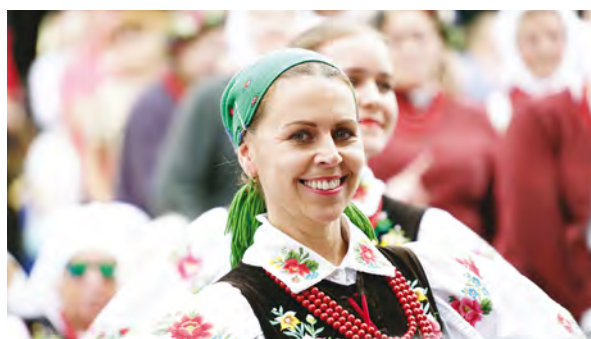
Jaki repertuar najchętniej wykonujecie?

Marzena Nowacka: Najchętniej wykonujemy pieśni standardowe, ludowe, czyli „W moim ogródeczku”, „Lipka”. Oczywiście na konkursy to śpiewamy takie, jak dzisiaj na festiwalu w Kazimierzu, czyli łowickie utwory. Wyszukujemy te utwory, żeby czerpać jednak z tego regionu. Z drugiej strony szukamy także w swoim otoczeniu, w swoim zachodniopomorskim regionie. Bierzymy udział w dożynkach i innych imprezach ludowych jako zespół, gdzie nasz pan muzyk dogrywa na akordeonie „pod nóżkę”, że tak powiem. I muszę powiedzieć, że na naszym polu działania zespół *Swojacy* ma się czym chwalić. Mamy renomę. Jak jedziemy na takie przeglądy lokalne w zachodniopomorskim, to jak inne zespoły widzą, że zespół *Swojacy* przyjechał, to już komentarze są takie, że znowu *Swojacy*. My jesteśmy tutaj w Kazimierzu tylko dlatego, że na przeglądzie w Drawsku poznaliśmy pana profesora Bogusława Linettego z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Tam zaśpiewaliśmy piosenkę, której nauczyła nas mama naszego poprzedniego muzyka, pochodząca z Lubelszczyzny. Po wykonaniu tej pieśni w Drawsku właśnie pan profesor przyszedł do nas za scenę i po prostu chciał wiedzieć, skąd my to znamy. Prosił, żebyśmy mu jeszcze raz to zaśpiewali. Był bardzo zafascynowany tym naszym śpiewem. Rok później chcieliśmy się dostać na festiwal kazimierski. Powiedziano nam, że są tylko dwie możliwości: droga przez eliminacje, które się odbywają w województwach, albo rekomendacje. Więc ja zadzwoniłam do Zakładu Etnologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza, gdzie pan Bogusław Linette pracował. I poprosiłam go o rekomendację. I on, żeby wiedzieć, z kim rozmawia, prosił, żebym zaśpiewała te utwory śpiewane w Drawsku. Ja przez telefon mu je śpiewałam. Wystawił nam rekomendację i od 2014 roku przyjeżdżamy tutaj regularnie. Właśnie w roku 2014, za te utwory, które śpiewaliśmy wtedy w Drawsku, dzięki któ-

rym pan profesor nas wpuścił na ten przegląd, to dostaliśmy wyróżnienie tutaj w Kazimierzu w kategorii „rekonstrukcja”. Niestety nie ma już takiej kategorii. Teraz jest już tylko tradycyjny śpiew i jest nam ciężko się przebić z tym śpiewem tradycyjnym, bo ta nasza gwara jednak jest za prosta, żeby do tego łowickiego się dopasować. Próbujeśmy cały czas. Nam się bardzo Kazimierz podoba. Bardzo lubimy tu przyjeżdżać. Choćby nawet turystycznie. Dla nas jest dodatkowym bodźcem to, że tu zaśpiewamy. Coś nas motywuje. Rozwijamy się w pewien sposób.

Zespół wyróżnia się zarówno pięknym strojem łowickim, jak i śpiewem. Panie są w różnym wieku, ale też są zupełnie młode dziewczyny. Jak trzeba zachęcić młodych ludzi, żeby się zafascynowali folklorem muzycznym?

Maria Nowacka: Właśnie myślę, że m.in. to, że tutaj mama śpiewa, ciocia i babcia też, więc to trochę było w domu od urodzenia tak naprawdę. Czasem oglądałyśmy gdzieś tam na scenie, gdzieś tam mama zabierała na tę scenę. I tak po prostu od małego byłyśmy przyuczane do takiego śpiewania publicznego, wystawiane na tę scenę. Mnie się osobiście bardzo podoba kultura. Tak powiem, że wśród moich znajomych wszyscy zawsze chcą zdjęcia ze mną robić, bo ten strój jest taki ładny i im się podoba. Też tak trochę czerpię uwagę z tego od innych ludzi, bo tutaj dużo ludzi podchodzi i się pyta, skąd jesteśmy,



Marzena Nowacka – liderka zespołu *Swojacy*
fot. Rafał Karpiński

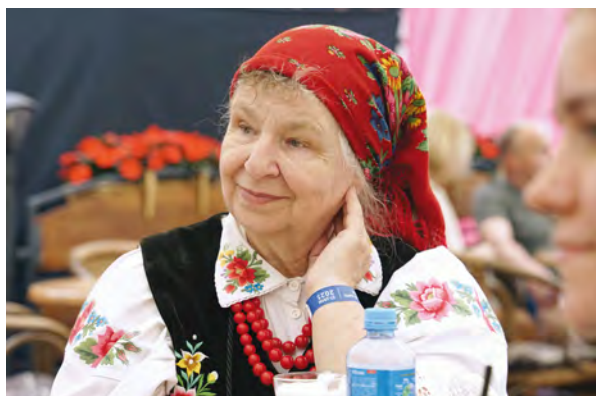
są zaciekawieni, że właśnie młode osoby też tak kultywują tę tradycję naszą.

Zofia Nowacka: W moim przypadku wyglądało to tak samo, jak u siostry, po prostu to się wyniosło z domu. Słuchałam, jak mama śpiewała i robiła próby w domu. Jeździliśmy na te występy różne, oglądałam, jak występują. Było to trochę takim moim marzeniem, żeby też wejść na scenę, razem z nimi zaśpiewać. I tak jakoś się to rozwinęło i do dzisiaj zostało.

Katarzyna Tutaj: Ja w zespole nie jestem długo, bo dopiero niecały rok. Też w moim domu cały czas słyszałam gdzieś tę muzykę, jeździłam z rodzicami na występy. Z tej muzyki to mi się bardzo podoba.

Część pań ma swoje korzenie na Ziemi Łowickiej. Czy te kontakty z tamtejszą rodziną są jeszcze żywe?

Urszula Nowacka: Tak. Część rodziny jeszcze mieszka, tyle że już nie blisko Łowicza, ale na czerwonej Niwie w okolicach Żyrardowa. A korzenie nasze, takie prawdziwe korzenie łowickie, to zostały już u nas w Sitnie, bo dziadek przyjechał z babcią na tereny zachodnie, już tam zmarł. My czujemy się rdzennymi Pomorzankami, bo my już się urodziłyśmy na Pomorzu. Nasze dzieci i wnuki też. Nie mamy jednak takiej kultury rdzennej, nie ma tam żadnej muzyki ludowej, bo to są Ziemie Odzyskane, gdzie inna narodowość mieszkała.



Grażyna Bakula, fot. Rafał Karpiński

Gdziekolwiek wystąpią panie w strojach łowickich, zespół będzie kojarzony z Ziemią Łowicką. Czy szukacie współpracy, konsultujecie repertuar z zespołami, twórcami stamtąd?

Marzena Nowacka: Współpracujemy. My mamy kontakt z panem Jackiem Jackowskim, który nam dostarcza, że tak powiem, źródłowe materiały, łowickie utwory. Na przykład to, co było śpiewane w Kazimierzu, to utwory właśnie od niego. Jeszcze mamy panią Anię Staniszewską, która jest twórczynią ludową i śpiewaczką regionu łowickiego i nam robi te stroje. Jeżeli mamy utwory jakieś, a nie jesteśmy pewni gwary, to jej wysyłamy. Ona nam tę gwarę łowicką uzupełnia. Mamy pokusę, żeby jechać na Boże Ciało do Łowicza. Bo tam jest tak piękne wydarzenie i pani Ania nas co roku zaprasza na to wydarzenie, ale w tym roku było to krótko przed Kazimierzem, nie dalibyśmy rady. W tym roku będziemy robić Wesele Łowickie. Czekają nas teraz dwa miesiące dość trudnej pracy, żebyśmy ogarnęli. My kiedyś robiliśmy Wesele Sitnowskie, a teraz już mamy taki obrzęd właśnie z Łowicza. Przesłała nam pani Ania gotowy scenariusz, no i my sobie tam wybierzemy, co będzie nam pasowało, bo to całonocna zabawa. Taki mamy zamysł, zobaczymy, jak będzie. Śpiewamy oczywiście nie tylko łowickie pieśni, sięgamy też po repertuar innych regionów.

Jaki jest skład kapeli?

Marzena Nowacka: Mamy tylko skrzypce i akordeon. Poszukujemy jeszcze dodatkowych instrumentów, konkretnie klarnetu i kontrbasu, i cały czas dajemy lokalnie ogłoszenia. Współpracujemy na przykład ze szkołą muzyczną im. Oskara Kolberga, kiedy organizują urodziny patrona. Nie jest łatwo o stałą współpracę z tamtą młodzieżą, bo jest chwilę w tej szkole, potem ucieka na studia. A jednak, żeby w zespole być, to trzeba na próby przychodzić, ćwiczyć i przez dłuższy czas być na miejscu. Marysia miała cztery latka

i już miała swój debiut na scenie, wspiera nasz zespół, bo gra na skrzypcach.

Aktywność jest dosyć duża. Czy macie zamiar nagrać płytę, bo to jest też taki nośnik, który bardzo by się przydał?

Marzena Nowacka: Mamy nagrany płytę z kołędami i nosimy się z nagraniem następnej, bo to nasze kolejne marzenie. Ciężko jednak nam się do tego zebrać. Nasz akordeonista ma własne studio, ale pozostaje kwestia opracowania utworów i przygotowania do samego nagrania. Na to niestety brakuje nam czasu, żebyśmy wszyscy mogli przyjść i nagrywać.

Czy w ogóle w województwie odbywają się festiwale, wydarzenia związane z kulturą ludową?

Marzena Nowacka: Tak, jako zespół jesteśmy organizatorem jednego z takich wydarzeń, w połowie lipca, to jest Szczecineckie Spotkanie z Folklorem. Ono z roku na rok się bardziej rozrasta, bo zaczynaliśmy od ośmiu zespołów, aktualnie jest ich czternaście. Muszę powiedzieć, że na Pomorzu odradza się folklor, bo jest bardzo dużo takich imprez. Do nas napływają zaproszenia, do Tychowa, do Niedalina... Ciągłe tam w tych naszych okęgach jest jednak potrzeba tego folkloru. Powiem, że powstaje bardzo dużo zespołów, nawet takich stylizowanych, ale śpiewających muzykę ludową. To nas cieszy. Obecnie mamy czternaście zespołów i wszystkie są lokalne. Nie że gdzieś tam z całej Polski przyjeżdżają, tylko to są nasze, lokalne.

Czy panie zauważają odrodzenie kultury ludowej na Pomorzu?

Marzena Nowacka: To tak pomału odbudowujemy wszystko, przynajmniej w naszym regionie. To też zależy od włodarzy, czym się interesują. Bo na przykład w gminie Szczecinek nasz wójt

nas wspiera. Dzięki niemu dzisiaj jesteśmy na festiwalu w Kazimierzu. Starostwo nam finansuje transport i wyżywienie, a gmina zapłaciła za nocleg. Dla kontrastu miasto Szczecinek nastawia się na disco polo i muzykę rozrywkową, folklor nie dla nich, co nas trochę boli, że nie czują tego. Wprawdzie pierwsze festiwale Spotkań odbywały się w mieście, ponieważ jest to część centralna naszego powiatu, większa aglomeracja, większa liczba odbiorców muzyki, ale po zmianach władz samorządowych miasto z roku na rok odchodziło od promowania rodzimej muzyki, jaką jest muzyka ludowa. My co roku na naszym Spotkaniu z folklorem też zapraszamy gwiazdę wieczoru i to jest zawsze zespół ludowy. Na przykład teraz będzie z naszego regionu sześciuosobowa Kapela Swaty z Będzina, grająca repertuar rzeszowski. Panowie potrafią rozbawić publiczność i zachęcać do zabawy. My próbujemy przebijać się z różnymi wydarzeniami, na których występują wyłącznie zespoły ludowe. I koniec kropka.

Bardzo dziękujemy Paniom za rozmowę i życzymy wielu sukcesów zespołowi *Swojacy*.

Zespół *Swojacy* powstał z inicjatywy mieszkańców miejscowości Sitno w 2003 r. Pierwszy skład, który uformował się po kilku próbach zespołu, liczył 14 osób (4 panów i 10 pań). Pierwszym muzykiem, który prowadził zespół, był Józef Bakula, kolejnym – Tomasz Marian Nowacki, który przez 6 lat dojeżdżał do Sitna z Koszalina. Od 7 lat akompaniatorem zespołu jest Roman Sokulski.

Na scenie Kazimierza 2025 zespół zaprezentował się w składzie: Grażyna Bakula, Maria Nowacka, Urszula Nowacka, Zofia Nowacka, Anna Tutaj, Katarzyna Tutaj, Roman Sokulski oraz kierownik zespołu Marzena Nowacka.

Podczas 58. Targów Sztuki Ludowej, towarzyszących Festiwalowi w Kazimierzu, ze stypendystkami programu Mistrz–Uczeń Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi, mistrzynią – Anną Bałdygą i jej uczennicą – Roksana Butrym-Lampard rozmawiali Izabela Wolniak i Mamadou Diouf.



Od lewej: Anna Bałdyga, Justyna Butrym-Lampard, fot. Rafał Karpiński

Zachwycamy się przepięknymi tkaninami zwanymi dwuosnowowymi. Skąd ta nazwa?

Anna Bałdyga: Każda tkanina składa się z dwóch pojedynczych warstw o różnych kolorach, które w połączeniu tworzą wzór. Na obu stronach tkaniny powstaje jednakowy ornament w różnych kolorach. Jeślibyśmy nie związali tego wzorem, tylko łączyli po bokach, to jedna strona by była np. niebieska, druga biała, toby po prostu powstał taki worek. To tak, jakbyśmy tkali dwie tkaninki naraz, powstający wzór stanowi połączenie dwóch części, tak jakbyśmy nawlekali dwie osnowy, dlatego są dwuosnowowe. Jedna osnowa ma kolor jasny, druga jest ciemna. Zazwyczaj to się tak robi, żeby było dobrze widać wzór.

Pani mówi, że tkactwo się odradza?

AB: Tak. Ja to i tak czuję, nie tylko dwuosnowo-

we, ale wszystkie inne techniki, czyli te czternicielnicowe, wielonicielnicowe, nawet zwykłe chodniki, szmaciaki zaczynają wracać do łask. Jeśli położymy go gdzieś, on się zabrudzi, możemy z powodzeniem wrzucić do pralki, wyprać i to jest świeże i czyste.

Ja mam taki przykład z domu. Jedna z córek mówiła, że widziała takie fajne do łazienki komplety. „Czy ja mogę kupić, żeby ciebie nie naciągać?” Ja mówię: „Dzieciaku, kupuj”. Przyjeżdżam za jakieś dwa, trzy tygodnie i ona mówi: „Wiesz co, mam, ty się w życiu niczego nie dorobisz”. A ja mówię: „Czemu?”. „Bo twoje są tanie i służą kilka lat. A ja kupiłam, wyprałam 2–3 razy i się rozpadły”. Chociaż jak moja córka powiedziała, że ja się nie dorobię... Ja się nie chcę dorobić. Ja chcę tylko, żeby ludziom to służyło. Żeby to były piękne rzeczy na naprawdę jakiś długi czas.

W tej chwili wiemy, że masowa produkcja azjatycka i jej niskie ceny są poważnym wyzwaniem dla twórczości ludowej. Czy w ogóle tkactwo odczuwa chińską konkurencję?

Nie. Ja się na przykład nie boję o swoje rzeczy, bo one idą momentalnie w świat. Tu w Kazimierzu nie mam już szmaciaków. Miałam wystawę w ramach ministerialnego stypendium, potem wszystko poszło do muzeum, bo powiedzieli, że oni chcą mieć moje prace. Przywiozłam do Kazimierza tylko rzeczy pożyczone z mojej wystawy w Olecku. No naprawdę, ja nie narzekam. Od kilku lat ludzie się przekonują do tego, bo widzą rzeczy babci, na przykład ręczniki, które były robione ileś tam lat temu i są nadal używane. Można kupić w sklepach czy popularnych sieciach meblowych na przykład, ale to samo życie weryfikuje, ponieważ po kilku użyciach okazuje się, że trwałość nie taka. Jeśli człowiek ma świadomość, to i tak zwróci się do twórcy po te produkty. Ci, co robią, na pewno starają się dobrze robić, żeby to było na długi czas. Bo nie sztuka byle jak zrobić, tylko żeby to służyło ludziom.

Teraz mamy pytanie do obu pań: dlaczego akurat tkactwo i skąd ta pasja? Czy panie to miały w domu i u kogo się uczyły?

AB: Ja jestem urodzona na Kurpiach Zielonych, a w naszej okolicy w latach 60. i 70. krosna były prawie w każdym domu. Ziemie na Kurpiach są biedne i nie można było z tego żyć, więc ludzie po prostu tkali, jeździli gdzieś tam na jarmark i sprzedawali. To był dodatkowy dochód na utrzymanie rodziny. Tak samo było i u mnie w domu. Moja mama tkła cały czas kurpiowskie pasiaki albo chodniki szmaciaki. Ja wyrosłam na tym i dlatego się tego trzymam. Z tym że z domu od mamy to wyniosłam tylko to, że nauczyłam się dobrze robić osnowę, bo to jest podstawa i najważniejsze w tkaniu. Bo później to już jak się uszykuje warsztat, czyli założy się

osnowę, ponawleka, zaczyna się tkać, to już jest sama przyjemność, bo jest gotowość na wzory.

Jak wygląda ta strona artystyczna, skąd pomyśl na wzory, ornamenty?

Ja próbuję metodą prób i błędów. Kiedyś prowadziłam warsztaty i dziewczyny mówią: „Pani Aniu, jak to możliwe, że tu jest zielony kolor, tam czerwony albo żółty?”. Ja mówię: „Ale zobaczcie, to one się niby gryzą. Jeśli je doberiecie, dołożycie jedno do drugiego, wyjdzie super”. I właśnie na tej zasadzie można różne rzeczy robić. A mi się wydaje, że to wycucie takiego smaku, dobrania kolorów, zrobienia czegoś, no to już później się nabywa z czasem. Praktyka czyni mistrza.

Pani Roksano, proszę nam powiedzieć, mamy XXI wiek, to skąd w ogóle pomyśl na tak starą dziedzinę?

Roksana Butrym-Lampard: To jest w ogóle zabawne, że my z panią Anią w zasadzie pochodzimy z zupełnie innych kręgów kulturowych. Pani Ania jest Kurpianką, a ja z pochodzenia jestem Ukrainką. Już w trzecim pokoleniu moja rodzina została przesiedlona w ramach akcji „Wisła” na Mazury, gdzie mieszkam. W zasadzie ja mam



Anna Bałdyga, fot. Rafał Karpiński



Fot. Rafał Karpiński

taką teorię, że w ogóle bycie w mniejszości jakiegokolwiek sprawia, że człowiek jest bardziej wyczułony na pewne sprawy. Bardziej zauważa różnice, czy też jakieś ciekawe wątki. Dodatkowo w mojej rodzinie, od strony mamy zwłaszcza, kiedy byłam mała, babcia nie tkala już praktycznie, chociaż kołowrotek pamiętam, że był nasz, więc jeszcze musiało się prząść wcześniej. Moja babcia z kolei zawsze wyszywała, interesowała się haftem krzyżkowym, wręcz go kultywowała, bo to jest dla Ukraińców specyficzne, zwłaszcza z tego regionu, z którego ona pochodziła. To są okolice Hrubieszowa i tam się wyszywało mnóstwo i ciekawie, i kolorowo. Podpatrywanie babci, potem mamy, która musi coś robić z rękami non stop, inaczej nie usiedzi. I też później zainteresowanie, takie naukowe bardziej można powiedzieć. Wybrałam studia etnologiczne. Tak, teraz pracuję w Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, więc to

też daje wielkie możliwości, aby obcować i z tkactwem, i z haftem.

Czy to pani Roksana znalazła panią Anię, czy odwrotnie, a może jakiś przypadek? Jak doszło do współpracy?

AB: Ja cały czas kontakt utrzymuję z muzeum w Węgorzewie, więc byłam tam znana. Zresztą my od lat dziewięćdziesiątych braliśmy udział w różnych konkursach. Czy to było na wiosnę, czy gdzieś tam, bo ja i plastiką obrzędową się zajmuję, robieniem palm kurpiowskich, kwiatów z bibuły. Kiedyś tam się spotkałyśmy i Roksana zaproponowała napisanie wspólnego projektu, bo chciała się uczyć. Powiedziała, że jak jest jakiś konkurs czy wystawa, to ktoś musi oceniać, jak to jest zrobione. Chciała jako etnograf dokształcić się po prostu na żywo. Pytała, czy się zgadzam. Ja mówię: czemu nie? Przecież to dla mnie ważne, by każdemu wytłumaczyć i podzielić się swoją wiedzą. To są umiejętności, a resztę będzie dokształcał internet.

RB-L: Z mojego punktu widzenia to wygląda właśnie tak, że ja miałam to szczęście, że pani Ania się zgodziła. Od czego w ogóle się zaczęło? Zaczęłyśmy od pomysłu nawet nie na samo tkactwo, tylko na przędzenie, i na tym etapie na razie jesteśmy. Na wrzecionie i na kołowrotku, bo o ile można powiedzieć, że moda na tkactwo wraca bardzo silnie, to widać w Białymstoku, to widać na całym Podlasiu, gdzie organizuje się festiwale, kursy i tak dalej, natomiast zanika umiejętność samego wykonywania przędzy. Ona przeważnie jest już gotowa, kupiona do tkania i już. Jest coraz mniej osób, które po prostu jeszcze potrafią prząść i potrafią przekazać tę umiejętność. I jeszcze przy okazji tworzyliśmy wtedy wystawę. Pani Ania zgodziła się, aby jej prace były na wystawie u nas w Muzeum Kultury Ludowej. No i przy jednej z wizyt, właśnie kiedy omawialiśmy wystawę, odważyłam się, spytałam i pani Ania się zgodziła. I tak to się dzieje.

A jak pani ocenia zainteresowanie młodzieży w swoim regionie? Jacy klienci podchodzą do stoiska, jak wygląda kontakt z klientami – przyglądają się tylko czy rozmawiają?

AB: Co do młodzieży, to ja nie wiem. Tak jak w życiu nieraz jest. Młodzi ludzie nie wiedzą jeszcze, co ich czeka. Nie wiedzą dokładnie, czym się zająć. Próbują różnych rzeczy. Ja się nie dziwię, bo nieraz to człowiek by spróbował jakichś rzeczy takich, o których nie ma się nawet pojęcia. Jak się raz zacznie i się uda coś tam, to wtedy ciągnie. Może jak jestem na pokazach czy na warsztatach, to młodzi, a dobrze, bo to tak fajnie się szybko robi, ale to gdzieś tam potem ucieka. Bo przychodzi szkoła, coś tam, później dzieci i to się odkłada. Gdzieś tam zakiełkowało trochę i ludzie później wracali. Jak tu ktoś przychodzi, to zawsze wygląda tak: „O, kiedyś moja babcia tak robiła, kiedyś moja ciocia tam gdzieś na krosnach pchała”. Od tego się zawsze zaczyna rozmowa i wtedy pytają, a jak to zrobione, z czego to jest zrobione? I w taki sposób to istnieje. Zaczyna się mówić i robić, jak to powstaje.

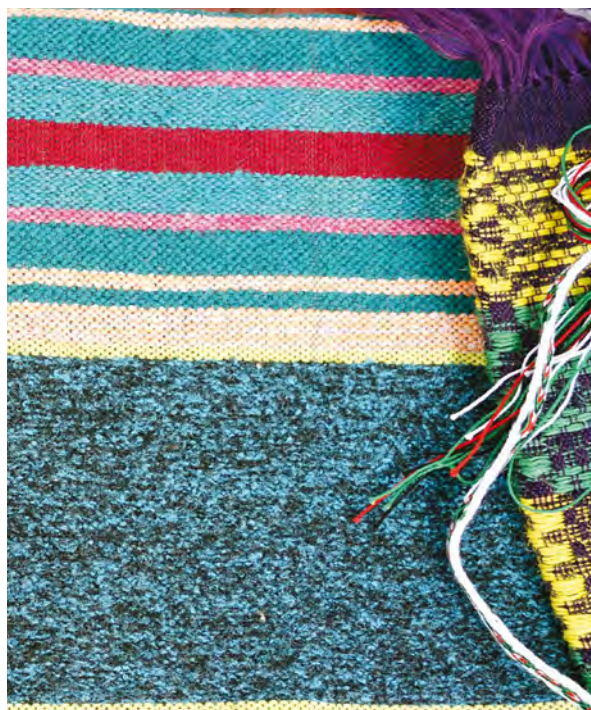
Jak na przykład do muzeum przychodzi szkolna grupa, jakie ma pani wrażenie? Czy rzeczywiście widać zainteresowanie?

RB-L: Jest to dla nich bardzo egzotyczne. W zasadzie można powiedzieć, że zupełnie abstrakcyjne, że jest im ciężko w ogóle skupić się na tym. Dopiero kiedy padają nazwy, staram się przemycić tę wiedzę w ten sposób, że mówię: „Aby przygotować krosna, to trzeba je zaprogramować”. I to jest naprawdę programowanie, prawda? Czyli tak jak gdzieś tam na programach jest, bo coś tam jak kratka, kropka, inne elementy. Więc ta zmiana języka pozwala jakoś przykuć ich uwagę. Niemniej jednak mam wrażenie, że największa grupa zainteresowanych, którzy właśnie zaciekawiają się i słuchają, to są ludzie powyżej 50. roku życia, którzy już mogą zwolnić, mogą wy-

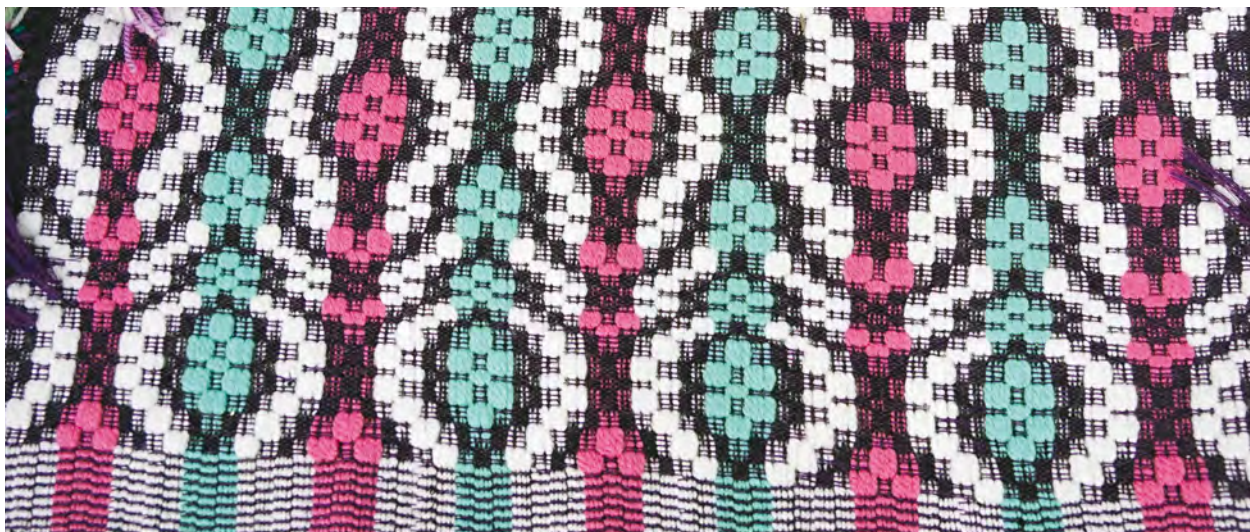
hamować i szukają swoich pasji. Takie jest moje wrażenie. Kiedyś było trochę nauki w szkole: igła, nitka, wyszywanie, coś tam, cerowanie, było obowiązkowe, były zajęcia z tego. Teraz jest mniej. Gdy się gdzieś tam spotka raz i to się spodoba, wtedy po jakimś czasie wracamy. Przyjdzie raz, spróbuje drugi i wtedy się wciąga. Inaczej tego nie można nazwać.

Czy panie, wykonując takie piękne rzeczy, uważają, że ludzie chcą takimi właśnie serwetkami, chodniczkami dekorować swoje domy?

AB: Najpierw były cepeliowskie oferty obejmujące wszystko, ale potem był przestój, bo lepiej kupić tam gdzieś w sklepie za parę groszy. Okazywało się, że właśnie tak jak mówiłam, po dwóch, trzech praniach, po jakimś czasie używania, to trzeba było wyrzucić i to już nie funkcjonowało, było nieładne. Jeśli mamy tkaninę, możemy dopasować sobie do wszystkiego. Tak jak któraś pani mówiła, że to tak wygląda, jakby było wypalane na drzewie. I tak właściwie, jeśli ktoś ma drewniane jakieś meble, to ma idealne połączenie,



Fot. Rafał Karpiński



Fot. Rafał Karpiński

więc ja też to odczuwam, że to jest jakby łączenie tej tradycji z nowoczesnością. Dobrze, mam nadzieję, że bardziej się przyjmimy.

Czy gminne urzędy, ośrodki kultury rzeczywiście współpracują z twórcami w terenie? Czy mają otwarte drzwi i okienka dla twórców?

AB: Urzędy na razie tak, jeszcze się wstrzymują. Nie ma takiego czegoś, jak na przykład jakaś izba, z którą można by było nawiązać współpracę. Zresztą ja sama nie patrzę na urząd i nie czekam na nich. Mam swoją pracownię i tym się chwalę. Jeśli ktoś mnie zaprosi, jadę na pokazy. Jeśli ktoś chce wystawy, to też. W tej chwili jest moja wystawa

w Domu Kultury w Olecku, więc tak jakby trochę już zaczynają doceniać to, że to warto. Warto, żeby biura turystyczne kontynuowały opracowania swoich tam metod. Są stowarzyszenia, które udostępniają swoje otwarte pracownie i organizują wydarzenia w lipcu. Twórca, zwłaszcza malarz czy rzeźbiarz, może tam prezentować swoją pracę w tych dniach. Nikt tam nie płaci i to jest superpomysł. Ludzie o niektórych rzeczach nie wiedzą. Nawet we wiosce nie wiedzą, że ktoś coś robi.

Bardzo dziękujemy za ciekawą rozmowę. Życzymy znakomitej współpracy i do zobaczenia.



Izabela Wolniak – etnograf i polonistka. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Przez wiele lat pracowała w muzealnictwie (Muzeum Etnograficzne w Krakowie, Muzeum Narodowe w Warszawie). Uczestniczyła w dialektologicznych i etnograficznych badaniach terenowych w różnych regionach Polski. Szczególnie interesuje się folklorem muzycznym i słownym. Członkini Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Od 2019 roku związana z Narodowym Instytutem Kultury i Dziedzictwa Wsi.



Mamadou Diouf – urodzony w Senegal, mieszkający w Warszawie od czterech dekad, doktor nauk weterynaryjnych, muzyk i były prezenter radiowy. Artysta zafascynowany polską kulturą i historią. Od wielu lat włącza się w szereg inicjatyw kulturalnych integrujących cudzoziemców mieszkających w stolicy. Pracuje w Dziale Programowym Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi.

Pośredniczki, mediatorki, uzdrowicielki

Magdalena Trzaska



Szeptucha Anna Bondaruk, fot. Andrzej Sidor/Forum

Dla wielu osób są ostatnią deską ratunku w walce z chorobą i innymi problemami. Mieszkają na Podlasiu, na terenach, gdzie przeważa religia prawosławna, ale zjeżdżają się do nich ludzie z całego kraju. O tym, kim są szeptuchy, w czym pomagają i jakie mają relacje z cerkwią, Magdalena Trzaska rozmawiała z dr Ewelina Sadanowicz, autorką książki „Szeptuchy. Religijność ludowa na Podlasiu”.

We wstępie książki „Szeptuchy. Religijność ludowa na Podlasiu” pisze pani, że wybrała ten temat, bo bezpośrednio pani dotyczy. Czy jest tak tylko ze względu na miejsce pochodzenia, czy także ze względu na pewne doświadczenia z tym związane?

Raczej przede wszystkim ze względu na miejsce zamieszkania. Wydaje mi się, że każdej osoby, która w jakiś sposób się wychowała w tej okolicy, o której piszę, dotyczy ten temat. Co prawda ja nie miałam w rodzinie żadnej szeptuchy. Natomiast tak jak większość ludzi, z którymi przez te



dr Ewelina Sadanowicz, autorka książki „Szeptuchy. Religijność ludowa na Podlasiu”, fot. Radio Białystok

lata rozmawiałam, kiedy prowadziłam badania, jako dziecko miałam z szeptuchami styczność. Moi rodzice korzystali z ich usług, więc dla mnie ten temat jest oswojony. Z perspektywy dorosłej osoby rzeczywiście może lekko niesamowity i tajemniczy, ale jednocześnie zwyczajny.

Czyli właściwie na Podlasiu, tak jak to już w książce wybrzmiało, jest to codzienność tych społeczności, które pani opisuje.

To zależy. Jeśli chodzi o kontakt, to szeptuchy mieszkają przede wszystkim na wsi i w tych społecznościach wiejskich to może być codzienność. W miastach takich jak Hajnówka czy Bielsk Podlaski z tym kontaktem trudniej, ale sam temat jest powszechnie znany i tak jak mówię, praktycznie każda osoba, z którą gdzieś nawet powierzchownie rozmawiałam, była u szeptuchy w jakimś momencie swojego życia.

Jakie to są momenty, kiedy szuka się pomocy u szeptuchy?

W przeszłości może było inaczej, ale dziś szeptucha jest ostatnią deską ratunku. Ludzie się do

niej zgłaszają, gdy zawodzi medycyna i wszelkie inne sposoby.

Nie dla wszystkich jest jasne, kim właściwie są szeptuchy. Kojarzone są z wiedźmami, czarownicami albo żeńskimi odpowiednikami znachora.

Pisząc swoją pracę, ustaliłam sobie definicję – najpierw roboczą, ale wydaje mi się, że ona się sprawdziła. Szeptuchy czy też babki, bo w terenie tak właśnie częściej się je nazywa, są to osoby, w świadomości swojej i innych, potrafiące manipulować pewną sakralną mocą. Te zdolności bardzo mocno zbliżają je do kapłana. Mówi się, że szeptuchy zajmują się „odrabianiem” czegoś, co zostało zrobione nie tak jak trzeba.

Czyli można powiedzieć, że zajmują się naprawianiem, tego co zostało popsute?

Dokładnie tak. Słowo wiedźma albo czarownica także się pojawia, ale w nieco innym znaczeniu. Babki postrzegane są jako osoby, które leczą i generalnie pomagają, natomiast wiedźmy czy czarownice manipulują tymi samymi mocami,

ale w celu czynienia zła. Podczas badań zaskoczeniem było dla mnie, że w zasadzie i czarownica, i szeptucha to może być jedna i ta sama osoba, bo umie i pomagać, i szkodzić i tylko od jej woli i decyzji zależy, co będzie robiła. Może uroki rzucać albo się ich pozbywać.

Mówimy o czarownicach i rzucaniu uroków – to kojarzy się magią, ale nie z religią. Wydaje się być przeciwieństwem religii. Tymczasem szeptuchy są osobami bardzo wierzącymi, mocno osadzonymi w prawosławiu.

Tak jest. Cała ta społeczność, którą badałam, jest społecznością bardzo religijną, w ogromnym stopniu prawosławną. Babki mieszkają na tych terenach, gdzie do dzisiaj jest większość wiernych prawosławnych, co jest pewnym ewenementem w skali kraju. Dlatego też to jest rzeczywiście bardzo mocno powiązane z prawosławiem, w dużym stopniu się z tego tak synkretycznie wywodzi. I tutaj nie da się postawić granicy, gdzie się zaczynają jakieś wierzenia bardziej pogańskie, gdzie chrześcijańskie, to wszystko jest bardzo ściśle ze sobą powiązane.

Jaki w takim razie jest stosunek cerkwi do szeptuch i ich działalności?

Warto podkreślić, że cerkiew prawosławną na Podlasiu czy w Polsce nie podważa istnienia magii. Magia jest czymś, co rzeczywiście według prawosławia istnieje, realnie istnieje, natomiast jest postrzegane jako coś złego. Bardzo ciekawy jest natomiast fakt, co jest uważane za tę magię. Wielu duchownych nie uważa działalności babek za magię. One same często mówią, że się po prostu bardzo mocno modlą. Nie wszyscy duchowni są w tej kwestii jednomyślni.

Mówimy, że szeptuchy manipulują pewnymi mocami, jednak nie jest to uznawane za magię. Czym zatem jest magia?

To słowo bardzo rzadko się pojawiało w moich badaniach. Ja badałam trzy grupy: osoby duchowne – ekspertów, szeptuchy i tak zwanych przeze mnie pacjentów tych szeptuch, czyli osoby, które korzystały z ich usług. Słowo „magia” częściej pojawiało się w wypowiedziach osób duchownych i oznaczało zjawisko pochodzenia demonicznego czy diabelskiego, polegające na czynieniu zła. W przeciwieństwie do tego, co pochodzi od Boga. I niosące pomoc szeptuchy, w oczach osób badanych, nie zawsze były postrzegane jako parające się magią, czyli czymś złym właśnie, tylko jako osoby modlące się – bardzo religijne, które mogą się stać autorytetem w społeczności. Trzeba jeszcze dodać, że nie ma żadnych odgórnych nakazów czy zapisów mówiących, co jest, a co nie jest magią. Wszystko tutaj jest zostawione



Kukielka szopkowa – Czarownica, autor: Dzierżak Władysław, pierwsza ćwierć XX w. (1905–1914)
Małopolska, zbiory Muzeum Etnograficznego
w Krakowie, domena publiczna



Szeptucha Anna Bondaruk, fot. Andrzej Sidor/Forum

do decyzji przede wszystkim osób duchownych, ale też wiernych.

A skąd nazwa „szeptuchy”?

Od szeptania a czasem mamrotania. Ta mowa rytualna często jest niezrozumiała. Jest to taka mowa-nie mowa, czyli taka mowa nieludzka, ułatwiająca zwracanie się do zaświatów, do tego świata *sacrum*, który jest obcy i dziwny. Chociaż szeptuchy nie zawsze szepczą. Czasem po prostu powtarzają na głos swoje modlitwy. Natomiast z tego, co też one same mi powiedziały, zawsze jest taka jedna modlitwa, ich taka najbardziej prywatna, którą one mówią po cichu, czyli w taki sposób po prostu niezrozumiały.

Zwracają się do *sacrum*, czyli tak jak wspomniany wcześniej kapłan, są takimi pośrednikami między naszym światem a światem sakralnym.

Tak, pośrednikami, mediatorami, można powie-

dzieć. One starają się poprzez rytuał wejść w ten świat *sacrum*, ale w sposób bezpieczny zarówno dla siebie, jak i dla pacjenta. Wejść i bezpiecznie wrócić.

Widzę tutaj dużo podejścia charakterystycznego dla medycyny ludowej i w ogóle ludowej wizji świata – rytuały przejścia, stosunkowa bliskość *sacrum* i człowiek jako część wszechświata, przyrody, gdzie możliwa jest pewna wymiana energii, manipulowanie nią.

Zgadza się, tylko w moich badaniach w ogóle się nie pojawiało słowo energia. Niektórzy właśnie mówili o pewnej mocy, o manipulowaniu mocami, ale nie energią.

Gdy myślimy o medycynie ludowej, przychodzi do głowy zasada, że podobne leczy podobne, świat zbudowany jest z przeciwieństw, a najwięcej mocy jest na granicach. Czy to wszystko jest obecne w rytuałach szeptuch?

Jest to bardzo obecne. Widoczne są takie granice i czasowe, i przestrzenne, i wartościowanie przestrzeni. Na przykład szeptucha może kazać swojemu pacjentowi wyrzucić jakieś zawiniątko przez lewe ramię, na progu, o północy. Już w tym widzimy zachowanie wszelkich zasad medycyny ludowej. Babki przyjmują głównie we własnym domu, w jego centralnym miejscu przy piecu. W skład tego miejsca wchodzi ogień czy przeciwstawna woda, świece w połączeniu z elementami sakralnymi jak ikona czy krzyż, które mają ogromne moce. Natomiast zasada „podobne leczy podobne” widoczna jest choćby w leczeniu róży – takim mianem w medycynie ludowej nazywano choroby skóry. Chora skóra stawała się czerwona, więc do leczenia używano czerwonych przedmiotów, takich jak chustki.

Wspomnieliśmy o róży, o urokach, musimy zatem powiedzieć jeszcze o kolejnej „chorobie” z medycyny ludowej, czyli o kołtunie. Czym był ten tajemniczy kołtun?

Kołtun to po prostu splecione, skołtunione włosy. W takiej formie on już w dzisiejszych czasach nie występuje. Natomiast szeptuchy w dalszym ciągu wyróżniają ten kołtun jako taką jednostkę chorobową utożsamianą z inną chorobą – nerwem. Kołtun jest postrzegany nie tyle nawet jako choroba, ale jako efekt choroby. Gdy dawniej te kołtuny fizycznie występowały, to one były właśnie takimi fizycznymi efektami. Szeptuchy uważają, że w ciele każdego człowieka istnieje pewna cząstka, na co dzień niewidzialna, która gdzieś tam sobie spokojnie siedzi w jakimś zakamarku ciała człowieka i gdy człowiek jest spokojny i zdrowy, to ta cząstka po prostu sobie tam istnieje. Gdy coś się dzieje – i może to być na przykład stres, bo jest on uważany przez szeptuchy za czynnik chorobotwórczy – to ta cząstka zaczyna się przemieszczać. I to przemieszczanie się powoduje różne dolegliwości albo właśnie dawniej kołtuny. Dziś

jest to także łączone np. z nowotworem. Uznanie stresu za czynnik chorobotwórczy, wspomnianie o nowotworach świadczy o tym, jak szeptuchy dopasowują nową wiedzę medyczną do tego, co znane z tradycji.

I widać tutaj podejście do ciała, do człowieka jako do takiej całości, gdzie umysł, nerwy i ciało stanowią jedno i wpływają na siebie.

Absolutnie. Tutaj nie ma żadnej różnicy między chorobami ducha a chorobami ciała czy nawet chorobami psychicznymi. Dlatego jeśli ktoś przychodzi z jakimiś problemami natury psychicznej czy z nowotworem, czy z jakimiś problemami skórnymi, to szeptucha do pewnego stopnia ma ten sam zestaw sposobów leczniczych.

Mówiliśmy wcześniej, że to jest jakby naprawianie tego, co zostało zepsute, ale to nie musi być ciało, nie musi być choroba, prawda? Mogą być na przykład kłopoty rodzinne, osobiste i tego typu sprawy.

Tak, jak najbardziej. Są ostatnią deską ratunku w kwestiach zdrowotnych, ale bardzo często pomagają także w kwestiach niemedycznych.

Stereotypowo myśląc o szeptuchach, widzimy starsze kobiety. Czy są to wyłącznie starsze kobiety?

To nie są wyłącznie starsze kobiety, natomiast w zdecydowanej większości tak. Nawet bym powiedziała, że to są właśnie starsze prawosławne kobiety, jako taki już pełny stereotyp. I ten stereotyp rzeczywiście nie odbiega mocno od rzeczywistości. Jeśli chodzi o starość, to ma to uzasadnienie też w wierzeniach tradycyjnych – to powinna być osoba, czyli może przede wszystkim właśnie kobieta, która już nie miesiączkuje. Najmłodsza szeptucha jaką spotkałam, miała 60 lat, natomiast te uważane za takie najmocniejsze czy najslawniejsze szeptuchy już są po osiemdziesiątce. A jeśli

chodzi o płeć, jak najbardziej są też mężczyźni. Do dzisiaj też jest jeszcze przynajmniej kilku mężczyzn. I na nich też się mówi szeptuchy. Najczęściej jednak mówi się o tych osobach po imieniu, czyli np. Anatol z Orli albo Anna z Rutki.

A jak się zostaje szeptuchą? Jak i komu one przekazują swoją wiedzę i umiejętności?

To się odbywa na kilka sposobów i tutaj również zależy od samej babki. W przeszłości najczęściej babka przekazywała wiedzę swojej najstarszej albo najmłodszej córce. I odbywało się to raczej w sposób naturalny – ta córka od dzieciństwa obserwowała te rytuały i właściwie samoistnie „nasiąkała” tą wiedzą. Natomiast tym ostatnim elementem rzeczywiście przekazywanym następnej osobie jest zdradzenie tej prywatnej, owianej tajemnicą modlitwy. Dziś życie wygląda inaczej. Dzieci często nie chcą przyjmować na siebie takiego obowiązku, jakim jest „szeptuchowanie” i wtedy szuka się dalej.

Da się stwierdzić, ile szeptuch dziś działa na tych terenach?

Ja swoje badania skończyłam przed pandemią i wtedy było to co najmniej 50 osób.

Szeptuchy są prawosławne, ale z ich usług korzystają także osoby przyjezdne, niekoniecz-

nie tej religii, wiary, czy tego światopoglądu nawet.

Tak, jak najbardziej. Do tych najbardziej znanych szeptuch przyjeżdżają osoby z całej Polski, a nawet z innych krajów. I szeptucha nie wymaga od nich wyznawania jakiejś konkretnej religii a nawet jakiegokolwiek religii. Natomiast niektóre szeptuchy podkreślają, że wiara jest niezbędna. Ja bym to łączyła raczej z wiarą w samo powodzenie rytuału, a nie wiarą konkretnie religijną.

Na koniec pytanie być może nieco prowokacyjne – czy to działa?

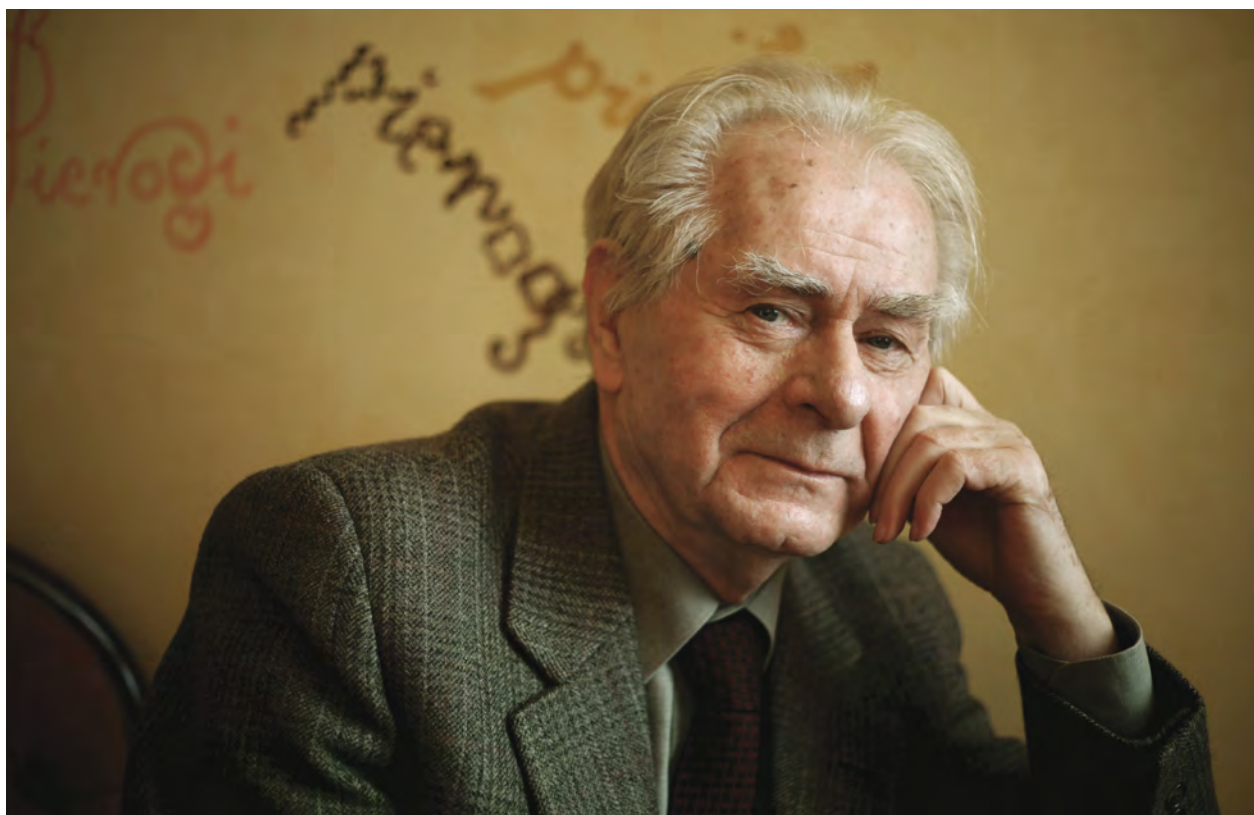
Przeprowadziłam bardzo dużo rozmów z osobami korzystającymi z usług szeptuch i w 95% były to opowieści o tym, jak bardzo im to pomogło w bardzo różnych dolegliwościach, właśnie od zmian skórnych, od problemów bardziej psychicznych, czy nawet romantycznych, jak słyszałam, do bardziej poważnych chorób. I opowiadający często byli zaskoczeni, że już nic nie pomagało, że lekarze rozłożyli ręce i że właśnie rytuał im pomógł. Natomiast też z drugiej strony słyszałam od bardziej sceptycznie nastawionych osób historie, że szeptucha pomaga w tym, z czym się przychodzi, ale konsekwencją mogą być inne dolegliwości lub kłopoty. Czyli coś za coś i jest cena, jaką trzeba za to zapłacić.



Magdalena Trzaska – absolwentka etnologii na Wydziale Nauk Historycznych i Pedagogicznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Interesuje się sztuką ludową, zwyczajami i tradycjami oraz bogactwem kulturowym, przyrodniczym i turystycznym polskiej wsi. Autorka tekstów na temat twórczości i oddolnych inicjatyw rodzących się na terenach wiejskich. Udowadnia, że „być ze wsi” – to brzmi dumnie. Kieruje Działem Programowym NIKiDW.

O twórczości Wiesława Myśliwskiego

Izabela Wolniak



Wiesław Myśliwski, fot. PAP/Tomasz Gzell

Wiesław Myśliwski – pisarz, eseista, dramaturg, jeden z najwybitniejszych twórców współczesnej literatury polskiej. Urodzony w 1932 roku w Dwikozach koło Sandomierza całe swoje twórcze życie związał z kulturą chłopską, a jego utwory są uniwersalną opowieścią o człowieku, jego losie, pamięci i tożsamości. Pisarz otrzymał liczne odznaczenia i nagrody, w tym dwukrotnie Nagrodę Nike, doktoraty Honoris causa i tytuł Wielkiego Ambasadora Polszczyzny. Jego książki tłumaczono na wiele języków obcych, są czytane i analizowane na całym świecie.

„Słowo jest jak człowiek – może być samotne, pokorne, pyszne, może milczeć i krzyczeć. Ale zawsze coś znaczy”.

Wiesław Myśliwski



Lessowy wąwóz znad Opatówki, autor zdjęcia otrzymał I nagrodę w konkursie Wakacje na wsi #odkrywam w 2020 r.
fot. Andrzej Kozicki

O twórczości Wiesława Myśliwskiego pisaliśmy szerzej w „Kulturze Wsi” nr 25. Okazją, aby po raz kolejny przypomnieć utwory pisarza, jest II Międzypokoleniowy Festiwal Literacki „GENeracja Słowa” odbywający się pod hasłem „Od Reymonta do Myśliwskiego – regionalizm wczoraj i dziś”.

Twórczość Wiesława Myśliwskiego to prawdziwa perła polskiej literatury współczesnej – głęboka, refleksyjna i zakorzeniona w kulturze chłopskiej, ale jednocześnie uniwersalna w przesłaniu. Autor z chłopskiej perspektywy czerpie z języka, doświadczeń i mentalności polskiej wsi, która staje się u niego metaforą kondycji ludzkiej. Jego książki to nie tylko opowieści o życiu, lecz także rozważania o pamięci, tożsamości, przemijaniu i sensie istnienia. Styl narracji w powieści przypomina opowieść ustną – pełną dygresji, rytmiczną, osobistą. Narratorzy często mówią do kogoś (czasem nieistniejącego), co tworzy intymność i filozoficzną głębię. Choć zakorzenione

w lokalności światopogląd i tematyka utworów mają wymiar ogólnoludzki – dotyczą każdego, niezależnie od miejsca i czasu, są uniwersalne.

Jerzy Illg we wstępie do książki *W środku jesteśmy baśnią* napisał: „Myśliwski pozostaje we współczesnej literaturze – myślę, że nie tylko polskiej – zjawiskiem wyjątkowym i zasługującym na najwyższą uwagę. Jego powieści pisane bez pośpiechu, ignorujące literackie mody i rynkowe targowisko próżności, to w rzeczy samej pełne mądrości i dojrzałej wiedzy o życiu traktaty, przypowieści czy jak pisano – filozoficzne eseje, które nie przestają równocześnie być fascynującymi narracjami, zachęcającymi do lektury wielokrotnej”¹.

Najważniejsze dzieła Wiesława Myśliwskiego: *Nagi sad* (1967), *Kamień na kamieniu* (1984), *Widnokrąg* (1996), *Traktat o łuskaniu fasoli* (2006), *Ucho igielne* (2018) ukazywały się niespiesznie, średnio co dziesięć lat. Bo też sam autor pisząc swoje powieści, nie korzysta z kom-

putera, pisze ołówkiem, pracuje sumiennie i starannie kreśli słowa. Powiedział: „Bywam pisarzem z trudem i raz na parę lat. (...) Piszę tylko wtedy, kiedy coś mnie wybierze, żebym to opisał”². Dlatego tematy powstających powieści są bardzo różnorodne; relacje ojca z synem w *Nagim sadzie* czy arcydzieło o przemijaniu i pamięci *Kamień na kamieniu*, monolog o losie, przypadku i tożsamości *Traktat o łuskaniu fasoli* – niezmiennie jest w nich tylko to, że każda z nich jest prawdziwą esencją wiedzy o człowieku i jego tajemnicy. W każdej pojawiają się myśli, zdania i sentencje, które towarzyszą czytelnikowi długo po przeczytaniu utworu.

Twórczość Wiesława Myśliwskiego jest głęboko zakorzeniona w doświadczeniach historycznych XX wieku, które ukształtowały zarówno jego światopogląd, jak i literacką wrażliwość. Czas II wojny światowej, na który przypada dzieciństwo pisarza, powojenne przemiany na wsi, kolektywizacja, migracje do miast – wszystko to prowadziło do rozpadu świata, który znał i w którym dorastał. Historia w powieściach Myśliwskiego przenika życie zwykłych ludzi, jest doświadczeniem, które ich kształtuje. Bohaterowie często poprzez opowieść odnajdują swoją przeszłość i tożsamość, przywołują swoich bliskich, miejsca, z których się wywodzą. Posługują się formą monologu, który staje się refleksją nad życiem, przemijaniem i sensem istnienia.

Traktat o łuskaniu fasoli to przepiękna powieść, a raczej opowieść o samotnym człowieku. Bohater w długim monologu zaprasza tajemniczego rozmówcę (osobę, która chciała kupić fasolę), ale też czytelnika, do swojego świata; proponuje łuskanie fasoli, codzienną czynność, która staje się pretekstem do przywoływania wspomnień. W jego trakcie gość dowiaduje się o dzieciństwie bohatera spędzonym w rodzinnej wsi, o jego bolesnych doświadczeniach z czasu wojny, pierwszych latach komunizmu – pobycie w szkole (hufcu pra-

cy?), pracy na budowach, miłości do muzyki i gry na saksofonie, wyjeździe za granicę i powrocie do Polski, do rodzinnej wsi, której już nie ma, a którą zastąpiły domki letniskowe. Czas w powieści nie płynie linearnie, wydarzenia nie następują po sobie w sposób chronologiczny, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość przenikają się, poprzepłatanie licznymi dygresjami i retrospekcjami. Cała powieść to monolog skierowany do nieznanego, który może być realny lub symboliczny – jakby pamięć potrzebowała świadka. Pamięć staje się próbą zrozumienia przeszłości i pogodzenia się z nią, choć również źródłem bólu i niepewności. Lecz bohater wg Myśliwskiego, „mimo tragedii, jakiej doznał w dzieciństwie – twierdzi, że jednak warto żyć. Mówi też, że dzięki wszystkim, których spotkał na swej drodze, przekonał się, że w swym bólu, nieszczęściu, ułomności nie jest wyjątkiem, a jeśli nawet nim jest, to znaczy, że świat zaludniają same wyjątki”³. Te słowa pokazują, że dla Myśliwskiego pamięć to nie tylko zbiór faktów – to przestrzeń duchowa, w której człowiek próbuje odnaleźć siebie.

Do końca powieści nie pada imię głównego bohatera, nie wyjaśnia się także, kim jest osoba, która chciała kupić fasolę. Autor dokładnie natomiast opisuje miejsca, na przykład rzekę Rutkę czy cmentarz w lesie. Ludzie są celowo owiani mgłą anonimowości. Ich los staje się pretekstem do snucia rozważań dotyczących sensu istnienia.

„Czy zastanawiał się pan kiedyś, jak silnie związani jesteśmy z przeszłością? Niekoniecznie naszą. Zresztą cóż to jest nasza przeszłość? Gdzie są jej granice? To jest coś w rodzaju bliżej nieokreślonej tęsknoty, tylko za czym? Czy nie za tym, czego nigdy nie było, a co jednak minęło?”⁴ Twórczość Wiesława Myśliwskiego to literatura, która nie tylko opowiada, ale i **zadaje pytania** – o to, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy.

Traktat o łuskaniu fasoli

(fragmenty)

Łuskanie fasoli zaczynało się zawsze od światła. Matka zmyła statki po obiedzie, zamiotła i na ten czas do zmierzchu zapadała z różańcem w rękę między łóżkiem a kredensem. Babka zazwyczaj drzemała. Dziadek wychodził na obejście rozejrzeć się, czy wszystko jest, jak było. Każdy czekał jakby na ten zmierzch, gdy się miało łuskać fasolę. Ojciec siedział na ławie pod oknem i kurząc papierosy jeden za drugim, patrzył w okno, jakby kogoś wypatrywał. Zmierzch z wolna wszystko już zasnuł, a on patrzył i patrzył w okno. Wydawać by się mogło, że na ten zmierzch patrzy. Ale czy to wiadomo, na co ktoś patrzy? Sądzi się, że na to czy na tamto patrzy, a on może patrzy w siebie. O, w sobie też ma człowiek widoki. Ale może i na zmierzch, jak gęstnieje, patrzył. Powie pan, cóż w takim zmierzchu może być ciekawego? Otóż powiem panu, kiedy sam nieraz patrzę, jak tak zmierzch zapada, zastanawiam się, czy to ten sam zmierzch, na który patrzył ojciec. Czy to mało? A od czasu do czasu jak gdyby wtórował temu swojemu patrzeniu:

– O, króciutki już dzień. Króciutki. Ani się w nim człowiek już mieści. Jeszcze się nie skończy, a tu noc. I po co tyle tej nocy? Po co?

I gasząc kolejnego papierosa, rzucał w stronę matki: – Świeć.

Matka podnosiła się od różańca. Zdejmowała lampę z gwoźdźca na ścianie. Sprawdziała, czy nafty w lampie starczy na to łuskanie. Czasem pytała się ojca:

– Może dolać?

Na co ojciec zwykłe:

– Dolej. – I nie omieszkiał jej nigdy przypomnieć, żeby knot przycięła, bo pewnie upalony, szkło wyczyściła, bo z wczoraj okopcone. Niepotrzebnie. Matka i tak by to zrobiła. Przygoto-

wanie lampy stanowiło jakby zwieńczenie dnia dla niej. Pewnie jakiś rodzaj dziękczynienia, że się znów dzień przeżyło. Toteż wkładała w przygotowanie całą swoją staranność, jakby od staranności zależało, czy się i następny przeżyje. A gdy dotykała zapalką knota, ręka jej drżała, a wciąż patrzyła, czy się ogień w lampie przyjął. I dopiero podkręcała lekko knot, a w jej podświetlonych za drucianymi okularami oczach pojawiała się jakby niedowiarą, że to z jej ręki stał się cud światła.

Nie uwierzy pan, ale nie mogłem doczekać tej chwili, kiedy matka zapali lampę. Ledwo zmierzch zaczynał się snuć za oknami, prosiłem: – Zapal, mama, zapal. – Nie umiem sobie tego wytłumaczyć, ale pragnąłem, żeby w całej wsi pierwsze światło u nas zapaliło się w oknie. [...] Pierwsze światło w całej wsi w naszym oknie, wydawało się, jakby pierwsze na świecie. Pierwsze światło, powiem panu, jest zupełnie inne, niż kiedy się już świeci i tu, i tam, i we wszystkich oknach, we wszystkich domach. Blask jego jest inny i nie ma znaczenia, czy pochodzi z naftowej lampy, czy z żarówki. Mdłe, jak to z naftowej lampy, a ma się wrażenie, że nie tylko świeci. Żyje. Bo, według mnie, są światła żyjące i światła umarłe. Takie, co tylko świecą, i takie, co pamiętają. Co odpychają i zapraszają. Co patrzą i nie poznają. Co wszystko im jedno, komu świecą, i takie, które wiedzą komu. Co niechby świeciły najjaśniej, a ślepe są. I takie, co ledwo się tłą, a widzą aż po koniec życia. Przebijają się przez każdy mrok. Najciemniejsza ciemność podda się im. Nie ma dla nich granic, czasu, przestrzeni. Są w stanie przywołać najdawniejszą pamięć, choćby roztrwonioną czy nawet gdy człowiek został z niej wydziedziczony. Nie wiem, czy się pan ze

mną zgodzi, według mnie pamięć jest takim lecącym do nas światłem dawno zgasłej gwiazdy. Czy niechby tylko naftowej lampy. Tyle, że nie zawsze jest w stanie do nas dolecieć za naszego życia. Zależy, z jakiej odległości leci i w jakiej odległości my od niej jesteśmy. Bo to nie są równe odległości. A w ogóle może wszystko jest pamięcią. Cały ten nasz świat, odkąd jest. I także my tu obaj, te psy. Czyją? Tego nie wiem.

W każdym razie kiedy zobaczyłem to światło, wiedziałem już gdzie się znajduję. Tym bardziej, że gdy się łuskało u nas fasolę, matka podkręcała lampę prawie na cały knot. A nigdy przy tym nie omieszkała spytać ojca, czy zrobić płomień wyższy. Jakkolwiek wiedziała, że powie: – Zrób wyższy. Nam by taki wystarczył, ale na twoje oczy musi być wyższy. – Potem rozścielała płachtę na podłozie, stawiała na tej płachcie pośrodku taborek, na tym taborku lampę, a ojciec wychodził po wiązki fasoli.

Tak że kiedy zobaczyłem, że to światło rozjaśniło się i znieruchomiło, wiedziałem, że matka postawiła lampę na taborku, a ojciec wyszedł po wiązki fasoli. Zatrzymałem się tylko na chwilę przed drzwiami, bo nie wiedziałem co powiedzieć, gdy wejdę. Po tylu latach, nikt się już pana nie spodziewa, i co powiedzieć, że po co przyszedłem? I tak się biłem z myślami, wejść, nie wejść i co powiedzieć, gdy przekroczę próg? A przekroczyć próg najtrudniej w sobie, jak pan wie. W końcu pomyślałem, najlepiej zwyczajnie wejdę i spytam, czy nie mają fasoli do sprzedania.

Siedzieli w kręgu naftowej lampy, ojciec, matka, dziadek, babka, obie siostry, Jagoda, Leonka, i stryj Jan jeszcze żył. On jeden wstał, gdy wszedłem, i napił się wody. Pił dużo wody przed śmiercią. A tak wszystkim strąki fasoli zastygły tylko w rękach. Stałem poza kręgiem światła tej lampy, tuż przy drzwiach, a oni jakby w takim podplomyku tego światła siedzieli, tak, że dobrze



Dolina Opatówki, zdjęcie nagrodzone I nagrodą w konkursie Wakacje na wsi #odkrywam w 2020 r., fot. Andrzej Kozicki

ich widziałem. Na niczyjej jednak twarzy nie pojawił się uśmiech, zdziwienie czy choćby jakiś grymas. Patrzyli na mnie, ale oczy mieli jakby umarłe, tylko nie miał im kto pozamykać powiek. Jedynie te strąki w ich rękach świadczyły, że łuskają fasolę. No, i nie poznali mnie.

A dużo pan chciał tej fasoli? Tyle to bym może miał. Tylko że nie łuskana. Ale gdyby pan mi pomógł, moglibyśmy wyłuskać. Nigdy pan nie łuskał? Nie takie to trudne. Pokażę panu. Po paru strąkach już pan będzie umiał. Pójdę, przyniosę. [...]

Pan lubi zioła? To tak samo jak ja. Ale miód pan chyba lubi? To dam panu słoik w prezencie. Nie będzie pan przynajmniej wyrzucał sobie, że pan przyszedł do mnie nadaremno. Mam swój, nie kupowany. Tu, z brzegu lasu, może widział pan, stoi kilka uli, to moje. Z tych kilku, jeśli rok jest miodny, zbiorę nieraz miodu a miodu. Sam bym nie przejadł. Z paru lat mam miód, taki wystany najlepszy. Ktoś mi jakąś przysługę wyświadczy, zwykle miodem mu się odwdzięczam, jeśli nie chce pieniędzy. Czy tak jak teraz, po sezonie, ktoś mnie odwiedzi, to nie wyjdzie ode mnie bez słoika miodu. Czy w domkach imieniny ktoś obchodzi, pójdę złożyć mu życzenia i przynajmniej ten słoik miodu zaniiosę w prezencie. Albo gdzie są dzieci, o dzieciach bez żadnej okazji pamiętam. Dzieci powinny jeść miód.

Najlepiej jednak miód pić. Jak? Łyzeczkę od herbaty miodu zalewa pan rano pół szklanką lekko ciepłej wody. I niech tak stoi do następnego rana. Wciska pan połówkę czy ćwiartkę cytryny, zamieszać i wypić na czczo, co najmniej pół godziny przed śniadaniem. Jeśli za zimne, dolać ciut gorącej wody. Samo zdrowie. Na serce, na reumatyzm. Miód na wszystko jest dobry. Nie będą pana przeziębienia łapać. Za młodu, kiedy na budowach pracowałem, mieszkaliśmy na kwaterze u jednego pszczelarza i on mnie tego nauczył. Ale gdzie tam miał wtedy człowiek głowę do picia

miodu. Nigdy na to czasu nie było. A jeśli już, to wódkę się piło. Wódka była wtedy na wszystko najlepsza, nie miód. A jaki pan woli, wrzosowy czy spadziowy? Spadziowy iglasty, nie liściasty, aż czarny i znacznie lepszy. To dam panu i taki, i taki po słoiku. Ja najbardziej lubię gryczany. Kiedyś siał tu jeden dużo gryki. Odmalowywałem trzy dni temu jego tabliczkę. Nie zaczynała jeszcze gryka kwitnąć, już wstawiał w nią ule. Chodziłem patrzeć, jak wybiera z tych uli miód. On w kapturze, z siatką na oczach, a ja tak. I nie uwierzy pan, nigdy żadna pszczoła mnie nie użądliła. Siadały na mnie i ani razu. Nie mógł się nadziwić. Dziwny jakiś, chłopak, jesteś. To ja pszczelarz... Leć, przynieś jakiś garnek. I nalewał mi prosto z ula tego miodu. Ale teraz kto by tu miał siać grykę i gdzie? Widział pan, zalew, nad zalewem domki, las. Las i wtedy był. To jedyne, co wtedy było, jest i teraz. Z tym że las był w większości po tej stronie. Teraz i po tamtej zarósł, gdzie pola były. Lasu jak się nie powstrzyma, wejdzie i w obejścia. Gdzie obejścia były, też zarósł. Po tamtej stronie, to mam na myśli po tamtej stronie Rutki. Rutka? Rzeka, co tu kiedyś płynęła, wspominałem panu, że dzieliła wieś. Jak by powstał zalew, gdyby nie płynęła rzeka? Od ruty, nie od rudy. Wie pan, co to ruta? To nie jest pan wyjątkiem. Tu, w domkach, prawie żadnych ziół nie znają. Miętę, rumianek najwyżej. Drzew nie znają, dębu od buka nie potrafią odróżnić. A już taki grab, jawor, szkoda mówić. Żyta od pszenicy nie potrafią, pszenicy od jęczmienia. Na wszystko mówią zboże. Ciekaw jestem, czy by proso poznali. Prosa, widzę, mało teraz ludzie sieją. Ruty używało się na choroby, samą czy z innymi ziołami. Na oczy, nerwy, rany, stłuczenia, przeciw zarazom. Piło się, przykładano. Uroki się odczyniało. A przede wszystkim panny wiły z ruty wianki. Przyciągała kawalerów. Sporo jej tu rośło, może stąd Rutka? Nie ma pan pojęcia, co to była za rzeka. Niewielka, jak to rzeki we wsiach. Płynęła w rozległej

dolinie i w dolinie ciągnęły się łąki, a za doliną już pola. Miejscami szersza, miejscami węższa. W niektórych miejscach, gdy długo nie padało, można ją było po kamieniach przejść. Stało się nad brzegiem doliny, a niech tak słońce zza chmur wyszło, miało się wrażenie, że całą doliną Rutka płynie. Nieraz, co prawda, robiła się tak szeroka jak dolina, czy w czasie roztopów, czy gdy lało i lało. Wtedy by pan nie uwierzył, że to ta sama Rutka, taka groźna. Zalewała nie tylko dolinę, ale i na pola wylewała. Kto mieszkał niżej,

musiał wyżej się przenosić. Wtedy tak, zemścili ludzie Rutkę, płakali na nią. Ale woda opadła i znów stawała się spokojna, przyjazna. Płynęła niespiesznie. Kij się nieraz rzuciło i szło się za nim wzdłuż brzegu, kto szybciej, pan czy Rutka. Nawet wolnym krokiem gdy się szło, zawsze się z nią wygrywało. Wiła się, kręciła, a gdzie wpadała w zakola, zarastał ją tatarak, sitowie, grążele, nenufary. Zakwitła, to nie wyobraża pan sobie. Czy niechby pan tak posłuchał słowików w maju. [...]

Przypisy:

- 1 J. Illg, *Summa* [w:] *W środku jesteśmy baśnią*, Znak, Kraków 2022, s. 7.
- 2 Tamże, s. 12.
- 3 W. Myśliwski, *W środku jesteśmy baśnią*, Znak, Kraków 2022, s. 281.
- 4 W. Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*, Znak, Kraków 2022, s. 278.

Bibliografia:

Myśliwski W., *Traktat o łuskaniu fasoli*, Znak, Kraków 2022.
Myśliwski W., *W środku jesteśmy baśnią*, Znak, Kraków 2022.

Netografia:

Gumkowska A., *Pytanie o tożsamość, czyli Traktat o łuskaniu fasoli Wiesława Myśliwskiego*, PDF, dostęp 28.07.2025.
Kowalczyk R. J., *Wiesław Myśliwski*, Culture.pl, Twórcy, dostęp 22.07.2025.

LUdzie • WYdarzenia • Przemiany
KULTURA WSI
 KWARTALNIK POPULARNONAUKOWY
 NARODOWEGO INSTYTUTU KULTURY I DZIEDZICTWA WSI
ZAMÓW PRENUMERATĘ

NIKiDW
 NARODOWY INSTYTUT KULTURY
 I DZIEDZICTWA WSI

sklep.nikidw.edu.pl/produkt/kultura-wsi-prenumerata-2025/

Dożynki na starej fotografii

Daniel Kamiński



Dożynki w majątku Pamiątkowo w pow. szamotulskim w 1924 r., fotograf nieznanym
zbiory prywatne Daniela Kamińskiego



Właściciele majątku: Maciej (z wieńcem na głowie) i Helena Koczorowscy z dziećmi i pracownikami przed pałacem
w Pamiątkowie w 1924 r., fotograf nieznanym, zbiory prywatne Daniela Kamińskiego

Brud kiedyś był wszechobecny

Andrzej Kazimierski



Zdjęcia z wystawy „Kąpiel w balii. Zwyczaje higieniczne dawnej wsi”. Wystawa była czynna w gmachu Muzeum Etnograficznego we Włocławku, od 13 maja do 30 października 2016 r., fot. ze zbiorów Muzeum Etnograficznego we Włocławku

Z Dorotą Kalinowską, Kustoszą Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku, rozmawiał Andrzej Kazimierski

Przeglądając materiały o Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej, natknąłem się na informację o zorganizowanej w 2016 roku wystawie „Kąpiel w balii. Zwyczaje higieniczne dawnej wsi”, której była Pani głównym organizatorem. Zainteresowała mnie ta tematyka i gdy się nią głębiej zająłem, to się przeraziłem – kiedyś, mówiąc kolokwialnie, wodę wykorzystywano na wsi głównie do picia i przygo-

towywania posiłków, a do mycia prawie wcale. Pojęcie higieny nie istniało.

W zasadzie w jednym zdaniu tak to można określić. Higiena na wsi, taka, jak ją dzisiaj rozumiemy, zaczęła funkcjonować dopiero od lat 20. XX wieku, a może i jeszcze później. Wcześniej panował brud. Tak było. A wynikało to z braku środków czystości, z niewiedzy o zasadach dotyczących higieny, ale przede wszystkim z tego,

że brud był nie tylko akceptowalny, ale można powiedzieć, że wtedy był stałym i oczywistym elementem wiejskiego życia.

Może jednak najpierw wyjaśnijmy sobie, czym jest higiena – to dział medycyny mówiący o tym, jak człowiek powinien korzystać z otoczenia i jak otoczenie wpływa na jego zdrowie fizyczne i psychiczne oraz funkcjonowanie. Higiena kojarzy się współcześnie żyjącym z czymś pozytywnym, czystym i estetycznym. Natomiast jeszcze przed stu laty, kiedy nie było środków czystości, kosmetyków, łazienek oraz światła, o higienie i jej zasadach nikt na wsi nie słyszał. Brudno było w domach i na podwórkach, zapach, a raczej smród dookoła i wszędobylskie robactwo rozsławiające choroby. I tak było od setek lat.

Skąd się wziął ten brak higieny na wsi?

Tematy związane z higieną i zasady czystości były przez wieki zupełnie nieznane, i to we wszystkich warstwach społecznych w całej Europie. Sama krytyka czystości pojawiła się w III wieku z ascetycznymi pustelnikami, którzy nie myli się nigdy. Święty Hieronim twierdził, że ten, kogo chrzest oczyścił, nie musi się kąpać po raz drugi. Propagował ideę, że poza chrztem i rytualnym zamaczaniem palców w święconej wodzie przy wejściu do kościoła jedynym kontaktem człowieka z wodą ma być mycie zwłok przed złożeniem ich do grobu. Brud hołubili także późniejsi inni wielcy tamtych czasów, chociażby św. Franciszek, czy św. Agnieszka, która nie umyła się nigdy, a św. Bernard w XI wieku mawiał, że tam, gdzie wszyscy śmierdzą, nie czuć nikogo. Wtedy też mużulmanie mówili, że chrześcijanie cuchną, bo u nich było odwrotnie, panowało poszanowanie czystości.

W pełnym średniowieczu zmieniło się takie ascetyczne uwielbienie brudu i zaczęły się zmiany. W klasztorach pojawiły się łaźnie, otwierano je również – dostępne publicznie – w miastach za-

chodniej Europy, na przykład w 1292 r. w Paryżu liczącym wówczas 70 tys. mieszkańców działało 26 takich przybytków.

Zdaniem badaczy tak było do przełomu XIV i XV wieku, kiedy to tę postępującą dbałość o ciało przerwał nie kościół, lecz dżuma, która zabiła jedną trzecią mieszkańców Europy. Wtedy to rozpoczął się najbrudniejszy okres w dziejach Europy, można powiedzieć, że cały kontynent to był „brud, smród i robactwo”. W 1538 r. Erazm z Rotterdamu napisał z żalem: „Dżuma nauczyła nas obchodzić się bez łaźni”. A był to efekt „działalności” paryskich uczonych, którzy na polecenie Filipa IV z roku 1348 badali przyczyny zarazy. Ogłosili, że najbardziej szkodliwym czynnikiem epidemii były gorące kąpiele, podczas których rozpulchniona skóra i otwarte pory łatwiej wchłaniają niezdrowe powietrze i wyziewy chorobotwórcze. Jak możemy się domyślać, nastąpiła szybka realizacja tej diagnozy, czyli likwidacja łaźni, co doprowadziło do jeszcze większej tragedii. Choroby roznosiło pleniące się robactwo. A potem już było tylko gorzej. Największe ograniczenia w higienie ciała trwały od połowy XVI do XVIII wieku. Wtedy bowiem, zgodnie z diagnozą paryskich uczonych z XIV wieku, wierzono, że warstwa brudu zapewnia zdrowie, chroniąc przed morowym powietrzem. Doprowadzono do ogólnego lęku przed wodą, co czyściejsi myli tylko twarz i dłonie, czasami jedynie przecierając twarz mokrą ściereczką i płuczac usta. W Europie cuchnęli wszyscy, warstwy wyższe, dwory, magnaci i chłopstwo. Ponoć jednym z powodów budowy zamków nad Loarą było to, że jak mieszkańcy zanieczyścili któryś tak, że ze smrodu nie dało się w nim wytrzymać, to przeprowadzali się do drugiego.

Czy podobne zwyczaje panowały też w Polsce?

Tak, brud był wszechobecny, wszy i pchły były codziennymi towarzyszami życia chłopów i szlach-



Zdjęcia z wystawy „Kąpiel w balii. Zwyczaje higieniczne dawnej wsi”, fot. ze zbiorów Muzeum Etnograficznego we Wrocławku

ty, a polski kołtun znany był w całej Europie. Bardzo źle było na wsi. W izbach kuchennych panował półmrok, dym z otwartych palenisk snuł się wszędzie, drażnił oczy, siadał na meblach, obrazach i okopcał firanki. Do tego niemyte ciała, zwierzęta w sieni, garnki z jedzeniem dla nich lub skisłe resztki wczorajszych pokarmów, nieświeża pościel – to ówczesna codzienność. W tej izbie toczyło się też całe życie, od wszelkich prac domowych i gospodarczych po mieszkanie, często razem ze zwierzętami czy drobiem. A do tego mieszkający tam ludzie tak jak stali, tak szli spać.

W tamtych czasach załatwianie potrzeb fizjologicznych nie było sprawą wstydliwą i czyniono to gdzie popadło, w stodołach, ogrodach, przy drodze, czyli kolejny element powodujący smród i choroby. Dokoła roznosił się niewyobrażalny dziś odór. Wszystko cuchnęło. Brud towarzyszący mieszkańcom dawnej wsi był jednak dla nich czymś zupełnie naturalnym.

Pomieszczenia, w których wtedy przebywali mieszkańcy wsi, były zastawione wieloma meblami i sprzętami niezbędnymi do wykonywania

podstawowych prac, i nie dosyć, że brudne, to do tego ciemne. Od 25 kwietnia do końca września w chałupach, ze względu na oszczędności, nie zapalało się światła. Mówiło się, że „Święty Marek wrzucił do wody ogarek”. A w pozostałej części roku za oświetlenie służyły tzw. kaganki, zwane też *moškami*, czyli do starego glinianego garnuszka wlewało się łoju lub sadła i umieszczano w środku flanelowy knot. Bardzo prostą metodą, aby oświetlić wnętrze, było wsypanie piasku do starego garnka, w który wstawiało się drewniane szczapki. Zapalone raczej się tliły, niż dawały jakieś światło. Przy tym kobiety wykonywały różne domowe prace. I dlatego wtedy choroby oczu, przede wszystkim tzw. kurza ślepota, nazywana inaczej omackiem, były na porządku dziennym. Tak było do początku XX wieku.

Ale jak wtedy dbano o czystość w wiejskich chatach? Czy znane było pojęcie sprzątania izby?

Na pewno nie tak dosłowne, jak my to widzimy. W pomieszczeniu, w którym ciągle trwały



Zdjęcia z wystawy „Kąpiel w balii. Zwyczaje higieniczne dawnej wsi”, fot. ze zbiorów Muzeum Etnograficznego we Włocławku

jakieś prace i przebywało wiele osób, trudno było utrzymywać czystość. Niemniej jednak starano się zmywać naczynia przynajmniej raz dziennie. Większe sprzątania miały miejsce w okresach świątecznych. Sprzątano też, gdy była taka potrzeba, np. wyrzucano zepsutą żywność.

Pościel zmieniano dwa razy do roku, na święta lub jak była mocno brudna. Takie przypadki to jednak skrajność, spotykana głównie u najuboższych. Ten brud w izbach był wynikiem wspomnianych już otwartych palenisk i braku zasad w utrzymywaniu czystości. Pranie odzieży czy pościeli odbywało się nad jeziorem, rzeką, gdzie bito je słynnymi kijankami. Potem zaczęto prać w okrągłych baliach, wykorzystując do tego ług otrzymywany z mieszanki popiołu drzew liściastych z wodą w stosunku 1 do 5. Układało się warstwowo pościel w balii, przesypując ługiem, i ten przekładaniec zalewało gorącą wodą. By

utrzymać wysoką temperaturę wody, wkładano do balii gorące kamienie. Pranie w balii ułatwiała drewniana lub blaszana tara. Potem płukanie i najczęściej powtórna operacja. Suszono na trawie, płocie, by słońce wybieliło tkaniny. Taki sposób prania znany był jeszcze po II wojnie światowej. Pod koniec XIX wieku wśród bogatszych pojawiły się wyżymaczki oraz żelazka, wypierając drewniane magłownice. Niedługo potem były powszechnym sprzętem wiejskich gospodyń. Do drugiej połowy XX wieku codzienne mycie było raczej rzadkością. Natomiast znakiem i symbolem czystości, od wieków i we wszystkich stanach, była zmiana białizny na idealnie czystą, wykrochmaloną i wyprasowaną. Określa się to dziś tzw. suchą kąpielą. W ówczesnych warunkach jednak gospodynie radziły sobie, jak mogły, i korzystały z dostępnych, naturalnych metod. Do mycia używały korzeni mydlnicy, zawierających sapo-

niny, które potarte na glinianej kostce pienią się obficie i usuwają brud. Sprzęty czyściły piaskiem i wiechciem słomy.

Kiedy to się zmieniło?

Początki wdrażania wiedzy o zasadach higieny na polskiej wsi i w miastach sięgają końca XIX wieku. Na łamach czasopism, kalendarzy oraz poradników propagowano podstawowe informacje o czystości. Artykuły kierowane były do lekarzy, nauczycieli i urzędników, którzy mieli uświadamiać społeczeństwo w tym zakresie. Natomiast najwięcej dla higieny w świecie zrobiła tzw. rewolucja higieniczna w Ameryce, która zapanała w drugiej połowie XIX wieku. Radykalna poprawa stanu higieny nastąpiła na początku XX wieku wraz z upowszechnieniem prysznica oraz wprowadzeniem do handlu twardej kostki mydła i papieru toaletowego w rolce. W Stanach Zjed-

noczonych z troski o higienę pojawiła się wręcz obsesja czystości i fobia przed brudem.

Niestety na ziemiach polskich, rozdartych pomiędzy zaborców, pogłębiły się różnice pomiędzy nami a krajami Europy Zachodniej. Tam korzystano już z papieru toaletowego, a u nas, przede wszystkim na wsiach, ciągle jeszcze używano liści, mchu czy słomy.

Czyli z pewnym opóźnieniem zaczęliśmy przyjmować te standardy higieny?

To był bardzo długi proces, można powiedzieć, że trwający od drugiej połowy XIX wieku, jeszcze cały XX wiek, sporadycznie do początków obecnego. Do tego czasu codzienne mycie polegało na przemyciu rąk i twarzy wodą. Młodzież w porze letniej korzystała z kąpeli w pobliskich stawach i jeziorach. Za przejaw czystości uważano zmianę bielizny i kąpiel raz w tygodniu



Zdjęcia z wystawy „Kąpiel w balii. Zwyczaje higieniczne dawnej wsi”, fot. ze zbiorów Muzeum Etnograficznego we Włocławku



Zdjęcia z wystawy „Kąpiel w balii. Zwyczaje higieniczne dawnej wsi”, fot. ze zbiorów Muzeum Etnograficznego we Włocławku

w balii. A polegała ona na tym, że w podgrzanej wodzie myli się wszyscy, najpierw wchodziły dzieci, później mama, a na końcu ojciec. Nie było mydeł, wykorzystywano do mycia wspomniane już wcześniej korzenie mydlnicy, zawierające saponinę. Mydło pojawiło się na początku XX wieku, ale było ono drogie, dla biedniejszych raczej niedostępne. Mycie zębów było właściwie nieznaną, nie licząc przetarcia ich patykiem. Dopiero w latach 30. XX wieku zaczęto używać soli. Włosów mężczyźni praktycznie nie myli, tylko czasami rano smarowali odrobiną smalcu, czy starego masła. O włosy długie dbały jedynie panny, myjąc je w tataraku, który dawał puszystość i blask.

Na wsi walka z brudem, można powiedzieć, że do połowy XX wieku, była bardzo trudna, gdyż samo panujące negatywne nastawienie do mycia wtedy dodatkowo potęgowały przesady i zabobony. Jeszcze w początkach XX wieku

w wielu miejscach istniało przekonanie, że mycie włosów jest powodem bólu głowy i zębów.

Niechlubnym symbolem higieny polskiego społeczeństwa, zwłaszcza mieszkańców wsi w zaborze rosyjskim i austriackim, był kołtun, czyli zbite kłębowisko niemytych i nieczesanych włosów, pełne robactwa, określany w środowisku medycznym mianem „plica polonica”.

Czy to znaczy, że kołtun to polski „wymysł”? Myślałem, że był on wszechobecny w XIX-wiecznej Europie?

Obyczaj pozostawiania kołtuna dotarł do nas od plemion germańskich, bynajmniej nie z przyczyn estetycznych, ale z przesądu, że usunięcie go naraża na choroby i opętanie. Jeżeli był spotykany gdzieś poza Polską, to niezwykle rzadko. Literatura podaje, że był on specyficznym symbolem higieny polskiej XVIII-wiecznej wsi. Wtedy to ksiądz Jędrzej Kitowicz pisał, że na trzy głowy

we wsi dwie musiały być kołtunowate. A kołtun uważano za siedlisko złych demonów i podstępnych duchów, albo chorób. Dlatego powszechnie sprzeciwiano się jego obcięciu. Czekano, aż sam odpadnie, a jeżeli trzeba było go odciąć, to robili to specjaliści, czyli specjalnie przygotowani czarownicy i guślarze. Wybierano odpowiednie miejsce, porę dnia, oświetlenie. Traktowano to jak obrzęd, rzecz nadprzyrodzoną, czyniąc z tego banalnego zabiegu magiczną i religijną ceremonię. Niektórzy posiadacze kołtuna wierzyli, że chroni on przed chorobami oczu i innymi nieszczęściami.

Warto zaznaczyć, że to przekonanie o szkodliwości mycia głowy było w XIX wieku zjawiskiem masowym. Jeszcze u progu XX stulecia notowano głosy autorytetów medycznych, które stanowczo to odradzały, w zamian zalecając częste nabłyszczanie, pomadowanie i pudrowanie włosów.

Straszne, aż się nie chce wierzyć...

Niestety tak było przez cały XIX wiek i później. Choć kampania zwalczania kołtunów rozpoczęła się już w połowie XIX wieku, to jeszcze przed wojną można go było bez trudu spotkać na wielu wsiach. Natomiast już incydentalnie nawet w drugiej połowie wieku XX. Ostatni, o jakim czytałam, został w latach 60. zanotowany na Kujawach. A świetnie zachowany półtorametrowy kołtun pochodzący z XIX wieku oglądać można w Muzeum Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Wspomniała Pani o szokującym nas współczesnych sposobie załatwiania potrzeb fizjologicznych w różnych miejscach przez naszych przodków. Kiedy to zaczęło się zmieniać?

W miastach już w XIX wieku. Natomiast na wsi do odzyskania niepodległości i powstania II Rzeczypospolitej nic się w tym względzie nie zmieniało. Cały czas chodzono za przysłowio-
wą stodołę. Nie znano czegoś takiego jak ustęp,

latryna, ubikacja. To zaczęło się zmieniać, gdy w latach 20. XX w. ówczesny premier Felicjan Sławoj Składkowski wprowadził nakaz budowy ustępów w każdej wiejskiej zagrodzie. Wcześniej musiały takie być przy urzędach państwowych. Dla mieszkańców wsi był to szok i niechętnie się temu rozporządzeniu poddawali, dlatego proces wdrażania trwał długo. Dopiero po II wojnie tzw. sławojki stały się nieodzownym elementem wiejskiego krajobrazu, usytuowane koło stodoły, chlewika, obory. Raczej nie korzystano z papieru toaletowego, zastępowano go gazetami, a jeżeli ich nie było, to mchem, sianem itp.

Jednak okres międzywojenny to czas, gdy podejście do spraw higieny zaczyna się faktycznie zmieniać. Wtedy znikają już piece z otwartymi paleniskami, w chatach robi się znacznie czystiej, choć nie wszędzie w jednakowym stopniu. Oświetlenie jest nadal ubogie, a dostęp do środków czystości wciąż niewystarczający. Znałe już były wprawdzie lampy naftowe, ale zapalano je rzadko w ramach oszczędności wydatków na naftę. W tym okresie gospodynie zdecydowanie lepiej dbały już o czystość bielizny. Pojawiły się pierwsze fabryczne przedmioty do pielęgnacji ciała (pędzle do golenia, szare mydło itp.). Zaczęła też funkcjonować propaganda promowania czystości. Organizowano kursy, szkolenia, spotkania informacyjne, dzieci zaczęły chodzić do szkoły, gdzie poznawały tajniki zachowywania higieny ciała i otoczenia. Także coraz więcej ludzi miało kontakt z miastem, gdzie były pralnie, łaźnie, sklepy z mydłem, proszkami do prania i innymi środkami czystości. I w bogatszych domach wiejskich zaczęto dbać o porządek. Choć sama poprawa świadomości dotyczącej higieny osobistej następowała powoli. W tamtym okresie posiadanie w chałupie kąćka do mycia nie było powszechne lub był on niewystarczająco wyposażony. Jednak z czasem w bogatszych zagrodach coraz powszechniejsze stają się kąćki higieniczne,

gdzie oprócz miski, wiadra czy dzbanka z wodą jest wieszak na ręcznik, a na półeczce pudełko na grzebień i inne przybory toaletowe. Pojawiają się nawet pralki ręczne, wyżymaczki, które zastępują tarę i balię. Coraz częstsze są żelazka na węgiel, duszę.

Wtedy też na wsi za symbol czystości i porządnego wyglądu uchodziła biała koszula. Nakładano na niemyte ciało idealnie białą, wykrochmaloną koszulę. Tak było także po wojnie.

Ale jak już Pani wspomniała, po II wojnie światowej zaczął się czas propagowania higieny.

Wdrażanie zasad higieny rozpoczęło się już na przełomie XIX i XX wieku. Z tym że był to proces powolny i najpierw dotarł do młodszych pokoleń. To oni w okresie międzywojennym uczyli się nowych i nieznanych rzeczy i starali się wprowadzać je w życie. Starsi pozostawali wierni swoim dawnym zasadom i nie byli zwolennikami mydła, sławojki czy nowoczesnego ubioru. Po II wojnie światowej postęp w tej dziedzinie był już szybszy. Także na wsiach w szkołach, klubach, czy ówczesnych ośrodkach zdrowia, prowadzona była edukacja szeroko rozumianej higieny, od mycia

włosów, zębów po zachowanie zasad higieny przy prowadzeniu gospodarstwa.

Jednak samo wprowadzanie tych zasad także nie było wtedy łatwe, chociażby z powodu biedy, jaka po wojnie panowała. Brakowało pieniędzy na wszystko, więc oszczędzano również na mydle. W miarę upływu lat troska o czystość stawała się coraz bardziej widoczna. Zdarzało się jednak, że mimo dostępności środków czystości ograniczano wydatki na nie. Bywało, że ktoś budował murowany duży dom z kilkoma pokojami, ale bez łazienki i ubikacji, które zastępowała miednica czy słynna sławojka.

Dzisiaj jest już inaczej. Jaka jest wieś, widzimy chociażby, przejeżdżając przez którąś z nich. Nowoczesne domy, obiekty gospodarcze, eleganckie chodniki, nowoczesne oświetlenie, pełna infrastruktura. To efekt zmian ostatnich kilkudziesięciu lat. Dzisiaj proces edukacji higienicznej trwa cały czas, ale problem ten jest podobny na wsi i w mieście. Ciągłe istnieje pewna grupa społeczna, która, mówiąc kolokwialnie, nie kocha wody. Ale to obecnie margines.

Dziękuję za rozmowę.



Andrzej Kazimierski – dziennikarz i wydawca, redaktor naczelny kilku periodyków. Pracował w „Dzienniku Ludowym”, a następnie w wydawnictwach branżowych, m.in. jako redaktor naczelny Tygodnika Poczty Polskiej i Telekomunikacji Polskiej „Łączność”. Przez ponad 20 lat był wydawcą i współwłaścicielem miesięcznika „Polish Market”. Aktualnie redaktor naczelny kwartalnika „KontrolerINFO”.

Pomoc sąsiedzka na wsi polskiej – dawniej i teraz

Zbigniew Masternak



„Wiljo dożynek” prezentacja Zespołu Folklorystyczno-Obrzędowego „Sołtyski” z Pawłowa w czasie 41. Ogólnopolskiego Sejmiku Teatrów Wsi Polskiej, fot. z archiwum Tarnogrodzkiego Ośrodka Kultury

Na dawnej polskiej wsi pomoc sąsiedzka była fundamentem życia społecznego i codziennego przetrwania. W świecie, gdzie nie istniały instytucje socjalne, a odległość od miasta ograniczała dostęp do usług i dóbr, ludzie musieli polegać na sobie nawzajem. Wspólne żniwa, budowa domów, opieka nad dziećmi czy wzajemne wsparcie w czasie choroby – to wszystko opierało się na więzach sąsiedzkich i niepisanych zasadach solidarności. Ten głęboko zakorzeniony model współpracy nie tylko ułatwiał życie, ale również kształtował silne relacje międzyludzkie i poczucie wspólnoty.

Struktura społeczna i organizacja pracy na wsi

Dawna wieś polska funkcjonowała na zasadzie mocno zintegrowanej wspólnoty. Choć gospodarstwa różniły się wielkością i zamożnością, podstawą relacji między mieszkańcami było poczucie wspólnego losu. W zależności od regionu

i tradycji lokalnych sąsiedzi wspierali się przy różnych pracach i uroczystościach. Gospodarz był nie tylko rolnikiem, ale również członkiem większego organizmu społecznego, w którym każdy miał swoje zadania i obowiązki względem innych.

W tradycyjnej społeczności wiejskiej panował model gospodarki samowystarczalnej, w której każda rodzina produkowała przede wszystkim na własne potrzeby. Jednocześnie jednak życie wsi opierało się na silnym poczuciu wspólnoty. Więzy sąsiedzkie były niezwykle istotne i miały charakter zarówno emocjonalny, jak i praktyczny. Ludzie znali się nawzajem, często byli ze sobą spokrewnieni, a relacje między nimi były długoletnie i stabilne. Społeczność wiejska miała strukturę opartą na współpracy i wzajemnym wsparciu, co wynikało zarówno z konieczności, jak i tradycji.

Pomoc sąsiedzka stanowiła fundament życia społecznego na dawnej polskiej wsi. Była ona nie tylko praktycznym narzędziem przetrwania w trudnych warunkach, ale także wyrazem gęstej sieci relacji międzyludzkich, solidarności i wspólnotowości – kształtowała codzienność ludzi zamieszkujących tereny wiejskie. W dobie braku rozwiniętej infrastruktury, opieki społecznej i nowoczesnych technologii, wzajemna pomoc była podstawowym mechanizmem regulującym stosunki społeczne i ekonomiczne.

Pomoc sąsiedzka nie była przypadkowa ani doraźna – miała swoje nieformalne zasady i rytuały. Współpraca była często określona przez zwyczaj, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Osoby niechętnie do pomocy, zbyt egoistyczne, były źle postrzegane i stopniowo wykluczane z życia wspólnoty. W sytuacjach kryzysowych mogły pozostać same, co dodatkowo wzmacniało znaczenie wzajemności i lojalności.

Tłoka – wspólna praca jako forma pomocy

Tłoka była jedną z najbardziej rozpoznawalnych form sąsiedzkiej pomocy. Polegała na zbiorowym wykonywaniu ciężkich prac, których pojedyncza rodzina nie mogłaby wykonać samodzielnie. Żniwa, kopanie ziemniaków, koszenie łąk czy budowa domu to tylko niektóre przykłady sytuacji, w których organizowano tłokę.

W tłokach uczestniczyli sąsiedzi, rodzina i znajomi. Praca była wykonywana bez zapłaty, jednak gospodarz organizujący tłokę zapewniał posiłek i napoje. Był to także czas rozmów, śpiewów, a nawet załotów – zwłaszcza gdy w pracy uczestniczyła młodzież. Tłoka miała więc nie tylko wymiar gospodarczy, ale też społeczno-kulturowy.

Ogromną wagę przykładano do wzajemności. Gospodarz, który skorzystał z tłoki, był zobowiązany wziąć udział w podobnej akcji u innych. Złamanie tej niepisanej zasady było źle widziane i mogło skutkować brakiem pomocy w przyszłości.

Praca za pracę, czyli odrobek

Odrobek był nieco inną formą pomocy niż tłoka – opierał się na zasadzie „praca za pracę”. Gospodarz, który potrzebował wsparcia, mógł poprosić sąsiada o pomoc, zobowiązując się jednocześnie do odpracowania tej przysługi w przyszłości. Był to system nieformalny, ale bardzo efektywny, oparty na zaufaniu i uczciwości.

Odrobek był szczególnie popularny w okresach intensywnych prac sezonowych. Gospodarstwa o zbliżonym profilu współpracowały, by zoptymalizować czas i wykorzystać dostępne siły robocze. Zdarzało się też, że wdowy, osoby starsze lub samotne korzystały z odrobku w zamian za drobne usługi czy pożywienie.

System ten miał również charakter wychowawczy – uczył dzieci i młodzież wartości pracy, odpowiedzialności i wzajemności. Był też formą zabezpieczenia społecznego w czasach, gdy brakowało instytucjonalnej opieki społecznej.

„Dziś tobie, jutro mnie” – pomoc w sytuacjach kryzysowych

Społeczność wiejska reagowała bardzo solidarnie na wszelkie nieszczęścia. Jeśli spłonął dom, zginęło bydło lub przyszła klęska urodzaju, sąsiedzi natychmiast organizowali pomoc – często



Pożar w Balicach. Akcja gaśnicza. Ratownicy za pomocą pompy, podłączonej do beczki na konnym wozie, polewają zgliszcza, 1934 r., źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, domena publiczna

spontanicznie. Mężczyźni pomagali odbudować domostwo, kobiety przynosiły jedzenie, a dzieci opiekowały się młodszymi lub pomagały w prostych czynnościach.

Pomoc ta nie wynikała z kalkulacji, lecz z głęboko zakorzenionej moralności i współczucia. „Dziś tobie, jutro mnie” – mawiano, podkreślając nieprzewidywalność losu. Tego typu akcje wzmacniały więzi i tworzyły silną tożsamość wspólnotową, opartą na empatii i gotowości do poświęceń.

Warto dodać, że pomoc w kryzysie była również formą symbolicznego oczyszczenia – w obliczu nieszczęścia zanikały konflikty, różnice majątkowe i spory rodzinne. Cała wieś działała jak jeden organizm.

Obrzędy i tradycje związane z pomocą

Współpraca sąsiedzka była wpisana także w obrzędy religijne i świeckie. Pomoc przy organizacji wesela, chrztu czy pogrzebu była obowiązkiem

całej społeczności. Sąsiedzi piekli ciasta, pożyczali naczynia, ubijali masło, pomagali przy dekoracjach. To, co dziś robią firmy cateringowe, kiedyś robili sąsiedzi – z potrzeby serca i poczucia odpowiedzialności za wspólnotę.

Podobnie było przy świętach religijnych. Podczas Wielkanocy czy Bożego Narodzenia kobiety wspólnie piekły chleby, dzieliły się przepisami i pomagały sobie nawzajem. Starsi mieszkańcy wspominają także wspólne śpiewy kolęd, pieśni dożynkowe i inne formy integracji, które były równie ważne jak pomoc fizyczna.

Obrzędy te miały charakter nie tylko praktyczny, ale też duchowy – umacniały poczucie wspólnoty i przekazywały wartości takie jak solidarność, pokora, szacunek do starszych.

Rola kobiet w organizowaniu pomocy

Kobiety były filarem nieformalnej organizacji społeczności wiejskiej. To one zarządzały



Zbiórka siana. Kopy. Rzaśnik. Archiwum fotograficzne Henryka Poddębskiego, 1937, źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, domena publiczna

codziennymi obowiązkami domowymi, ale także koordynowały pomoc sąsiedzką. Umawiały się z innymi gospodyniami na wspólne darcie pierza, robienie przetworów, zbieranie ziół czy opiekę nad dziećmi. Te czynności, wykonywane wspólnie, pozwalały nie tylko efektywnie gospodarować czasem, ale także tworzyły więzi społeczne.

Należy wspomnieć o roli starszych kobiet – babć, ciotek, matek – które były strażniczkami tradycji. Przekazywały młodszemu pokoleniu wiedzę o dawnych zwyczajach, rytuałach i wartościach. Ich pozycja w społeczności była znacząca, często pełniły funkcję nieformalnych doradczyń.

Panie wspierały się nawzajem również w sytuacjach osobistych – przy porodach, chorobach, stratach rodzinnych. To wsparcie było bezcenne i niosło ze sobą głęboką wartość emocjonalną.

Koła Gospodyń Wiejskich – kontynuacja tradycji

W XX wieku, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, tradycyjną pomoc sąsiedzką zaczęły przejmować

zorganizowane formy działalności społecznej, takie jak Koła Gospodyń Wiejskich. Choć ich funkcjonowanie było częściowo sterowane przez władze Polski Ludowej, w praktyce stanowiły kontynuację dawnych form współpracy.

Koła te organizowały kursy gotowania, wspólne wyjazdy, konkursy kulinarne, festyny oraz pomoc dla rodzin wielodzietnych lub ubogich. Były ważnym centrum życia społecznego wsi – nie tylko miejscem spotkań, ale też źródłem wsparcia materialnego i emocjonalnego.

W wielu miejscach Koła Gospodyń Wiejskich nadal są aktywne i pielęgnują tradycję pomocy, ucząc młode pokolenia współpracy i solidarności. Stanowią bardzo ważny element wiejskich wspólnot.

Zmiany w strukturze pomocy sąsiedzkiej

Współczesna wieś bardzo różni się od tej sprzed stu lat. Mechanizacja rolnictwa i dostępność usług komercyjnych znacząco wpłynęły na codzienność mieszkańców wsi. Dziś rolnik może

wynająć firmę do zbioru plonów lub budowy stodoły, co dawniej było możliwe tylko dzięki wspólnemu wysiłkowi sąsiadów. Również większa mobilność i powszechność transportu sprawiły, że więzi sąsiedzkie często stały się luźniejsze.

Zanikają także niektóre tradycyjne formy spotkań i obrzędów – coraz rzadziej organizuje się darcie pierza, wspólne wykopki czy tłokę przy budowie domu. Dawne formy pomocy, które opierały się na wzajemności, zostały w dużej mierze zastąpione pomocą płatną lub wsparciem instytucjonalnym – poprzez GOPS, OPS, parafie czy stowarzyszenia.

Jednak mimo tych przemian nie oznacza to całkowitego zaniku idei sąsiedzkiej pomocy. W wielu mniejszych wsiach wciąż można dostrzec silne poczucie wspólnoty, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych – takich jak pożar, wypadek, czy śmierć bliskiego. Ludzie nadal organizują się, zbierają datki, wspierają się psychicznie i fizycznie.

Co więcej, obecnie pojawiają się także nowe formy współpracy – nieformalna wymiana usług, grupy facebookowe typu „Widzialna Ręka” czy „Sąsiedzi – pomoc wzajemna” funkcjonują zarówno w miastach, jak i na wsiach. Tradycyjne wartości przybierają nowe formy, dostosowane do warunków współczesności.

Formy pomocy sąsiedzkiej – dziś

Pomoc sąsiedzka we współczesnej Polsce – także na terenach wiejskich – nie zanikła, lecz ewoluowała. Choć zaniknęły tłoki i darcie pierza, pojawiły się inne formy wspólnotowego działania. Często są to oddolne inicjatywy mieszkańców, którzy organizują zbiórki na leczenie chorego dziecka, wspierają seniorów, organizują pomoc po pożarze lub powodzi.

Duże znaczenie mają też sołtysi i rady sołeckie, które odgrywają rolę koordynatorów lokalnych działań. W wielu wsiach nadal działa zasada, że

jeśli komuś dzieje się krzywda, reszta społeczności mobilizuje się do pomocy. Sąsiad zawiezie chorego do lekarza, ktoś inny przypilnuje dzieci, a jeszcze ktoś inny naprawi ogrodzenie po wichurze.

Współczesne technologie wspierają te inicjatywy – wiejskie grupy na Facebooku czy komunikatory ułatwiają szybkie przekazywanie informacji i organizowanie akcji pomocowych. W wielu miejscowościach funkcjonują także stowarzyszenia i lokalne grupy działania (LGD), które animują życie społeczne i promują współpracę sąsiedzką w nowoczesnym wydaniu.

Nie można też pominąć znaczenia lokalnych instytucji kultury – domów kultury, bibliotek czy świetlic wiejskich, które organizują warsztaty, kiermasze i wydarzenia integracyjne. Współczesna wieś może więc nadal być miejscem solidarności i wzajemnej pomocy – choć jej formy są inne niż sto lat temu.

Podsumowanie

Tradycja pomocy sąsiedzkiej na polskiej wsi to nie tylko opowieść o minionym świecie – to wciąż żywe dziedzictwo kulturowe, które ma znaczenie



„Wyskubek” prezentacja Zespołu Folklorystyczno-Obrzędowego „Sołtysi” z Pawłowa w czasie 39. Ogólnopolskiego Sejmiku Teatrów Wsi Polskiej
fot. Rafał Karpiński

także dziś. Choć zmieniły się formy współpracy i warunki życia, wartości takie jak solidarność, wzajemność i gotowość do niesienia pomocy nadal są obecne – choćby w innych kształtach.

Pomoc sąsiedzka to więcej niż tylko gest – to fundament relacji międzyludzkich, szczególnie istotny w trudnych momentach. To także kapitał społeczny, który przekłada się na lepsze funkcjonowanie lokalnych społeczności. Im więcej wzajemnego zaufania i gotowości do działania, tym silniejsze i bardziej odporne są wspólnoty – zarówno w dawnych czasach, jak i dziś.

Dawna wieś polska, ze swoją tłoką, darcie pierza i wspólnymi zniwami, może być inspiracją

dla współczesnych form życia społecznego – także w miastach. Przypomina nam, że człowiek nie żyje w izolacji, a wspólnota może być źródłem siły, wsparcia i radości. W czasach kryzysów – czy to ekonomicznych, zdrowotnych, czy klimatycznych – wartości te mogą stać się na nowo kluczowe.

Zachowanie pamięci o pomocy sąsiedzkiej to również forma pielęgnowania dziedzictwa kulturowego. To, co kiedyś było codziennością, dziś może być lekcją dla przyszłych pokoleń – o tym, że razem naprawdę można więcej.

Bibliografia:

Biernacka, M. (1974). *Wspólnota i sąsiedztwo w społeczności chłopskiej*. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.
Fischer, A. (1921). *Zarys etnografii Polski*. Lwów: Księgarnia Polska Bernarda Połonieckiego.
Kotula, F. (1970). *Opowieści o dawnych rzemieślnikach i włościanach*. Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

Krzyżanowski, J. (1982). *Mądrość ludowa narodu polskiego. Przysłowia i powiedzenia*. Warszawa: Wiedza Powszechna.
Moszyński, K. (1967). *Kultura ludowa Słowian* (T. I–II). Kraków: Polska Akademia Umiejętności.

Netografia:

Wielkopolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Poznaniu. (2017). *Aktywnie dla siebie i dla innych*. <https://archiwum.wodr.poznan.pl/baza-informacyjna/rozwoj-wsi/dziedzictwo-kulturowe/tradycyjny-krajobraz-wiejski/item/1966-aktywnie-dla-siebie-i-dla-innych> [dostęp: 21.07.2025]

Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN. (n.d.). Publikacje i raporty. <https://www.irwirpan.waw.pl> [dostęp: 21.07.2025]



Zbigniew Masternak – pisarz, scenarzysta i reportażysta, urodzony w 1978 roku w Piórkowie. Zadebiutował jako autor prozy autobiograficznej, skupiającej się na losach młodego chłopaka z prowincji. Najbardziej znany jest z cyklu powieściowego *Księstwo*, którego część została zekranizowana przez Andrzeja Barańskiego. Masternak tworzy również scenariusze filmowe i współpracuje z wieloma pismami literackimi. Jego twórczość porusza tematykę społeczną, tożsamościową i ukazuje życie w Polsce lokalnej. Ważniejsze książki: „Chmurołap”, „Niech żyje wolność”, „Szczyryk”, „Nędzole”, „Książę bez ziemi”.

Gdy feretron staje się początkiem lawiny odkryć

Joanka Szewczyk



Jeden ze 100 starodruków odnalezionych na strychu Starej Plebanii w Lipiu, fot. z archiwum Stowarzyszenia Bezblędna Gmina Błędów

W bardzo krótkim czasie, w ciągu niespełna 9 lat, członkom młodzieżowej grupy parafialnej, przekształconej w stowarzyszenie Bezblędna Gmina Błędów, udało się odnaleźć na terenie budynków parafialnych w Lipiu (gm. Błędów, pow. grójecki) ponad 150 cennych obiektów. Najstarszy z nich – starodruk – jest datowany na 1588 rok, najpiękniejszy zaś to feretron z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej na awersie i Świętym Józefem na rewersie.

Chłodny kwietniowy wieczór 2017 roku młodzi działacze stowarzyszenia pamiętają dokładnie. Ministranci buszowali wówczas po Starej Plebanii, wynosząc stoliki niezbędne do święcenia pokarmów w kościele. Działacze stowarzyszenia, wiedzeni ciekawością, weszli tam za nimi. Przyglądali

się stertom zmagazynowanych, niepotrzebnych akcesoriów liturgicznych. W jednym z pomieszczeń natknęli się na obraz z feretronu. Ktoś ukląkł przed nim, gdyż obraz stał na podłodze. Spojrzał na twarz Świętego Józefa i złapał się za serce: „Jakie malarstwo! Co on tutaj robi?!”



Jeden z odnalezionych feretronów, fot. z archiwum Stowarzyszenia Bezblędna Gmina Błędów

Wkrótce potem ruszyła lawina. W parafii, której historię można było streścić w pięciu zdaniach, gdyż prawie nikt jej nie znał ani wcześniej nie badał, zaczęły niemal z tygodnia na tydzień wypływać nowe znaleziska. Wśród zdjęć przyniesionych przez parafian znalazły się dwie fotografie z procesji, podczas których noszony był wspomniany feretron. Jedno z nich datowane na 1965 r. Niewiele później młodzi ludzie, przeszukując Internet, dotarli do zdjęć Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, które aktualnie znajdują się w zbiorach Instytutu Sztuki Państwowej Akademii Nauk. Dzięki zdjęciom okazało się, że znalezione feretrony (tak naprawdę są dwa, z czterema wizerunkami świętych), mają co najmniej 110 lat. W 1915 r. do Lipia, prawie

w całości spalonego przez Rosjan, przybył fotograf Stanisław Nofok-Sowiński, aby udokumentować katastrofalne zniszczenia kościoła. Spłonął piętrowy budynek klasztorny, zabudowania gospodarcze i niemal całe drewniane, zabytkowe wyposażenie murowanej świątyni.

Jednak zdziwiłby się ktoś myślący, że „tu już nic nie ma”. Nieodzowną cechą młodości jest ciekawość. Przeczuciem wiedzeni, członkowie stowarzyszenia wyciągali drewniane skrzynki z komórki prowadzącej na strych. Na samym dnie, na podłodze, przygnieciony wszystkim, co tylko możliwe, trwał w oczekiwaniu rękopis karmelitański z 1841 r. – *Akta kapituły konwentu karmelitańskiego w Lipiu*, który przez 260 lat szerzył kult Matki Bożej Szkaplerznej na Grójeczczyźnie.

Po pięciu latach od odnalezienia rękopisu, w marcu 2025 r., na wniosek stowarzyszenia, odbyły się jego oględziny, których dokonał Tomasz Gola, główny specjalista Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Warszawie Delegatura w Radomiu. Prawdopodobnie – dzięki staraniom stowarzyszenia – będzie to pierwszy obiekt wpisany do rejestru zabytków ruchomych województwa mazowieckiego. Decyzja powinna zapaść jeszcze w tym roku. Po uzyskaniu wpisu do rejestru zabytków stowarzyszenie podejmie starania o pozyskanie środków na profesjonalną konserwację rękopisu oraz jego przetłumaczenie.

Z roku 2025 przenieśmy się jednak na chwilę do czasu pandemii i roku 2021. To wówczas powstał reportaż nagrany przez Mazowiecka TV i zatytułowany „Sensacyjne odkrycia Grupy Historycznej na strychu starej plebanii w Lipiu”, który obejrzeć można po dziś dzień w serwisie You Tube. Z pomocą Ochotniczej Straży Pożarnej w Lipiu członkowie stowarzyszenia dokonali przeglądu strychu w budynku Starej Plebanii. Wówczas, w rogu, pod samą blachą, odkryto stertę zaniedbanych ksiąg i papierów. Po wielu analizach okazało się, że jest to ponad 100 sta-

rodruków, z których najstarszy pochodzi z 1602 r. Księgi o tematyce religijnej, niektóre z odręcznymi notatkami po bokach tekstu lub zapisami na pierwszej stronie: *Conventus Lipiensis*, stanowiącymi bezpośredni dowód, że dzieła te należały do konwentu karmelitów z Lipia i tutejszej parafii. Wśród odnalezionych ksiąg znalazły się też bardziej współczesne dokumenty, jak dziennik lekcyjny Szkoły Podstawowej w Jadwigowie z 1930 roku, obecnie nieistniejącej, czy księga rachunków Stowarzyszenia Spożywców „Na przód” w Lipiu z roku 1910, w której odnaleźć można wiele pieczęci zakładów rzemieślniczych, składów czy piekarni oraz dowody zakupów tam dokonanych. Księgi te poddane zostały zabiegom zaleconym przez konserwatora zabytków. Wśród starodruków na szczególną uwagę zasługuje maleńki modlitewnik, ok. 7x10 cm, który na drugiej stronie przedstawia piękną rycinę. Nawet najzawziętsze serce może zostać poruszone w zderzeniu ze świadomością, że ta maleńka książeczka, pochodząca z 1692 roku, przetrwała w Lipiu – wraz z 99 innymi – czasy rozbiorów Polski, dwie wojny światowe, dwa pożary kościoła oraz kilkadziesiąt lat pod blachą na strychu.

Warto dodać, że wszystkie prace stowarzyszenia prowadzone są w ramach czynu społecznego. Opieka nad zbiorami jest finansowana ze składek członkowskich kilkunastu osób. Czy nie jest to jednak przykład dla innych i zachęta do tego, aby przeszukiwali swoje najbliższe okolice, parafie, opuszczone stare budynki i strychy? Wiele jeszcze historycznego bogactwa pozostaje w ukryciu, czekając na uczciwych znalazców. Każdy, nawet pojedynczy zabytek historii zasługuje na należyłą ochronę.

Nie sposób nie wspomnieć sytuacji nadzwyczajnej, gdy w 2025 r. do Lipia niespodziewanie wróciło 5 starodruków, zwróconych za pośrednictwem urzędu konserwatorskiego. Zgłosił się tam człowiek informujący, że wiele lat temu pod-

czas remontu zabezpieczył rzeczy z Lipia, które nie miały wówczas należytej opieki, a aktualnie widząc rozwijającą się działalność historyczno-wystawienniczą (w Starej Plebanii działają od 2019 r. cztery izby pamięci), postanowił własność tę zwrócić. Najstarszy ze starodruków datowany jest na rok 1855. Wkrótce potem w niewyjaśnionych okolicznościach ktoś przyniósł do kościoła 8 świeczników z Fabryki Norblina. Wcześniej stowarzyszenie zidentyfikowało 16 takich świeczników, aktualnie stan ten powiększył się do 24 sztuk. Ta sytuacja zadziwia i cieszy zarazem, gdyż zbiory wracają tam, skąd pochodzą i gdzie ich miejsce. Może to skutek transparentności działań stowarzyszenia, które regularnie publikuje na swoim profilu w mediach społecznościowych bieżące znaleziska i tym samym demokratyzuje dostęp do informacji o odkryciach. Może



Odnaleziony feretron z wizerunkiem św. Józefa, fot. z archiwum Stowarzyszenia Bezblędna Gmina Błędów

wzorcową współpracę z urzędem konserwatorskim nadaje przedsięwzięciom stowarzyszenia odpowiedniej rangi i wiarygodności.

Wśród lipskich znalezisk są też rzeczy monumentalne – jak odnalezione w garażach stacje Drogi Krzyżowej, liczące prawie 2 m wysokości każda. Przeniesienie kilkusetkilogramowych stacji z garaży do kościoła, w sposób niepowodujący uszkodzeń tych wielkogabarytowych obiektów, było odpowiedzialnym i trudnym przedsięwzięciem. Podjęli się tego członkowie [OSP Lipie](#) z pomocą kilku chłopaków z parafii. Odsłonięcie stacji w kościele miało miejsce w sobotę 17 maja, podczas otwarcia V Lipskiej Nocy Muzeów. Pochodzenie stacji i ich los jest nieznanym. Do czasów współczesnych zachowało się tylko 6, przy czym jedna ma znaczące uszkodzenia. W kościele wisiały jeszcze w latach 80. Grupa historyczna dotarła też do zdjęcia z 1930 r., na którym widnieją stacje



Feretron noszony dawniej podczas procesji parafialnych, fot. z archiwum Stowarzyszenia Bezblędna Gmina Błędów

wiszące w prezbiterium kościoła. Jednak są wątpliwości, czy przed pożarem w 1915 r. wszystkie stacje były w kościele, czy też w ogromnym, lecz zburzonym budynku klasztornym. Jest też hipoteza, która mówi o tym, że na wieść o strasznych wojennych zniszczeniach kościoła inna parafia mogła podarować Lipiu swoje własne – ocalone sześć stacji. W taki sposób znalazł się w kościele m.in. obraz ołtarzowy.

Feretron, o odkryciu którego mowa była na początku artykułu, wymaga renowacji przywracającej jego oryginalny wygląd, a także oceny historyka sztuki i ustalenia, z jakiego okresu pochodzi. Aby mógł być ponownie noszony w procesjach, niezbędne jest wzmocnienie drewnianej, próchniejącej ramy lub wykonanie specjalnej platformy.

Przykład stowarzyszenia Bezblędna Gmina Błędów, które własnymi siłami i środkami walczy o ratowanie zabytków i lokalnej tożsamości, pokazuje, że w polskim systemie prawnym istnieje luka, która pozostawia ok. 3 000 podmiotów tj.: prywatne galerie, izby pamięci, małe „muzea” – bez żadnej pomocy prawnej, merytorycznej czy finansowej. Organizacje i podmioty skupione wokół Federacji Małe Muzea prowadzonej przez Fundację ARI ARI z Bydgoszczy borykają się z podobnymi wyzwaniami. Aby feretron z Lipia, starodruki czy uratowane stroje po ludowym zespole dziecięcym pana Mazuryka mogły przetrwać dla kolejnych pokoleń i być świadectwem dorobku kulturowego Polski oraz trwałości naszej podmiotowości, potrzebne jest stworzenie systemu, który obejmie małe muzea regularnym wsparciem. Postulaty społeczników tworzących środowisko zostały zebrane w dokumencie pt. „Memorandum Małe Muzea” i są dostępne na stronie [www. Ariari.org](http://www.Ariari.org)

Stowarzyszenie Bezblędna Gmina Błędów prowadzi w Lipiu (pow. grójecki, woj. mazowieckie) cztery izby pamięci w budynku Starej Plebanii:



Mała rycina z odnalezionego starodruku pochodzącego z 1692 r., fot. z archiwum Stowarzyszenia Bezbłędna Gmina Błędów

– Lipie Klasztorne, wystawa poświęcona dziejom lipskiej XVI-wiecznej parafii, w tym działającemu tu przez 260 lat zgromadzeniu zakonnemu karmelitów trzewickich,

– Izba Pamięci Ośrodka VIII ZWZ/AK w Lipiu (obejmującego obszarem działania trzy gminy pow. grójeckiego),

– Izba Pamięci Dziecięcej Kapeli Ludowej pana Mazuryka,

– Gabinet Tomasza Nocznickiego – działacza chłopskiego, senatora, ideologa ruchu ludowego, mieszkańca Lipia.



Joanka Szewczyk – mieszkanka Ziemięcina, prezes stowarzyszenia Bezbłędna Gmina Błędów, stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w kategorii kultura ludowa w 2023 roku, działaczka społeczna, przedsiębiorca.

Leczenie na wsi we wspomnieniach Tadeusza Daszewskiego

Daniel Kamiński



Widok od strony stawu na zabudowania wiejskie w Nowej Wsi, fot. sprzed 1939 r. ze zbiorów
Klaudii Daszewskiej-Sajnóg

Tadeusz Marian Daszewski (1882–1972) był właścicielem rodzinnego majątku w Nowej Wsi koło Grójca. W 1912 roku założył tam i wzorowo prowadził sad, a później firmę sadowniczą. Pozostawił po sobie niezwykle ciekawe pamiątniki, których wydania się nie doczekał. Poświęcił w nich wiele miejsca nie tylko swojemu życiu, ale też mieszkańcom okolicznych wsi.

Tadeusz Marian Daszewski urodził się w 1882 roku jako syn Michała Daszewskiego i Gabrieli z Pobóg-Pagowskich, właścicieli ziemskich w powiecie grójeckim na Mazowszu. Daszewski do 1945 roku był właścicielem rodzinnego majątku w Nowej Wsi koło Grójca (ok. 170 ha). W 1912 roku założył tam i wzorowo prowadził sad, a później firmę sadowniczą pod nazwą „Owoce sorto-

wane Nowa Wieś”. Sława owoców z Nowej Wsi znana była w całej Polsce. Wiedzę swoją dzielił się na łamach czasopism rolniczych, na licznych odczytach, w słuchowiskach w Polskim Radiu, promował ją wśród sąsiadów w powiecie grójeckim, przyjmował wycieczki z kraju, szkolił praktykantów z SGGW i Poznańskiej Szkoły Ogrodniczej. Corocznie w październiku organizował w Nowej

Wsi pokazy prac sadowniczych, prawidłowego rwania, sortowania oraz pakowania owoców. Był jednym z pierwszych sadowników wykorzystujących w uprawie drzewa niskopiennie. Owocna praca Tadeusza Daszewskiego przyczyniła się do utrwalenia opinii o powiecie grójeckim jako znanym zagłębiu sadowniczym. Reforma Rolna z 1945 roku pozbawiła Tadeusza Daszewskiego dorobku całego życia. Zmarł w 1972 roku. Pozostawił po sobie obszerne i niezwykle barwne wspomnienia, które przygotowywał do publikacji. Pamiętniki te jednak nie zostały wydane. Opisał w nich swoje życie od narodzin do okresu drugiej wojny światowej. Wiele fragmentów w pamiętnikach poświęcił zwyczajom mieszkańców podgrójeckich wsi, a także swoim relacjom z pracownikami majątku. Są one cennym źródłem informacji, zważywszy, że niewiele wspomnień z tego okresu dotyczy historii okolic Grójca. W posłowie autor napisał: *W latach do pierwszej wojny światowej stykałem się głównie ze sferą ziemiańską i z chłopem, którego życie, obyczaj i psychikę poznałem dobrze. Przytoczone tu urywki z gwary mazurskiej są jak najbardziej autentyczne. Ale dzisiejsza wieś zatraciła już prawdziwą gwarę, młodzi posługują się językiem bardziej literackim i jedynie wśród starego pokolenia można spotkać tę gwarę, której nieodzownym składnikiem jest specyficzny akcent i sposób wymawiania oraz różne charakterystyczne słówka i powiedzonka.*

Znam dobrze dwory polskie i żyjących w nich ludzi, tych starych, co to jeszcze żyli za czasów pańszczyźnianych, i tych młodszych ode mnie, którzy nową myśl przepojeni oderwali się od feudalnych czasów i szli za postępem. Wszystko to przedstawiam, nie wydając sądu, zostawiając go czytelnikom.

Poniżej prezentujemy wybór tekstów dotyczący leczenia z okresu 1882–1908.

Zakończywszy ostatecznie sprawy wojskowe. Zabrałem się do zupełnej reorganizacji gospodarki

nowowiejskiej. Pan Sielski, człowiek starej daty, przywykł do dawnego sposobu gospodarowania, który przejął od swego ojca. Nie mógł zrozumieć, że ten prymityw staroświecki może doprowadzić jedynie do ruiny, że nie dotrzymuje on kroku postępowi i obecnym wymaganiom.

Pracy miałem nawet niekiedy ponad siły. Musiałem zwalczać stare, od wieków zakorzenione przesady, jakieś dziwne nawyki tak administracji, jak i wszystkich pracowników. Szło to bardzo opornie, ale powoli zacząłem opanowywać całość. Z gospodarzami Nowej Wsi i z sąsiednią wioską Rytomoczydła miałem niezmiernie miłe i serdeczne stosunki, oparte na dawnych, jeszcze patriarchalnych tradycjach. Ze swej strony robiłem co mogłem, aby ulżyć doli kilkumorgowych chłopów.

Przerażała mnie straszna ciemnota, wiara w średniowieczne gusła i zabobony, które tak trudno zwalczyć. Taka na przykład stara Janowa lub Maciejowa zamawia chorobę u ludzi bądź



Tadeusz Daszewski przed dworem w Nowej Wsi, fot. sprzed 1939 r. ze zbiorów Klaudii Daszewskiej-Sajnóg



Tadeusz Daszewski w sadzie owocowym, fot. sprzed 1939 r. ze zbiorów Klaudii Daszewskiej-Sajnóg

u zwierząt. Każe sobie podać szklankę oraz wodę, ale tylko ze studni, „insza się nie nadaje”. Szepcząc jakieś zaklęcie nalewa szklankę do połowy i opierając ją na głowie kilkoletniego dziecka wrzuca do wody pięć małych, żarzących się węgielków drzewnych. Tu następuje dalsze zaklęcie, są to właściwie słowa bez związku i niezrozumiałe dźwięki. Część mistyczna jest zakończona, teraz chory delikwent musi wypić zawartość szklanki. Choroba jest zażegnana, ale jeśli mimo tego cudownego, „wielce skutecznego” leku zdrowie pacjenta się nie poprawiło lub jeśli, nie daj Boże, pacjent umarł, Maciejowa kiwając głową z rezygnacją, mającą oznaczać całkowite poddanie się woli bożej, z miną wyrażającą zrozumienie tajemnic boskich mówiła:

– Zamówienie było sprawiedliwe i akuratne, ale widać nie było woli bożej.

Zamawianie było uniwersalnym, cudownym i „skutecznym” środkiem na różnorodne choroby, jak: suchoty (gruźlica), krzywica u dzieci, różne

schorzenia kostne, choroby oczu z zezem włącznie.

W wypadkach kiedy dziecko długo chorowało lub wioskę nawiedziła epidemia, brudną koszulkę chorego dziecka wynosiło się z chałupy i wieszało na krzakach lub gałęziach drzew przydrożnych. Choroba miała wtedy opuścić dziecko i przejść poprzez przechodnia w inne dziecko. W tym wypadku zabobon ten miał pewną słuszność, nie w tym, żeby choroba miała opuścić dziecko, ale w razie epidemii za pomocą zakazanej bielizny roznoszono ją dalej. Takich i tym podobnych zabobonów była niezliczona ilość, niektóre z nich, jak kołtun, są powszechnie znane, niektóre są wymysłem poszczególnych okolic.

Widząc fatalny stan zdrowotności pracowników folwarcznych i ich dzieci, zawarłem umowę z doktorem w Warce, że będzie on co miesiąc przyjeżdżał do Nowej Wsi, aby badać wszystkich mieszkańców. Zawiadomiłem jednocześnie wieś, że w razie choroby mogą korzystać z bezpłatnej konsultacji. O ile zaszedłby wypadek choroby, posłano by chorego dworską furmanką do doktora, lub w razie cięższego wypadku doktor zjechałby na miejsce.

Po wejściu w życie umowy lekarz zbadał wszystkich, od najmłodszych dzieci do niedołączonych staruszków, i pierwszym zarządzeniem było szczepienie ospy. W porze obiadowej, kiedy pracownicy byli w domu, wezwałem wszystkich do izby przeznaczonej od tej pory na przychodnię. Oczekiwał tam doktor z felczerem i z odpowiednim zapasem szczepionki. Jakież było moje zdziwienie, gdy spośród przeszło stu osób zjawiło się zaledwie kilka. Udałem się osobiście do mieszkań służby, ale nie zastałem tam prawie nikogo. Wszyscy uciekli i skryli się, gdzie kto mógł, a głównie w dołkach (prowizorycznych piwnicach) na kartofle. Postanowiłem czekać cierpliwie do dzwonka wzywającego wszystkich pracowników na poobiedni apel. Gdy już wszyscy stanęli w szeregu,

przemówiłem do nich i starałem się przekonać o konieczności szczepienia. Po przemówieniu moim część ludzi, głównie mężczyźni, udali się do izby chorych, reszta z krzykiem uciekła.

[...]

Udzielanie niezbędnej, nieraz doraźnej pomocy w nieszczęśliwych wypadkach zrobiło mi rozgłos: „Młody nowowiejski dziedzic je znajuncy na różnych chorobach” – mówiło okoliczne chłopstwo, toteż coraz częściej zwracano się do mnie o ratunek lub poradę. Dużą rolę odgrywało tu: „że to dziedzic nie bierze nijakich pieniędzy”. Zaczęli napływać pacjenci z bolącymi zębami, które u chłopstwa znajdowały się w rozpaczliwym stanie. Widywałem wypadki, kiedy człowiek w wieku około czterdziestu lat stracił już prawie wszystkie zęby. Niestety nie mogłem przecież plombować, starałem się jedynie ulżyć w cierpieniu usuwając lub trując bolący ząb.

W małych miasteczkach, jak Warka czy Grójec, nie było dentysty. Warszawa była zbyt oddalona przy złej komunikacji, a koszt przejazdu i leczenia był wprost niedościgły dla znacznej większości ludności wiejskiej. I wtedy to jeden z praktykantów, niejaki Kaczkowski, którego brat był dentystą w Warszawie, nasunął mi myśl wyrwania zębów. Od brata przywiózł mi Kaczkowski troje wybrakowanych przez niego obciążków do rwania zębów przednich, trzonowych oraz pieńków. I tak zaczęła się moja kariera dentystyczna, która w następstwie nabrała rozgłosu wśród mieszkańców kilku sąsiadujących gmin. Omi-jano leżącą po drodze Warkę, gdzie urzędował stary, brodaty felczer Kryksman, rwący jeszcze zęby po starodawnemu lewarkiem. Naturalnie nie było mowy o znieczuleniu, którego wówczas nie znano.

Po paru latach doszedłem do takiej wprawy, że wyrwanie zęba trwało nieraz zaledwie sekundy, ale bywały również i trudne wypadki. Na szczęście nie zdarzył mi się nigdy jakiś wypadek, który

by powodował komplikacje. Bywało i tak, że jakiś kmiołek, nie znając miejscowego obyczaju, nie mógł zrozumieć, że można coś zrobić bezinteresownie, i gwałtem wpychał mi do ręki jakąś monetę. Czuł się obrażony, że jej nie chciałem przyjąć.

W późniejszych już latach od samego rana czekali nieraz pacjenci z zębami. Wracając z codziennych rannych galopów, jeszcze przed śniadaniem, musiałem załatwić niecierpliwących się pacjentów.

Wyjdę tu o wiele lat naprzód, by dać cały obraz mej dentystycznej działalności. W latach trzydziestych zgłosił się do mnie, w charakterze pacjenta, następcą ukochanego stangreta Ludwika, również kochany i niezastąpiony stangret, Adam Doleciński, który służył od małego chłopca u stryja Baltazara.

– Co ci tam, Adam kochany?

– A to, proś jaśnie pana, zumb me okrutnie



Pracownicy w sadzie nowowiejskim, fot. sprzed 1939 r.
ze zbiorów Klaudii Daszewskiej-Sajnóg

boli, nijak spać nie mukem i tero to tak, nazywo się, boli, że niepodób. Prosiłbym, niechby tam jaśnie pan go wyrwał.

– No siadaj, a który to ząb?

Adam usiadł na dentystycznym krześle (zwykły stołek kuchenny) i otworzył szeroko usta. Spojrzałem, nie ma prawie jednego zdrowego zęba, a wielu już brak.

– No uważaj, który to ząb?

Po opukaniu okazało się, że to właśnie ten, który wskazywał Adam palcem.

– Na pewno ten?

– O, rychtyk¹ ten, prose jaśnie pana.

Ząb został z łatwością usunięty. Adam otarł usta dłonią, widać było, że bada zęby językiem. Nachylił się starym zwyczajem, pocałował mnie w rękę:

– Ależma się omylili, prose jaśnie pana, bo to nie ten zumb, o to rychtyk ten – i wskazał sąsiedni ząb.

– Ale czy na pewno ten, uważaj! – długie opukiwanie, aż wreszcie zostało kategorycznie ustalone, że ten sąsiedni. I ten wyszedł zupełnie lekko. I znów Adam badał językiem, znów pocałował w rękę:



Bandoski w sadzie, fot. sprzed 1939 r. ze zbiorów Klaudii Daszewskiej-Sajnog

– Ależma się jesce roz omylili, prose jaśnie pana, bo to znowuj nie ten.

Zacząłem badać następny ząb, ruszał się. Wyjąłem go bez wysiłku. Biedne kochane Adamisko! Pocieszałem się jedynie tym, że właściwie wszystkie te trzy zęby skazane były na zagładę, wszystkie były mocno zepsute i słabo się trzymały.

Brat mój Jan, w wiele lat później, uwiecznił ten wypadek w jednym ze swych okolicznościowych wierszy, wygłaszanych corocznie na moich imieninach:

„...Ty sławny dentysto, co rwiesz chłopom z gęby całkiem zdrowe zęby...”

[...]

Ciemnota i analfabetyzm wśród chłopstwa były przerażające, a nędza, szczególnie w nieurodzajnym roku lub w razie padnięcia krowy czy konia, była tak wielka, że niektóre rodziny chłopskie głodowały. Najbardziej odbijało się to na dzieciach. Chude, blade, o wypchanych kartoflami brzuskach, na cienkich jak patyczki, krzywych, rachitycznych nóżkach, snuły się leniwie koło chałupy, brudne, półnagie dzieciaczyny.

Bolałem nad tą niedolą chłopską. Młode, gorące serce zrywało się do czynnej walki. Ale cóż mogłem zrobić sam jeden? Starąłem się ulżyć w niedoli, w pojedynczych wypadkach, ale rozumiałem, że wysiłki te nie wpłyną na poprawienie bytu chłopskiego.

Ale byli i bogaci chłopci, arystokracja chłopska wywodząca swój ród od wielu pokoleń. Odnosili się do ziemiaństwa z obyczajowym szacunkiem, ale bez zbytniej uniżoności. Czuli się raczej równi niż podlegli. Tacy byli chłopci z Łowickiego, tacy byli chłopci „zawiślacy” z okolic Sobień, Siedzowa, Gusina w powiecie garwolińskim. Siedzieli na żyznej, „powiślańskiej” ziemi, „co to jedna morga więcej zrodzi niż trzy chudziźny”.

[...]

W okolicy Łowicza, w bogatej wsi, ciężko zachorowała żona zamożnego chłopca. Gdy miej-

sowcy doktor wyczerpawszy wszelkie dostępne mu środki zdecydował, że nic więcej już zrobić nie może, poradził, aby sprowadzono z Warszawy sławnego wówczas profesora doktora X. Doktor przyjechał, obejrzał pacjentkę, a znalazłszy ją w beznadziejnym stanie orzekł, że nic tu poradzić nie może, że chora potrzebuje raczej księdza niż lekarza. Zapytany, jakie mu się należy honorarium, postawił jakąś zawrotną, jak na chłopskie stosunki, sumę. Chłopi, a było ich kilku, bo zeszli się krewni i sąsiedzi, wyszli do przyległej izby, poszeptali i wróciwszy, bez protestu, wręczyli doktorowi żadaną sumę, po czym poczęstowali sutą kolacją. Zaspokoivszy głód doktor zażądał, by go odstawiono do Łowicza, na stację odległą o 12 wiorst. Gospodarz skłonił się i bardzo grzecznie odpowiedział:

– A to, doprasam się łaski wielmożynego konsyliorza, jo to skapiny ni mum, jus ta wielmożny pan będzie łaskow u sumsiadów popyto.

Doktor rozejrzał się po izbie, szukając oczyma któregoś z gospodarzy, ale już żadnego nie było.

– No to idźcie gospodarzu na wieś i każcie mnie odwiedzić.

– Kiej jo, prose wielmożnego pana, nijak nie mogę od kobity odynść.

W poszukiwaniu za furmanką doktor wyszedł z izby. Drzwi się za nim zamknęły i zgrzytnęła zasuwka, nastała zupełna cisza. Na wiejskiej dro-



Prace polowe w Nowej Wsi, fot. sprzed 1939 r.
ze zbiorów Klaudii Daszewskiej-Sajnóg

dze nie było widać nikogo. Wszystkie okna były ciemne, nigdzie znaku życia, jedynie za zbliżeniem się do obejścia obcego psy ujadły zawzięcie. Stukał doktor kolejno do chałup, wszędzie trzeba było długo czekać, aż się drzwi otworzą i wszędzie ta sama odpowiedź. Każdy chłop żądał z góry zapłaty w sumie równej otrzymanemu przez doktora honorarium. Nie było rady, trzeba było zapłacić.

[...]

Przypisy:

- 1 Rychtyk (niem. richtig) – dobry, poprawny, słuszny.



Daniel Kamiński – absolwent Wydziału Historii UMK w Toruniu; specjalizuje się w historii XIX i XX w., polskiego ziemiaństwa i fotografii. Autor publikacji, współorganizator wystaw historycznych i konferencji, członek Komitetu Redakcyjnego „Wiadomości Ziemiańskich” i Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Pracuje w Dziale Programowym NIKiDW.

Etnograficzna Atrakcja Turystyczna

Jacek Żukowski



Sromów opodal Łowicza, tutejsza inicjatywa prowadzona jest już w drugim pokoleniu. To jedyne takie miejsce w Polsce, gdzie kultura ludowa prezentowana jest w postaci ruchomych, wzorowanych na szopkach, dioram oraz naturalnej wielkości ruchomych figur Księżaków Łowickich, fot. Jacek Żukowski

Wakacje to czas bliższych i dalszych podróży oraz krajoznawczych wycieczek. W różnych regionach naszego kraju natrafiamy na prywatne przedsięwzięcia pokazujące „dawną wieś” i chcące przybliżyć gościom lokalne dziedzictwo. Jest to zjawisko kulturowe, które doczekało się kilku opracowań, konferencji, a nawet zjazdów założycieli. Przyzwyczajenie do nazywania ich muzeami powoduje, że odwiedzający mają pewne oczekiwania. Nie wszystkim są one w stanie sprostać, oferują za to coś zupełnie innego.

Zgodnie z ustawą muzeum jest jednostką organizacyjną nienastawioną na osiągnięcie zysku, której celem jest gromadzenie i trwała ochrona dóbr naturalnego i kulturalnego dziedzictwa ludzkości o charakterze materialnym i niematerialnym, informowanie o wartościach i treściach gromadzonych zbiorów, upowszechnianie podstawowych wartości

historii, nauki i kultury polskiej oraz światowej, kształtowanie wrażliwości poznawczej i estetycznej oraz umożliwianie korzystania ze zgromadzonych zbiorów¹. W literaturze oraz w wypowiedziach osób badających zjawisko kulturowe, jakim jest powstawanie prywatnych placówek udostępniających swoje zbiory zwiedzającym, nazywane są

one muzeami prywatnymi lub małymi, a w dyskusjach konferencyjnych jak bumerang powraca pytanie: „Czy to są muzea?”.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, zaczniemy od tego, czym jest muzeum. Przytoczona na wstępie ustawowa definicja jest precyzyjna i aby przedsięwzięcie mogło nazywać się muzeum, musi ją spełniać. Już pierwszy jej człon staje się przeszkodą nie do przeskoczenia, a dalsze wymogi i obowiązki tylko ten stan pogłębiają. Każde prywatne przedsięwzięcie, aby się utrzymać, musi generować zysk albo chociaż „wychodzić na zero”. W przypadku działalności kulturalnej przychody są minimalne, często niepokrywające kosztów utrzymania. W przypadku państwowych i samorządowych muzeów, kłopoty finansowe również występują, ale dzięki dotacjom organizatora nie są one narażone na likwidację – bankructwo. Priorytetem prywatnych przedsięwzięć jest „przetrwanie na rynku”. Udostępnianie kolekcji zwiedzającym generuje znaczne koszty. Pozyskanie nieruchomości, jej utrzymanie, opłaty bieżące, do tego z czasem koszty obsługi, honoraria ewentualnych pracowników, pozyskiwanie nowych przedmiotów – to wszystko są konieczne wydatki związane z prowadzeniem takiej działalności. Te podstawowe rozchody często przekraczają wpływy uzyskiwane od gości. Każde kolejne powodują, że przedsięwzięcie traci sens ekonomiczny i staje się „skarbonką bez dna”. Jest to nieuniknione, jeżeli dąży się do spełnienia ustawowych wymagań. Nie będę tu wypisywał i analizował wszystkich, omówię tylko dwa, które skutecznie uniemożliwiają zostanie muzeum.

Dostępność zbiorów wydaje się rzeczą oczywistą i ekonomicznie korzystną. Im więcej gości, tym większe wpływy. Tak, ale ustawa mówi, że dostępność to także brak opłat za wstęp w jednym dniu w tygodniu². Dla przedsięwzięcia walczącego o przetrwanie rezygnacja z opłat, nawet w jednym dniu, jest kosztem niemożliwym do

zaakceptowania. Dostępność to także inne wysokie koszty, niezdefiniowane w samej ustawie, np. dostosowanie do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Drugą przeszkodą na drodze do stania się muzeum jest kolejna oczywistość – zbiory. Zgodnie z ustawą *muzealiami są rzeczy ruchome i nieruchomości stanowiące własność muzeum i wpisane do inwentarza muzealiów*³. Założyciel kupuje lub wytwarza jakiś przedmiot, umieszcza go na terenie swojej placówki i mamy gotowe muzealium. Nic bardziej mylnego. Bez inwentarza nie ma muzealiów. Dalsze przepisy precyzują, jak ma dokładnie wyglądać inwentarz oraz co można, a czego nie wolno robić z muzealiami, co w przypadku własności prywatnej budzi oczywisty sprzeciw właścicieli. Ale wróćmy do samego inwentarza. Nadanie numerów i ich wprowadzenie wydaje się sprawą błahą. Jeśli robimy to od samego początku powstawania kolekcji, to jest to kwestia konsekwencji, ale jeśli chcemy to zrobić w już istniejącej kolekcji liczącej setki, a często tysiące przedmiotów, to jest to zadanie niewykonalne dla jednej osoby, a nawet jednej rodziny. Jeśli dodamy do tego tworzenie katalogu naukowego, czyli opisywanie zbiorów wraz z dokumentacją fotograficzną, to koszt ich sporządzenia jest niemożliwy do pokrycia z budżetu uzyskiwanego od zwiedzających. Znam to z autopsji: w 2010 roku prowadziłem praktyki w ramach zajęć studentów etnologii, podczas których dziesięcioosobowa grupa w ciągu 5 dni zdołała zidentyfikować, oznaczyć, sfotografować i opisać 200 przedmiotów z kilkunastotysięcznej kolekcji. Po tym doświadczeniu właściciel zrezygnował z prób spełnienia wymogów ustawowych.

Po ponad 15 latach od tej sytuacji, dalszej współpracy i przyjaźni z założycielem oraz utrzymywaniu życzliwych kontaktów z innymi podobnymi osobami i placówkami moja odpowiedź na wyżej postawione pytanie brzmi: „Nie – to nie są muzea”. Czym zatem są te „niemuzea”?



Kuligów nad Bugiem na Mazowszu Leśnym, tutejsze przedsiębiorstwo organizuje pokazy (na zdjęciu – szkutnictwa) międzynarodowe plenery artystyczne, rekonstrukcje historyczne, koncerty i inne. Od kilku lat w utrzymaniu go pomaga prowadzenie karczmy, fot. Jacek Żukowski

Zadajmy najpierw pytanie, co robią, a dojdziemy do odpowiedzi na pytanie, czym są. Wszystkie tego rodzaju przedsięwzięcia są miejscami udostępnianymi gościom, w których to mogą oni zobaczyć stare i nowe przedmioty oraz poznać lokalne tradycje. To bardzo ogólne stwierdzenie, co zatem się pod nim kryje? Przyjrzyjmy się poszczególnym składowym działalności. Mamy miejsce. Może to być pojedyncze pomieszczenie, osobny budynek, a także zespół budynków, zarówno stojących w swoich oryginalnych lokalizacjach, jak i przeniesionych. Miejsce to jest udostępniane gościom, a zatem świadczy usługę osobom trzecim polegającą na pokazywaniu wartości, która jest na tyle atrakcyjna, że skłania te osoby do przyjazdu i zapłacenia za możliwość ich obejrzenia. Lokalni mieszkańcy rzadko zaglądają do takich miejsc. Gośćmi są osoby spoza

miejsowości, w której znajduje się dane przedsięwzięcie. Są to zatem ludzie, którzy podróżują poza swoje miejsce zamieszkania w celu poznawczym lub rozrywkowym, słowem – turyści. Treść, którą chcą zobaczyć i poznać, ma charakter nostalgiczny, tzn. odwołujący się do wspomnień z dzieciństwa lub opowieści rodziców i dziadków, oraz jest na tyle atrakcyjna, że decydują się ponieść koszty dojazdu i jej zobaczenia. Nie jest ona doświadczeniem bezpośrednim (jak to ma miejsce np. w gospodarstwach agroturystycznych lub zagrodach ekologicznych), a zetknięciem z pewną wizją przeszłości, którą zrealizował założyciel – właściciel przedsięwzięcia. Wizja ta oparta jest na wspomnieniach życia na wsi lub zebranych przez właściciela wspomnieniach lokalnych mieszkańców o tym życiu (jak tu kiedyś było). Jest zatem zbudowana na podstawie zindywidualizowanego

przekazu wiedzy o charakterze etnograficznym. Podsumowując, nasze „niemuzeum” jest placówką usługową, której klientem są turyści, a przekaz opiera się na specyficznej wyłącznie dla danej placówki wersji wiedzy etnograficznej. Wniosek ten przekulem w nazwę dla tych „niemuzeów”, określając je Etnograficznymi Atrakcjami Turystycznymi (w skrócie EAT).

Tak zdefiniowanej i nazwanej kategorii porządkującej użyliśmy na mapie p.n. Etnomiejsc na stronie internetowej Etnoport.pl Dziedzictwo Polskiej Wsi⁴, prowadzonej przez Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi. Obecnie (stan na lipiec 2025) znajdują się na niej opisy 13 takich miejsc. Nie są to wszystkie miejsca z tej kategorii, jakie działają w Polsce. Gdy organizowałem w 2013 roku I Ogólnopolski Zjazd Kolekcjonerów Kultury Wsi i Małych Miast w Kuligowie, na który zaproszeni byli właści-

ciele-założyciele Etnograficznych Atrakcji Turystycznych (wtedy nie posługiwałem się jeszcze tą nazwą), wyszukałem 24 takie miejsca w Polsce. Ponad połowa z nich już nie istnieje. Przetrwały tylko te, które potrafiły znaleźć dodatkowe źródła utrzymania i wykorzystać fakt przyjazdu turystów. Powstały też nowe. Zespół redakcyjny Etnoportalu wyszukuje, dodaje i aktualizuje informacje o nich. Przyjrzyjmy się im. Już pierwszy rzut oka na mapę pozwala stwierdzić, że zlokalizowane są w różnych regionach naszego kraju, zarówno w miejscowościach mających tradycje i infrastrukturę turystyczną, jak i będących na uboczu. Atrakcyjne umiejscowienie jest podstawą sukcesu w każdym biznesie usługowym, ten drugi rodzaj lokalizacji może zatem dziwić, ale turysta przesycen ofertami znanych kurortów właśnie w mniej znanych miejscowościach szuka autentyczności. Może to więc stanowić dodatkową



Redecz Krukowy na Kujawach, placówka przy Fabryce Maszyn Rolniczych „Krukowiak”. Właściciel uratował zbiory kolekcjonera z mazowieckiej Prostyni, który był zmuszony zlikwidować swoją placówkę, fot. Jacek Żukowski

zaletę danej EAT. Ciekawymi wyjątkami są placówki założone przez właścicieli dobrze prosperujących zakładów – fabryk maszyn rolniczych. Najdłużej istniejące łączą działalność etnograficzną z oferowaniem noclegów i/lub posiłków. Większość organizuje pokazy i warsztaty tradycyjnego rzemiosła i rękodzieła. Najprężniej działające organizują cykliczne wydarzenia kulturalne, takie jak plenery artystyczne, imprezy kulturalno-kulinarne, rekonstrukcje historyczne czy koncerty. Wyłania się z tego obraz prywatnych instytucji kultury, które radzą sobie przy minimalnym mecenacie ze strony państwa i samorządów lub wręcz bez niego. Znalezienie skutecznej formuły dla stałego funkcjonowania w danym miejscu jest zadaniem najtrudniejszym dla właścicieli. Wiadać to w różnorodności instytucjonalnych form

działania. Część jest prowadzona przez stowarzyszenia, część przez fundacje, jeszcze inne przez osoby fizyczne albo funkcjonują przy prywatnych firmach. Skrót EAT (po angielsku „jeść”) zawiera w sobie pewną odpowiedź dla założycieli – sprawdzoną i skuteczną formułą pozwalającą przetrwać i myśleć o rozwoju jest stworzenie restauracji, w której zjedzą i odpoczną zarówno turyści, którzy chcieli obejrzeć zbiory, jak i ci zgłodnieli, którzy zobaczą je przy tej okazji.

Rozwój obszarów wiejskich to nie tylko modernizacja produkcji rolnej i budowa nowoczesnej infrastruktury, ale też troska o dziedzictwo, bez którego nie ma turystyki. A ta jest niezbędna dla zrównoważonego rozwoju. EAT pełnią tutaj bardzo ważną funkcję, zarówno z perspektywy całego kraju, jak i (a może przede wszystkim)



Wach, na Kurpiach Zielonych to wyjątkowe miejsce prowadzone przez rodzinę Bziukiewiczów, w którym poza zobaczeniem oryginalnych przedmiotów można wziąć udział np. w warsztatach kopania bursztynu i zobaczyć tradycyjny sposób jego obróbki, fot. Jacek Żukowski

lokalnie. EAT najczęściej zakładają przyjezdni. Osoby z zewnątrz mające wizję, ale też doświadczenie i wiedzę wyniesioną z pracy zawodowej. Podejmują zupełnie nieznany dotąd lokalnie rodzaj działalności, którego efektem jest wytworzenie nowego miejsca przyciągającego i zatrzymującego turystów, którzy nigdy nie trafiliby do danej miejscowości bez niego. Daje to lokalnej społeczności impuls ekonomiczny, kulturowy i kreatywny. Z czasem miejscowość zyskuje też rozgłos dzięki powstaniu w niej EAT. Turyści zostawiają pieniądze w lokalnym sklepie. Szukają noclegu. Muszą czasem skorzystać z innych usług na miejscu, np. wulkanizatora. Daje to wspomniany impuls, który przekłada się też na zmiany w przestrzeni miejscowości. Samorządowcy i mieszkańcy zaczynają przykładac większą wagę do wyglądu i porządku we wsi. Rodzi to nowe wyzwania i nowe możliwości. Turyści pytają o inne atrakcje w pobliżu. Osoby przedsiębiorcze zaczynają zastanawiać się nad wykorzystaniem takiej okazji. Zaczynają świadczyć usługi dodatkowe: sprzedawać domowe przetwory czy wynajmować miejsca

parkingowe (których zawsze brakuje w miejscowościach bez tradycji turystycznych). Tworzy się „twórczy ferment”, który ma szansę przerodzić się w nowe, trwałe miejsca pracy, zarówno w samej EAT, jak i innych miejscach powstałych przy okazji jej działania. EAT zaczyna przyciągać ludzi kultury, nauki, artystów i polityków ponadlokalnych, którzy pewnie nigdy nie przyjechaliby do danej miejscowości w innych okolicznościach. Otwiera to kolejne nowe możliwości. EAT zaczyna pełnić ważną funkcję w miejscowym rozwoju, ale też edukacji kulturalnej w regionie. Powyższy opis oparty jest na prawdziwych historiach długo działających EAT. To dobre praktyki, na których warto się wzorować. Warto też, jeżdżąc po Polsce, odwiedzać wszystkie, zarówno te z historią, jak i zupełnie nowe. Wszystkie są fascynującymi odzwierciedleniami pasji, uporu i konsekwencji nietuzinkowych osób, które dodatkowo mogą się z Państwem podzielić swoimi przemyśleniami i dopowiedzieć to, czego w muzeach nie usłyszycie. Odkryjcie je wszystkie razem z Etnoportalem.

Przypisy:

- 1 Ustawa z dnia 21 listopada 1996 r. o muzeach, Dz. U. 2022 r. poz. 385.
- 2 Ibidem, Art. 10. 2.

- 3 Ibidem, Art. 21. 1.

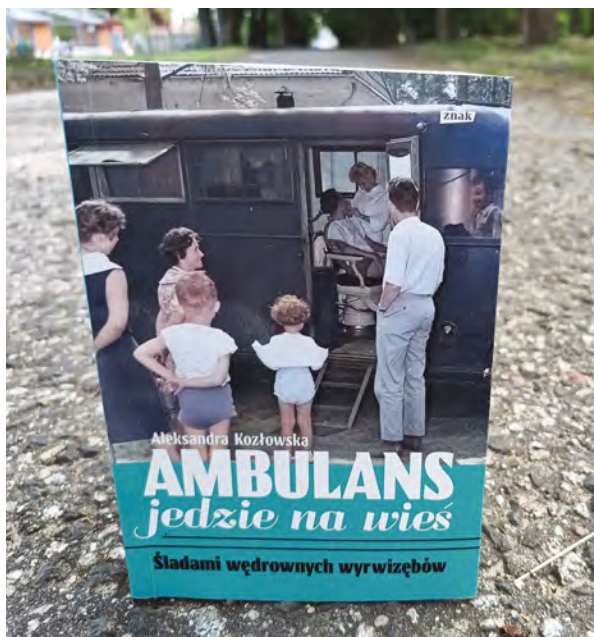
- 4 <https://etnoportal.pl/pl/etnomiejsca> (dostęp 07.2025).



Jacek Żukowski – ur. 1983, etnolog, regionalista. Warszawiak mieszkający na dolnośląskiej wsi. Członek Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego i Towarzystwa Karkonoskiego. Autor licznych publikacji popularnonaukowych, wystaw i projektów edukacyjno-kulturalnych. Specjalizuje się w ekoetnologii, etnografii historycznej i muzealnictwie skansenowskim. Pracuje w Dziale Zarządzania Projektami NIKiDW.

Opieka stomatologiczna na powojennej wsi

Grażyna Olszaniec



Aleksandra Kozłowska, „Ambulans jedzie na wieś: śladami wędrownych wyrwizębów”, fot. Grażyna Olszaniec

Na stronie wydawcy znajdziemy informacje o autorce Aleksandrze Kozłowskiej – to dziennikarka, reporterka i pisarka. Jest także współautorką książki *Islandia i Polacy. Historie tych, którzy nie bali się zaryzykować*, napisanej wspólnie z Mirrellą Waśkiewicz. Pracowała oraz współpracowała z „Gazetą Wyborczą”, „Przekrojem”, „Polityką” i „Tygodnikiem Powszechnym”. W pewnym stopniu książka odzwierciedla jej wykształcenie – studiowała filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim i filmoznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim – gdyż przedstawia bohaterów reportażu z malarską precyzją oraz bawi się językiem, w którym jest wiele nawiązań do stomatologii np. „Wiosna dopiero ząbkuje” (str. 44) czy „[jezioro] gładkie jak szklany stolik na dentystyczne narzędzia” (str. 52), „Placówki [...] wyrzynają się w bólach niczym mleczaki.” (str. 121), „oficjalna linia chwieje się niczym zgorzelinowy ząb” (str. 181) „część liter wypadła, niczym zęby staruszka” (str. 225) czy „historia /.../ boli, rwie i kłuje mocniej niż zapalenie miazgi zęba” (str. 356), jak również utrwalone wyrażenia potoczne np. „zgryz” jako „kłopot, zmartwienie, zgryzota”. Książka składa się z ośmiu części podzielonych na rozdziały. Jest ilustrowana fotografiami z archiwum rodzinnego, a także współczesnymi zdjęciami z wyprawy sentymentalnej i reporterskich kwerend.

Tytuł książki *Ambulans jedzie na wieś*¹ został zaczerpnięty z dokumentu filmowego z 1950 roku, a autorka napisała swój reportaż zainspirowana doświadczeniami rodziców, dopisując podtytuł *Śladami wędrownych wyrwizębów*. Dowiemy się z niego nie tylko tego, ile się zmieniło na polskiej wsi od czasów PRL-u.

Część pierwsza zatytułowana *Podróż na wschód* zawiera siedem rozdziałów: *Szlakiem usuniętych trzonowców* (str. 9–11), *Zwichnięcie zęba: ruchy wyrażające i obrotowe* (str. 12–26), *Marianna*

i porwanie Maryi (str. 27–43), *Czynniki partyjne otwierają rok szkolny* (str. 44–51), *Objazdowa fluoryzacja* (str. 52–57), *Rękopis znaleziony w gabinecie dyrektora* (str. 58–62), *Doktor Chochłowski robi przerwę na papierosa* (str. 63–68). Opisano w nich wyprawę z Gdańska do Małdyt szlakiem Teresy Radeckiej, młodej stomatolożki przemierzającej Warmię i Mazury Ruchomym Ambulansem Dentystycznym. Jej podróż, trwająca cztery lata, rozpoczęła się w 1961 roku. Autorka poza wspomnieniami swoich rodziców i swoimi, zamieszcza opisy dziejów miejscowości, zabytków architektury czy przyrody. Interesujące zdają się być opisy zabiegów z obowiązującego w latach 60. XX wieku podręcznika stomatologii doprawione komentarzem Teresy Radeckiej-Kozłowskiej, która praktykowała, ucząc się tych technik na bieżąco. Podróżnicy trafiają do miejsc, w których ambulans stacjonował, wypytują mieszkańców o ich wspomnienia z tamtych lat. Często te spotkania owocują opowieściami o nieżyjących już mieszkańcach, którzy zapisali się w historii tych terenów. Autorka zwraca uwagę na wielokulturowość tych ziem, nawiązuje do akcji Wisła. Natrafia na niewiele śladów obecności ambulansu – jedynie wpis i fotografia w kronice szkolnej w Sobiechach i kilka mglistych wspomnień.

W części drugiej, *W drodze*, przeczytamy zaledwie dwa rozdziały: *Jezioro łabędzie, którego nie było* (str. 71–83) i *Na froncie walki z próchnicą* (str. 84–95). Autorka opisuje w nich historię swojej rodziny, a następnie historię mobilnych stomatologów i początki pracy ambulansu na Warmii i Mazurach, jego prozaiczną rzeczywistość opisywaną we wspomnieniach Teresy Radeckiej-Kozłowskiej, jak i rodzinnej korespondencji.

Część trzecia *Lotny gabinet rusza w teren* liczy dziesięć rozdziałów. Przenosimy się w czasie (do 1918 roku) i przestrzeni (*Niepodległość i medycyna*, str. 99–110). Poruszane z początku tematy to epidemie, szczepienia, system ochrony zdrowia,

stan zdrowia i higieny na wsi oraz statystyki i treść archiwalnej dokumentacji. Problemy z dostępem do opieki medycznej wynikały z małej ilości lekarzy, systemu ubezpieczenia zdrowotnego oraz oczywiście finansów (*0,7 dentyści na 10 tysięcy mieszkańców*, str. 111–119). Następnie dowiadujemy się o problemach technicznych oraz braku chętnych stomatologów do pracy na powojennej wsi, o planie sześcioletnim i konieczności szkolenia ideologicznego przedstawicieli służby zdrowia (*Więcej plomb, mniej usunąć*, str. 120–129; *Kto wyrwie więcej niż ja?*, str. 130–137). Oczywiście na wsiach działali także znachorzy i pseudodentyści stanowiący zagrożenie dla zdrowia ludności (*Szarlatan krąży na motocyklu*, str. 138–142). Poszukiwania wspomnień o pierwszych ambulansach z lat 40. XX w., przedstawianych w kronikach filmowych, są tematem rozdziałów *Pionierzy w Mokrem* (str. 143–153) i *U rudej heksy ani pisać* (str. 154–161). Działania związane z dbaniem o zdrowie były wykorzystywane przez propagandę także w prasie czy kronikach szkolnych (*Sojusz robotniczo-rolniczy i najbardziej palące bolączki*, str. 162–165 i *Znacznie polepsza się położenie chłopów*, str. 175–183). O wyposażeniu i samych ambulansach przeczytamy w rozdziale prezentującym fragmenty prasy z lat 40. i 50. (*Auta wyposażone w najnowszy sprzęt dentystyczny*, str. 166–174).

Część *Dzienniki ambulansowe* zawiera także dziesięć rozdziałów: *Doktor daje klapsa w kuper* (str. 187–189), *Za osłe uszy trzcina po łapach* (str. 190–196), *Breja w stołówce, bryja w propagandzie* (str. 197–201), *Ludziom na wiochach boló kły* (str. 202–210), *Spuść pan spodnie!* (str. 211–213), *Sceńny dziecięce* (str. 214–222), *Współlokator głośno chrapie* (str. 223–230), *Ambulans obsługuje personel wyłącznie męski* (str. 231–237), *W kleszczach lęku* (str. 238–243), *Gbur Jan jakby się pod ziemię zapadł* (str. 244–248). Tu również możemy znaleźć ciekawą historię rodziny innego wędrownego

dentysty – Huberta Pobłockiego, którą on barwnie opisał gwarą kociewską w roku 2004 (*Gawańda. Wspomniynia dentysty zes łónygejszych ruchómých ambulansów dentystycznych wew Bydgoszczy*). Autorka podąża jego tropem i trafia do najstarszych – tych pamiętających doktora Pobłockiego – ale i młodszych mieszkańców Ziemi Chełmińskiej, po której jego ambulans podróżował.

Przenosimy się do Piotrawina nad Wisłą. Część *Daleko od szosy* opisuje losy Elżbiety Pajązkowskiej-Wiszniewskiej. W pięciu rozdziałach *Dentystka jedzie środkiem Wisły* (str. 251–252), *Ostatnie takie lato* (str. 253–259), *Czaszka powstańca w służbie nauki* (str. 260–268), *Siłaczka na własne życzenie* (str. 269–281), *Włodek wyskakuje przez okno* (str. 282–290) dowiadujemy się, jak wyglądały realia Powstania Warszawskiego i, oczywiście, wędrownego dentobusu na Lubelszczyźnie.

Część *Podróże po niejednym uśmiech to pięć rozdziałów* opisujących doświadczenia różnych dentystów z różnych lat. Przeczytamy o Kazimierzu Kołodziejczyku pracującym w okolicach Limanowej w latach 60. (*A gdzie książka obrotu spirytusem?*, str. 293–300 i *Kierownictwo przesyła dzieci kilkakrotnie, ale nigdy w całości*, str. 301–303). Pod krakowski Szpital Wojskowy podlegał natomiast ambulans, w którym pracowali stomatolog – Bogdan Barut i pielęgniarka – Ewa Dworecka, obsługujący jednostki wojskowe

w latach 70. (*Borowanie trudniejsze niż musztra*, str. 304–309, *Kwiaty we włosach*, str. 310–321), a który następnie przejęła w 1983 roku Renata Michna (*Talony na odkurzacza*, str. 322–325).

Trafiamy w poznańskie wraz z kolejną częścią *Gdzie oczy (i zęby) poniosą (Inspekcja)* (str. 329–335) i *Dentysta z teczką węgla* (str. 336–346). Tu pracował Jan Talikowski, kontrolując przychodnie powiatowe w całym województwie, a gabinety na kółkach od roku 1956.

Ostatnia część zatytułowana *Nomadland, w drodze za pracą* w 3 rozdziałach opisuje organizację ambulansów dentystycznych w okolicach Gdańska (*Lekarze kontra pluskwy*, str. 349–353; *Córka latarnika*, str. 354–367; *Zawekować zapach gabinetu*, str. 368–374). Autorka opowiada o dentystce Jadwidze Gmiter-Filipiak, o ekspozycjach związanych ze stomatologią z Muzeum Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, by następnie powrócić w Poznańskie na rozmowę z Ryszardem Koczorowskim (*Lonio i kobiety*, str. 375–383).

Okazuje się, że niewiele się zmieniło w Polsce i ambulanse dentystyczne wróciły na polskie drogi, co nie wydaje się może aż tak zaskakujące w świetle statystyk z 2023 roku (*Epilog*, str. 385–386). Czasami ma się wrażenie, że opowieść o wiejskich ambulansach jest dla autorki punktem wyjścia do szerszej refleksji nad kolejami życia dentystów i rodzin, z jakich się wywodzili.

Przypisy:

- 1 Aleksandra Kozłowska, *Ambulans jedzie na wieś: śladami wędrownych wyrwizębów*, Kraków, Wydawnictwo Znak, 2024, ISBN: 978-83-240-6693-3, 397 s.



Grażyna Olszaniec – doktor nauk humanistycznych, językoznawca, absolwentka UMK. Pracuje w Łysomicach w Biurze Regionalnym Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi, wcześniej w Katedrze Filologii Romańskiej UMK. Stypendystka grantów Rektora UMK dla młodych pracowników (2001 i 2003) oraz Stypendium Rządu Francuskiego (2003). Autorka artykułów na temat języka bretońskiego oraz tłumaczka pamiętników Michała Starzeńskiego (1757–1795). W latach 2015–2023 była współpracowniczką Komisji Dialektologicznej Komitetu Językoznawstwa PAN.

Krajobraz kulturowy wsi Wielkopolski Wschodniej

Alicja Chęcińska



Ryc. 1. Mapa przedstawiająca historyczne granice Wielkopolski. (Palacz, 2012, ze źródła: Strategia rozwoju woj. wielkopolskiego na lata 2000–2030)

Poznanie specyfiki wsi wschodniej części Wielkopolski powinno zostać poprzedzone wyjaśnieniem przyczyny odrębności tego regionu od pozostałej części województwa wielkopolskiego oraz określeniem granic obszaru, do którego odnosi się pojęcie Wielkopolska Wschodnia. Zasadniczo dotyczy ono terenów dawnych – sprzed 1975 roku – oraz obecnych powiatów: kolskiego, konińskiego, słupeckiego i tureckiego, które w głównej mierze pokrywają się z dawnym województwem konińskim. Określenie wspomnia-

Przedstawiamy fragment pracy magisterskiej „Analiza kompozycji przestrzennej i projekt rewaloryzacji XX-wiecznego założenia dworsko-parkowego na tle historii i przekształceń układu przestrzennego wsi Powiercie”, uhonorowanej I nagrodą ex aequo w konkursie „Korzenie i Skrzydła”, organizowanym przez NIKiDW. Praca powstała na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu, pod kierunkiem dr hab. inż. arch. Agnieszki Wilkaniec.

nych powiatów mianem Wielkopolski Wschodniej upowszechniło się wraz z wprowadzeniem czasopisma naukowego pt. „Rocznik Wielkopolski Wschodniej”.

Rozbieżność w kształtowaniu się ośrodków osadniczych omawianego obszaru zaznaczyła się jeszcze przed powstaniem historycznej Wielkopolski. Część najbardziej wysunięta na wschód znajdowała się poza granicami powstającego Państwa Polan i łączyła się ze wschodnimi ośrodkami osadniczymi ziemi łęczyckiej. Następnie, w wyniku utworzenia kasztelanii łęczyckiej, a później (w XIV w.) województwa kaliskiego, region znalazł się już w składzie prowincji wielkopolskiej. Był on częścią ziemi wielkopolskiej aż do 1815 roku, kiedy wschodnia część została od niej oddzielona w wyniku postanowień traktatu wiedeńskiego i włączona do Królestwa Polskiego. Część zachodnia natomiast została włączona do państwa pruskiego, nazwana Wielkim Księstwem



Ryc. 2. Osadnictwo poolęderskie dolin rzecznych w powiecie kolskim, wieś Majdany, położona 6 km od Powiercia w kierunku południowo-wschodnim (google.com/maps)

Poznańskim. W Kongresówce znalazły się m.in. powiaty kaliski, turecki, koniński, kolski, słupecki. W czasie trwania tego stanu szybko uwiarydoczyły się duże różnice społeczne, gospodarcze, polityczne oraz kulturowe. W Królestwie dominowała wielka własność ziemska, a gospodarstwa chłopskie były w większości średnio- i małorolne (ok. 44%) oraz karłowate (ok. 36%). Bardziej zaawansowany rozwój części pruskiej nad częścią rosyjską odznaczał się m.in. w szybciej rozwijającym się rzemiośle i przemyśle, unowocześnieniu rolnictwa przez m.in. wprowadzenie płodozmianu, meliorowanie pól, stosowanie nawozów czy sadzenie zadrzewień śródpolnych. Widoczna różnica w wyglądzie wsi w obu zaborach polegała także na występowaniu mniejszych i mocniej podzielonych gospodarstw w Królestwie, ze względu na późniejsze upowszechnienie się tam prawa majoratu, które stanowiło o dziedziczeniu całości dóbr przez najstarszego syna. Wolniej również przebiegała tam budowa dróg – powstałe w tamtym czasie połączenia miały za zadanie komunikować miasta Księstwa z Królestwem Prus,

omijano przy tym wschodnią część Wielkopolski, będącą pod berłem rosyjskim. Interesującym jest fakt, że rusyfikacja tych terenów nie wywarła znacznego wpływu na lokalną tradycję – dotknęła ona w głównej mierze administrację i nie była tak intensywna jak germanizacja ziem zachodnich w sąsiednim Wielkim Księstwie Poznańskim, gdzie zniemczenie dotyczyło głównie kultury (*Kulturkampf*). Dzięki temu w Królestwie tradycjonalizm polski był silniejszy. Sztucznie utworzone granice dzielące historyczny obszar Wielkopolski zostały zniesione dopiero w 1937 roku utworzeniem województwa poznańskiego (ryc. 1.), jednak różnice gospodarcze i w rozwoju osadnictwa odczuwalne były przez długi czas, a pozostałości tych różnic widoczne są do dziś.

W dawnym Królestwie Kongresowym występuje więcej wsi o mniejszej powierzchni niż w pozostałych częściach Wielkopolski, charakterystyczna jest także duża liczba przysiółków oraz kolonii. To właśnie nowe typy osadnicze, powstałe po przekształceniach z XVIII i XIX wieku są najbardziej widoczne w tej części Polski. Są to głównie **układy o charakterze rzędówek liniowych** powstałych z przebudowy dawnych wsi w XIX wieku, **liczne wsie folwarczne i osiedla dworskie** oraz dość dobrze zachowane **dawne osady olęderskie o charakterze rozproszonym** (na karczunkach leśnych) lub **rzędowym** (w dolinach rzecznych).

Na obecny obraz wsi pofolwarczej w dawnym Królestwie Kongresowym wpłynęły przekształcenia, które rozpoczęły się już w I połowie XIX wieku. Pomiędzy 1816 a 1846 rokiem chłopom mieszkającym w Wielkopolsce pod zaborem rosyjskim odebrano około 40% gruntów, co znane jest pod nazwą „rugów chłopskich”. Właściciele ziemscy zagarniali w ten sposób grunty pod gospodarkę folwarczną, a rugowanych chłopów przemieniano w pracowników folwarcznych. Równocześnie miały też miejsce oczyszczanie

chłopów, połączone z przenoszeniem ich na nowe, gorsze zwykle tereny, tworząc już w II połowie XIX wieku liczne rzędowe kolonie gospodarstw chłopskich. Wygląd kolonii zróżnicowany był jeszcze w zależności od czasu powstania – do 1846 roku wydzielano chłopom szerokie parcele, a zabudowa była luźniejsza, podczas gdy układy powstałe po tym roku charakteryzowały się wąskimi pasami gruntów – te najczęściej powstały w związku z uwłaszczeniem, a nie z oczynszowaniem.

Rozmieszczenie wsi o różnych układach przestrzennych związane jest także z pradoliną rzeki Warty, np. w dolinie występują często nieliczne już w tym regionie dawne wsie o charakterze skupionym, na wzgórzach doliny występuje wiele wsi wielodrożnych, na terenach podmokłych i wśród lasów pomiędzy Kołem a Pyzdrami przeważa natomiast osadnictwo olęderskie. Ten typ osadnictwa wprowadzony przez osadników z Holandii cechował się m.in. lokalizacją na terenach bagnistych, karczunkach leśnych lub na piaszczystych wydmach. Tereny dostosowywano pod uprawę poprzez sprawny system melioracji oraz zadrzewień śródpolnych, głównie jednak zajmowano się hodowlą bydła.

Wsie typów zwartych – owalnice, ulicówki o niwowych układach pól, niegdyś liczne we wschodnich krańcach Wielkopolski i zdominowane przez wielką własność ziemską dziś zachowały się w bardzo ograniczonym stopniu ze względu na późniejszą przebudowę. Według profesora Burszty¹ na przełomie XIX i XX wieku aż 2/3 wsi w dawnym Królestwie uległy skomasowaniu, a 1/3 zmieniła swoje rozplanowanie ze względu na oczynszowanie części wsi lub w związku z ukazami carskimi. Średniowieczne wsie łanowe powstałe w czasach kolonizacji niemieckiej miały mały udział w Wielkopolsce Wschodniej i dziś nie stanowią często spotykanego elementu krajobrazu w tym regionie. W kierunku północnym występują zarówno układy rozproszone, jak

i skupione, z dużym udziałem osiedli dworskich i folwarcznych.

Sposób rozplanowania zagród we wsiach wschodniej części Wielkopolski prawdopodobnie nie różnił się mocno od sposobów rozplanowania stosowanych w pozostałych jej częściach, a zależał on głównie od kształtu wsi i jej układu przestrzennego. Zasadniczo w każdej z nich musiała znaleźć się chałupa, stodoła oraz budynki inwentarskie. Rozkład budynków we wsiach typów zwartych najczęściej wyglądał następująco: chałupa znajdowała się od frontu, zwrócona kalenicowo lub szczytowo do drogi, na brzegach podwórza mieściły się zazwyczaj budynki inwentarskie, a od pola parcelę budowlaną zamykała stodoła. Sposób usytuowania budynku mieszkalnego w stosunku do drogi zależał od stopnia zwarcia zabudowy wsi – we wsiach o wąskich parcelach chałupę ustawiano szczytem do drogi. Istniały jednak różne kombinacje tych rozplanowań. We wsiach typów rozproszonych układy budynków były różnorodne. W przypadku uboższych gospodarzy zdarzało się, że chałupa oraz pomieszczenia inwentarskie znajdowały się pod jednym dachem. Chłopi pełnorolni i półrolni posiadali zazwyczaj wszystkie rodzaje zabudowań: dom mieszkalny, stajnie, chlewy oraz stodołę, czasem także szopy lub spichlerze.

Drewniane budownictwo ludowe wsi Wschodniej Wielkopolski około XVIII i XIX wieku opierało się głównie na dwóch konstrukcjach budowy ścian: **zrębowej (węglowej)** oraz **sumikowo-łątkowej**. Pierwsza z nich polegała na wznoszeniu ścian z poziomo układanych belek, połączonych w narożnikach za pomocą nacięć o różnych kształtach – *na zakładkę*, *na rybiljaskółczy ogon*, *na zamek*, *na obłap*. Na omawianym terenie przeważała forma *na rybiljaskółczy ogon* (ryc. 3.). Była stosowana przy budowie zarówno domów mieszkalnych, jak i budynków gospodarczych. Druga z nich była konstrukcją słupową,

która polegała na wbijaniu w grunt łatek oraz układaniu poziomych sumików wpasowywanych we wgłębienia. Tę technikę stosowano częściej przy wznoszeniu budynków gospodarczych, jednak stosowano ją również w przypadku chałup.

Konstrukcje szkieletowe-szachulcowe nie były popularne we Wschodniej Wielkopolsce ze względu na słaby wpływ osadnictwa niemieckiego. Można je jednak spotkać w powiecie kolskim oraz konińskim, gdzie budynki w tej technice wznoszono krótko jako etap przejściowy pomiędzy budownictwem drewnianym, a z użyciem cegły. Budynki ceglane kryte dachówkami zaczęto budować na przełomie XIX i XX wieku w związku z upowszechnieniem się tego materiału, a także wprowadzaniem przepisów przeciwpożarowych przez władze pruskie. Błaszczyk² wspomina o drewnianych chałupach podcieniowych w powiecie kolskim. Podcienia te nie posiadały słupów, na których mogłyby się podpierać, zazwyczaj występowały po stronie frontowej domu, zdarzało się także, że znajdowały się od strony podwórza, gdyż pełniły jedynie funkcję praktyczną. W konstrukcji dachów na omawianym obszarze można wyróżnić dach *na sochę oraz ślemię* oraz *dach krokwiowy bez stolca*. Pierwsza z nich jest bardziej archaiczna, występowała także rzadziej na terenach wschodnich, natomiast już na północ od Konina była powszechna. Dachy były najczęściej dwuspadowe, rzadziej naczółkowe, kryte słomą lub rzadziej gontami. Brencz³ podaje, że do lat 70. ubiegłego wieku zachowane budownictwo drewniane znacznie straciło na liczebności – w byłym powiecie tureckim oraz kolskim procent udziału tradycyjnych drewnianych budynków mieszkalnych spadł o około 30–40%. Ten sam autor przytacza przykład charakterystycznego surowca do budowy dawniejszych domostw, wykorzystywanego na obszarze pomiędzy Kołem, Turkiem a Poddębicami, jakim był ił, pozyskiwany z płytko zalegających na polach pokładów.

Mniej typowe jest budownictwo obiektów pałacowych i dworskich, które we Wschodniej Wielkopolsce występowały, choć nie tak licznie jak w pozostałej części województwa. Były one w większości murowane, choć sporadycznie występują budynki drewniane i szachulcowe. Architektura ziemiańska czerpała z różnych ówczesnie panujących ogólnoeuropejskich tendencji, np. stylu neoklasycystycznego, neogotyckiego, eklektyzmu. We wsiach o układzie rezydencjonalnym nieodłączny element przestrzenny stanowiła również zielen – były to zarówno układy alejowe, nierzadko łączące ze sobą majątki ziemskie, a także parki prawie zawsze towarzyszące dworom oraz pałacom. Ogrody dworskie, często łącząc się kompozycyjnie z otaczającym je krajobrazem, przechodziły liczne przeobrażenia w zależności od obowiązujących tendencji w planowaniu ogrodów, jednak zawsze stanowiły enklawę zieleni w przestrzeni wiejskiej. W związku z upowszechnieniem się w XIX wieku nowocześniejszych osad folwarcznych w architekturze wsi pojawiły się wchodzące w skład folwarku budynki gospodarcze: stajnie, chlewnie, stodoły, owczarnie itp., budynki fabryczne: wiatraki, młyny, gorzelnie, olejarnie, cukrownie, browary czy cegielnie. Zazwyczaj grupowane były one dookoła kwadratowego lub prostokątnego podwórza. Obok lokalizowano budynki służby dworskiej, folwarcznej oraz najemników i urzędników, dla których wznoszono tzw. dwojaki, trojaki, czworaki lub ośmioraki. Dla wsi dawnego Królestwa Kongresowego, a także Galicji **charakterystyczne było, że dwór lub pałac znajdował się poza zabudowaniami folwarku** i posiadał osobny od folwarcznego wjazd na posesję, a także otaczający budynek dworu park oddzielał przestrzennie folwark. Według profesora Burszty⁴ wskazywać to mogło na odmienny styl życia ziemianstwa zamieszkującego owe tereny w stosunku do wsi dawnego zaboru pruskiego. Sama rezydencja



Ryc. 3. Konstrukcja zrębowa o formie na rybi/jaskółczy ogon w chałupie z powiatu kolskiego. Pocztówka ze zbiorów Muzeum Technik Ceramicznych w Kole 1940 r. (Verlag Edith Leipzig Wartbruecken Baltenstr.)

ziemniańska często znajdowała się w tej części Wielkopolski w centrum wsi, nierzadko wraz z kościołem, gdyż wyrosły one na miejscu dawnych folwarków pańszczyźnianych. Rzadziej na omawianym terenie zdarzało się, że budowano nowe folwarki poza terenem wsi.

Z przemianami przestrzennymi wsi ma związek również kształtowanie się i przetrwanie kultury ludowej – nie tylko tradycyjnego budownictwa, ale także technik ludowego rzemiosła, muzyki, pieśni, strojów czy wierzeń oraz zwyczajów. We Wschodniej Wielkopolsce, z związku z występowaniem mniejszej ilości wsi skupionych oraz z powodu szeroko zakrojonych zmian przestrzennych w XIX i XX w. kultura ludowa przetrwała w gorszym stopniu w porównaniu z innymi regionami Wielkopolski. Rozproszenie osiedli negatywnie wpłynęło na integrację ludności wiejskiej, a zmiany, które zaszły poprzez separację osiedli chłopskich i dworskich spowodowały utracenie dawnego charakteru życia wiejskiego

związanego ze zwartym układem starej wsi, gdzie życie toczyło się wspólnie. Na dawnych terenach chłopskich powstały osiedla folwarczne z siłą roboczą najemną, a wysiedlenie chłopów na nowe tereny skutkowało tym, że chłop pełnorolny miał od tego czasu swój kawał ziemi, który uprawiał i na którym miał swoje zabudowania. Spowodowało to pewien indywidualizm, który wcześniej przy dawnych układach niwowych gruntów nie występował, gdyż ludzie zmuszeni byli wspólnie uprawiać ziemię, a to wymuszało kontakt pomiędzy chłopami. W związku z budową nowoczesnych zagrod murowanych w koloniach zanikło też tradycyjne budownictwo drewniane.

Utrata w ten sposób wielu pamiątek kulturowych utrudnia etnografom zbadanie kultury wsi Wielkopolski Wschodniej, która obecnie zatarła się niemal całkowicie, również przez zjawisko unifikacji i przenikanie kultury miejskiej do środowisk wiejskich. Nie oznacza to jednak, że rejon ten nie posiadał własnych wykształco-

nych tradycji i zwyczajów, nadających mu indywidualny charakter. Wręcz przeciwnie, kultura ta była bogata, gdyż znajdując się na pograniczu kilku regionów historycznych i etnograficznych – Wielkopolski, Kaliskiego, Kujaw czerpała z wielu kręgów kulturowych. Do przykładów należy tradycyjny strój ludowy obowiązujący we wschodnich powiatach Wielkopolski, który jest strojem ludowym kujawskim. Gwara występująca na wschodzie Wielkopolski ma wiele wspólnego z gwarą wielkopolską, występują jednak różnice. Przykładowo w drugiej osobie liczby mnogiej czasowniki posiadają końcówkę – ta (*idzieta, robita*), podczas gdy w pozostałej części regionu używa się końcówki – cie (*idziecie, robicie*) – taka forma jest

zarezerwowana w Wielkopolsce Wschodniej dla zwrotów grzecznościowych, np. *matko, co robicie?* Oznaką jednej z charakterystycznych tylko dla tego regionu praktyk ludowych było przynoszenie krzyża pogrzebowego i ustawianie go przed domem, co miało zawiadamiać mieszkańców wsi o śmierci bliskiej osoby (powiat kolski i turecki). Wpływ na tradycje chłopskie miała także kultura ziemian – położenie folwarku i dworu w centrum wsi i związane z tym jego bezpośrednie sąsiedztwo przenosiło w kręgi chłopskie niektóre elementy życia dworskiego, np. dożynki, które pierwotnie były świętem obchodzonym przez właścicieli ziemskich.

Przypisy:

- 1 Burszta J., *Od osady słowiańskiej do wsi współczesnej. O tworzeniu się krajobrazu osadniczego ziem polskich i rozplanowań wsi*. T. I, Wrocław 1958.
- 2 Błaszczuk S. *Kultura ludowa Ziemi Kaliskiej w świetle badań terenowych*, [w:] *Osiemnaście wieków Kalisza. Studia i materiały do dziejów miasta Kalisza i regionu kaliskiego*, A. Gieysztor (red.), tom II, Poznań 1961.
- 3 Brenz A., *Zróżnicowanie kultury ludowej Wielkopolski – szkic etnograficzny* [w:] Schmidt J. *Granica*, Poznań 2007.
- 4 Burszta J., *Od osady słowiańskiej do wsi współczesnej. O tworzeniu się krajobrazu osadniczego ziem polskich i rozplanowań wsi*. T. I, Wrocław 1958.

Bibliografia:

Brenz A., *Zróżnicowanie kultury ludowej Wielkopolski – szkic etnograficzny* [w:] Schmidt J. *Granica*, Poznań 2007.
Burszta J. (red.), *Kultura ludowa Wielkopolski*, Tom I, Poznań 1960.
Burszta J. (red.), *Sześćset lat miasta Koła*, Poznań 1962.
Burszta J., Wróblewski T., *Budownictwo gospodarcze*, [w:] *Kultura ludowa Wielkopolski*, tom II, Poznań 1964.
Burszta J., *Od osady słowiańskiej do wsi współczesnej. O tworzeniu się krajobrazu osadniczego ziem polskich i rozplanowań wsi*, Wrocław 1958.
Kozak M., *Dwory, pałace i zamki – kosztowne pamiątki czy zasób w rozwoju?* [w:] *Studia regionalne i lokalne*. Nr 2 (32), Warszawa 2008.

Łowicki D., *Zmiany krajobrazu województwa wielkopolskiego od początku transformacji ustrojowej*, Poznań 2008.
Palacz T., *Dziedzictwo wsi wielkopolskiej – stan zachowania, zagrożenia oraz działania zmierzające do jego ochrony*, [w:] *Architektura Krajobrazu. Studia i Prezentacje*. Nr 2, Poznań 2012.
Rybczyński P. *Materiały do dziejów Konina w zasobie archiwów polskich i możliwości ich wykorzystania*, 2008.
Zachariasz A. *Zespół dworski jako integralny element krajobrazu wsi. Problemy ochrony i współczesnego użytkowania (na wybranych przykładach z Polski południowej)*, [w:] *Architektura Krajobrazu*, Nr 2, Wrocław 2013.

Netografia:

Wielkopolska Wschodnia: zarys charakterystyki i historii regionu. https://regionwielkopolskawsch.blogspot.com/p/wielkopolska-wschodnia-zarys.html#_ftnref12 [dostęp: 2022.04.09]
Architektura ludowa. <https://wielkopolskahistorycznie.pl/2021/09/28/architektura-ludowa> [dostęp: 2022.04.09]
Ogólna charakterystyka osadnictwa i budownictwa na obszarze Wielkopolski, cz. 2: budownictwo. https://regionwielkopolskawsch.blogspot.com/2020/11/ogolna-charakterystyka.html#_ftnref12 [dostęp: 2022.04.09]

Gwary. <https://wielkopolskahistorycznie.pl/2021/07/28/gwary/> [dostęp: 2022.04.09]
Kalendarz obrzędowy - Śmierć i pogrzeb. <https://regionwielkopolskawsch.blogspot.com/2018/01/kalendarz-obrzedowy-smierc-i-pogrzeb.html> [dostęp: 2022.04.09]
Dożynki – święto we wsi i we dworze. <http://muzeumetnograficzne.rzeszow.pl/stara/node/282> [dostęp: 2022.04.09]

Z działalności Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi



Fot. Marcin Skrzecz

Zjazd Szkół Rolniczych

5 czerwca 2025 r. w siedzibie Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi odbył się Zjazd Szkół Rolniczych, podległych Ministrowi Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Głównym celem spotkania było zachęcenie uczniów do kontynuowania edukacji rolniczej na uczelniach wyższych oraz uwrażliwienie młodzieży na potrzebę kultywowania dziedzictwa kulturowego polskiej wsi. W wydarzeniu uczestniczyli przedstawiciele pięciu uczelni rolniczych: Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu oraz Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, a także uczniowie i nauczyciele blisko 30 szkół rolniczych z różnych regionów Polski.

W ramach dwóch paneli tematycznych zaproszeni eksperci omawiali tematy: „Dlaczego warto studiować na kierunkach rolniczych” oraz „Rolnicza i pozarolnicza działalność na wsi”.

Odbyło się wręczenie nagród i prezentacja filmów nadesłanych przez szkoły rolnicze do konkursu **„Nasze Dziedzictwo w Obiektywie”**. Do tegorocznej edycji zgłoszono 25 filmów. Ich poziom zarówno merytoryczny, jak artystyczny był wysoki.

I Nagrodę za film „Polesia Czar” otrzymali uczniowie Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego im. Ireny Kosmowskiej w Korolówce-Osadzie (woj. lubelskie).

II Nagrodę za film „Gmina Żarnowiec – w cieniu legend i historii” otrzymali uczniowie ZSCKR w Żarnowcu (woj. śląskie).

III Nagrodę za film „Podhale – nasza mała ojczyzna” otrzymali uczniowie ZSCKR im. Augustyna Suskiego w Nowym Targu (woj. małopolskie). Przyznano także trzy wyróżnienia.

Wydarzenie zakończył występ zespołu folklorystycznego „Białe Kujawy” działającego przy ZSCKR w Bielicach koło Mogilna. Przez cały czas w holu czekały na uczniów stoiska z ofertami edukacyjnymi pięciu uczelni.

Red. Daniel Kamiński



Spektakl „Kukła z wiejskiego podwórza” w wykonaniu Teatru pod Orzełkiem
fot. Marcin Skrzecz

Dzień Dziecka na Ludowo

Piękna pogoda, wspaniałe atrakcje, doskonała muzyka, uśmiechy na twarzach naszych gości – tak wyglądał Dzień Dziecka w Narodowym Instytucie Kultury i Dziedzictwa Wsi.

Wydarzenie rozpoczął występ dziecięcego zespołu „Zagórzańska Siła” z Mszany Dolnej. Następnie mali i duzi goście mogli wziąć udział w warsztatach. Miłośnicy słodkości mieli okazję usmażyć pyszne racuszki pod okiem członków KGW w Jastrzębi, Stanisława Głowacka pokazała, jak z kilku prostych surowców wyczarować lalkę iłżecką, Czesława Kaczyńska i Elżbieta Prusaczyk uczyły sztuki lepienia bysków i nowych latek, a Barbara Piaseczny zdołała z dziećmi drewniane zabawki. Na warsztatach prowadzonych przez KGW Wsi Zalipie można było spróbować swoich sił w malowaniu motywów kwiatowych.

Białostocki Teatr pod Orzełkiem z czarował małych i dużych widzów przedstawieniem pt. „Kukła z wiejskiego podwórza”. Siła tej magii była tak wielka, że w ogrodzie zabrakło miejsc siedzących. Również w ogrodzie odbywały się warsztaty z tworzenia kukielek. Prowadząca, Karolina Pawłowska, ubrana była w przepiękny strój biskupiański.

Podczas wydarzenia, jak zawsze, nie mogło zabraknąć stoisk KGW z przysmakami regionalnymi i wyrobami twórców ludowych. A to nie wszystkie atrakcje, które czekały tego dnia na dzieci.

Red. Joanna Szymańska-Radziejewicz



Fot. z archiwum Fundacji Bęc Zmiana

Wsie Warszawy

2 lipca w siedzibie Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi odbyło się spotkanie inauguracyjne projektu „Wsie Warszawy”.

Celem projektu jest stworzenie mapy warszawskich wsi wraz z opisami, przypomnienie wiejskich korzeni stolicy oraz odnalezienie śladów wsi w dzisiejszym mieście.

W inspirującej dyskusji wzięli udział przedstawiciele Fundacji Bęc Zmiana, Fundacji Puszka, Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, Fundacji Ochrony Wspólnego Dziedzictwa Kulturowego Terpa, Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków, Spółdzielczej Farmy MOST oraz NIKiDW. W ramach projektu powstaną: Mapa warszawskich wsi z opisami, strona internetowa, spacer tematyczny po dzielnicach.

Projekt Fundacji Bęc Zmiana jest współfinansowany przez m.st. Warszawa w ramach programu „Różnorodna Warszawa”, a NIKiDW jest jego partnerem.

Red. Małgorzata Jaszczołt



Święto Pasterskie w Lipnicy Wielkiej, fot. Małgorzata Jaszczółt

Święto Pasterskie w Lipnicy Wielkiej

W dniach 3–6 lipca 2025 r. w Lipnicy Wielkiej odbyło się 49. Święto Pasterskie – spotkanie tradycji, kultury i wspólnoty.

W czwartek w Muzeum Pasterstwa miała miejsce debata „Pasterstwo na Orawie dawniej i dziś”, w której udział wzięli praktycy, samorządowcy i pasjonaci kultury – w tym nasza przedstawicielka, Małgorzata Jaszczółt. Rozmowy dotyczyły przyszłości wypasu, tożsamości kulturowej Orawy i potrzeby przekazywania tradycji młodemu pokoleniu.

Finał Święta miał miejsce w niedzielę 6 lipca. Były występy zespołów regionalnych i folkowych (m.in. „Orawianie”, „Śwarni”, „Johip”), pasterskie zawody (strzelanie z bica, koszenie łąki, wspinanie na moja), kiermasz z lokalnym rękodziełem i oczywiście – sery z baczówki Andrzeja Lassaka.

NIKiDW był współorganizatorem tego wydarzenia.



„Bukowińskie Spotkania” w Jastrowiu, fot. Małgorzata Jaszczółt

Bukowińskie Spotkania w Jastrowiu

W dniach 26–27 czerwca 2025 Jastrowie po raz kolejny stało się sercem kultury bukowińskiej – barwnym miejscem spotkań górali bukowińskich z Polski, Rumunii i Ukrainy.

Ponad 20 zespołów przez dwa dni prezentowało swoje dziedzictwo: żywe tańce, autentyczną muzykę i śpiew, a także stroje przekazywane z pokolenia na pokolenie. To właśnie międzypokoleniowość nadaje temu festiwalowi wyjątkowy charakter – najmłodsi występują u boku rodziców i dziadków, kontynuując tradycje swoich przodków.

Festiwal to nie tylko folklor na scenie – to też spotkania, rozmowy i radość z bycia razem. To miejsce, gdzie kultura nie jest tylko historią, ale żywą, tańczącą i śpiewającą opowieścią.

Festiwalowi towarzyszył Bukowiński Festiwal Nauki, który w tym roku świętował 10-lecie istnienia – bogaty program prelekcji i debat pozwolił głębiej zrozumieć konteksty kultury bukowińskich górali czadeckich.

Współorganizatorem wydarzenia był Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi.

Red. Małgorzata Jaszczółt



Maria Nowacka i Antoni Gronkowski prezentują stroje łowickie, fot. Marcin Skrzecz

Etnotrendy – pokaz strojów ludowych

W dniach 9–10 sierpnia br. w Narodowym Instytucie Kultury i Dziedzictwa Wsi w Warszawie miało miejsce wspaniałe wydarzenie pn. „Etnotrendy – pokaz strojów ludowych”, na którym zaprezentowano stroje z osiemnastu regionów Polski, na specjalnie zbudowanym do tego celu wybiegu. Pierwszego dnia można było zobaczyć stroje: biskupiański, kujawski, kurpiowski z Kurpi Białych i z Kurpi Zielonych, łowicki, podlaski, świętokrzyski, wilanowski, zagórzański; zaś drugiego stroje: biłgorajski, z Bukowca Górnego, krajeński, krakowski zachodni, krzczonowski, lasowiacki, opoczyński, sieradzki, wilamowski. Pokazowi towarzyszyły opowieści o prezentowanych strojach. Była to niecodzienna okazja poznania bogactwa, kroju, kolorystyki i wzornictwa każdego z nich. Prezentacje cieszyły się ogromnym zainteresowaniem przybyłych gości.

W ramach wydarzenia odbyły się także dwa panele dyskusyjne. W czasie pierwszego pt. „Dlaczego swego nie znacie, a cudze chwalicie?”, rozmawiano o tym, że Polacy wciąż nie znają swojego dziedzictwa oraz dyskutowano, jak to zmienić. Drugi panel poświęcono dyskusji na temat „Kultury ludowej na eksport”.

Nie mogło zabraknąć stoisk z tradycyjnymi wyrobami i kulinariami oraz muzyki na żywo. Pierwszego dnia w ogrodach NIKiDW zorganizowano wieczór tańca przy dźwiękach Rodzinnej Kapeli Wasilewskich i Kapeli Niwińskich – Orkiestra Galicja, natomiast drugiego dnia wystąpiła kapela „Białodunajczanie” oraz odbył się koncert zespołu folklorystycznego „Chrust”.

Tradycją odziane

9 sierpnia w gmachu NIKiDW została otwarta wystawa „Tradycją odziane”, prezentująca ponad 50 lalek w strojach ludowych z różnych regionów Polski. Jej autorką jest Irena Mostowska-Waś, która od lat z pasją i precyzją własnoręcznie szyje i haftuje, z użyciem starannie dobranych materiałów, ludowe ubiory odświętne. Każdy strój powstaje w oparciu o konsultacje z ekspertami i muzeami, aby wiernie oddać detale charakterystyczne dla danego regionu.

W pierwszych dniach trwania wystawy odwiedziły ją setki gości, którzy nie tylko nie mogli nadziwić się precyzji wykonania, ale też bogactwu kulturowemu Polski. Wystawa będzie czynna do 14 września 2025 r.



Lalka w stroju krajeńskim
fot. Agata Biłas-Chwazik

Red. Aleksandra Szymańska

Wieści z Biur Regionalnych NIKiDW



Majowa Gawęda, fot. Kamil Pawłowski

Biuro Regionalne w Częstochowie

Majowa Gawęda

Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi podjął współpracę z kościerzyńskim Oddziałem Łódzkiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego zs. w Bratoszewicach, czego wynikiem było pojawienie się na scenie podczas 33. Targów Rolniczo-Ogrodniczych w Kościerzynie gawędziarki ludowej. W słoneczną niedzielę 25 maja Jadwiga Freus podczas kilku występów przeplatanych muzyką i tańcem ludowym zaprezentowała przygotowany przez siebie repertuar opowieści, bajek i anegdot ludowych z pogranicza kultur wieluńskiej i sie-

radzkiej. Pełna energii, pogody ducha i dobrego humoru z każdym wejściem na scenę gromadziła coraz większą publiczność, która żywymi reakcjami, śmiechem oraz gromkimi brawami nagradzała jej występy prowadzone w regionalnej gwarze. Opowiadała o zwyczajach dawnej wsi, symbolice ludowego stroju, śpiewu, tańca, ale zahaczała także o przekazy i mistyczne opowieści z pogranicza snów i jawy, z którymi spotykali się mieszkańcy dawnej wsi w czasach, gdy nie wszystko było tak oczywiste jak obecnie.

Gawęda ludowa to dziedzina jedyna w swoim rodzaju. Dziedzina szybko zanikająca, mimo że to właśnie na przekazie ustnym przez wieki

opierała się kultura ludowa. Dlatego też bardzo ważne jest zachowanie jej dziedzictwa, które dzięki takim działaniom ma możliwość znów wracać przed szeroką publiczność.

Warsztaty z plecenia tradycyjnego wieńca dożynkowego

W piątek 25 lipca w remizie OSP w Trębaczewie zakończył się czteromiesięczny cykl warsztatów z plecenia tradycyjnego wieńca dożynkowego w ramach projektu NIKiDW pn. „Spotkania z rękodziełem ludowym dla KGW”. W ramach cyklu piętnaście Kół Gospodyń Wiejskich z terenu powiatu pajęczańskiego pracowało pod czujnym okiem twórczyń ludowych ze Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Wsi Trębaczew, w szczególności Marioli Karmańskiej.

Panie zapoznały się z historią i symboliką tradycyjnych wieńców dożynkowych, zbierały i przygotowywały kłosa zbóż, kwiaty oraz zioła potrzebne do tworzenia kolejnych części wieńca.



Warsztaty z plecenia tradycyjnego wieńca dożynkowego, fot. Kamil Pawłowski

W wyniku wspólnej pracy oraz niesamowitego zaangażowania kilkudziesięciu pań powstał piękny i okazały wieniec dożynkowy, który zostanie zaprezentowany podczas XXXIV Krajowej Wystawy Rolniczej w Częstochowie w dniach 6–7 września 2025 r. na stoisku Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi.

Warto zaznaczyć również, że efektem warsztatów jest nie tylko przekazanie umiejętności oraz wiedzy, ale też stworzenie międzypokoleniowej grupy kobiet o twórczych duszach, które mogły wymieniać się doświadczeniami, wzajemnie wspierać oraz inspirować, a przede wszystkim wspólnie uczestniczyć w wydarzeniu mającym na celu promocję i zachowanie dziedzictwa kulturowego wsi.

Biuro Regionalne w Łysomicach

Magiczna Noc Świętojańska w Małym Czystym

Dzięki współpracy NIKiDW z Gminą Stolno w nocy z 21 na 22 czerwca nad jeziorem Czyste we wsi Małe Czyste uczestnicy mogli wziąć udział w niezwykle wyjątkowym wydarzeniu łączącym muzykę, taniec i ogień.

Zespół Kundzia, w specjalnie przygotowanym widowisku, pokazał tradycje i obrzędy związane z Nocą Kupały i Nocą Świętojańską. Nie zabrakło korowodu z pochodniami i śpiewem, skoków przez ognisko oraz puszczania wianków na wodzie. Po widowisku przyszedł czas na wspólne weselenie się i tańce. Kapela Chełmińska przypomniała melodie z Ziemi Chełmińskiej, na terenie której leży Małe Czyste. Kapela spod Kowala wprowadziła nutę kujawskiego temperamentu. Zabawa, w której wzięła udział liczna grupa mieszkańców, trwała do późnych godzin nocnych.

Tegoroczna edycja Nocy Świętojańskiej w Małym Czystym była czwartą odsłoną świętowania najkrótszej nocy w roku na terenie gminy



Magiczna Noc Świętojańska w Małym Czystem
fot. Katarzyna Stalmierska

Stolno. Po raz pierwszy w organizację wydarzenia włączył się NIKiDW, biorąc odpowiedzialność za muzykę podczas zabawy tanecznej oraz przeprowadzenie obrzędu.

Biuro Regionalne w Pułtusku

Warsztaty w ZSCKR w Sokołowie Podlaskim

Celem warsztatów z cyklu Spotkań z Kulturą Ludową dla Uczniów Szkół Rolniczych, które odbyły się w dniach 20 i 21 maja 2025 r., było popularyzowanie i przybliżenie młodzieży dziedzictwa kultury ludowej polskiej wsi. Uczniowie wzięli udział w warsztatach wypieku tradycyjnego ciasta obrzędowego z Podlasia, prowadzonych przez Annę Szpurę – znawczynię kuchni regionalnej, która przybliżyła uczestnikom nie tylko technikę przygotowania wypieków, ale także ich znaczenie w dawnych obrzędach i zwyczajach.

Drugą część stanowiły warsztaty tworzenia ozdób z opłatka. Pod okiem doświadczonej twórczyni ludowej, Małgorzaty Peplowskiej, uczniowie mieli okazję wykonać tradycyjne gwiazdy,

rozety i inne formy przestrzenne, poznając przy tym historię i znaczenie tej dawnej praktyki. Ważnym i inspirującym punktem programu było spotkanie z etnografką Małgorzatą Jaszczołt, która opowiedziała o metodach badania i dokumentowania kultury ludowej oraz o znaczeniu przekazów ustnych i tradycji niematerialnej w życiu społeczności wiejskich. Spotkanie stało się okazją do refleksji nad tym, że dziedzictwo kulturowe nie jest czymś odległym i zamkniętym w muzeach, lecz żyje – w rodzinnych historiach, języku, pieśni i gestach.

Zwieńczeniem wydarzenia były pełne energii warsztaty tańca ludowego. Uczestnicy poznali podstawowe kroki tańców charakterystycznych dla regionu Podlasia oraz ich kontekst kulturowy – kiedy się je tańczyło, jakie miały znaczenie. Warsztaty poprowadziła doświadczona instruktorka tańca ludowego Iwona Kapiwoda wraz z tancerzami z Zespołu Pieśni i Tańca „Sokołowianie”.

Ogólnopolski Nadbużański Festiwal Muzyki, Tańca i Śpiewu Kurpiowskiego

6 lipca malownicze miasteczko Brok na Mazowszu stało się tętniącym życiem centrum polskiego folkloru, za sprawą Ogólnopolskiego Festiwalu Muzyki, Tańca i Śpiewu Kurpiowskiego. Wydarzenie to, zorganizowane przez NIKiDW przy współudziale Gminy Brok oraz Biblioteki w Broku, zgromadziło setki miłośników muzyki ludowej i tradycji kurpiowskiej z całej Polski.

Festiwal rozpoczął się uroczystym otwarciem, które uświetnił występ uczestników Warsztatów Młodych Muzyków Ludowych z Kurpi. Warsztaty, również zorganizowane przez NIKiDW, miały na celu przekazanie najcenniejszych elementów muzycznego dziedzictwa Kurpi nowemu pokoleniu, i bez wątpienia zakończyły się sukcesem.

Podczas festiwalu na scenie wystąpiło blisko 40 zespołów, prezentując bogactwo lokalnych tradycji i różnorodność interpretacji kurpiowskiego

folkloru. Jury, złożone z ekspertów w dziedzinie kultury tradycyjnej, miało nie lada wyzwanie, by wyłonić laureatów. Atmosfera była radosna i rodzinna, a każdy, kto pojawił się tego dnia na festiwalu, mógł poczuć się częścią wspólnoty opartej na szacunku do tradycji i wspólnym przeżywaniu kultury.

Po zakończeniu części konkursowej przyszedł czas na kulminacyjny moment wydarzenia – potańcówkę kurpiowską. Przy dźwiękach muzyki granej na żywo przez najlepsze kapele ludowe uczestnicy festiwalu, mieszkańcy i turyści wspólnie ruszyli do tańca.

Wakacje z NIKiDW

Wakacje w Obrytem i Jednorożcu

W lipcu, w ramach ogólnopolskiego projektu „Wakacje z NIKiDW”, dzieci i młodzież z gmin Obryte i Jednorożec miały okazję spędzić dwa

tygodnie pełne inspirujących zajęć artystycznych, rękodzielniczych i tanecznych.

W Obrytem dzieci uczestniczyły w warsztatach rękodzielniczych prowadzonych przez Halinę Witkowską oraz Emilię Fornalską – doświadczone instruktorki i pasjonatki sztuki ludowej. Uczestnicy, z dużym zaangażowaniem i kreatywnością, tworzyli m.in. wycinanki, ozdoby z bibuły, haftowane zakładki do książek, a także prace inspirowane tradycyjnym wzornictwem regionalnym. Każdego dnia powstawały nowe dzieła, które były nie tylko wyrazem dziecięcej wyobraźni, ale także formą poznawania lokalnej kultury i dziedzictwa. Równolegle odbywały się zajęcia taneczne prowadzone przez Bartosza Wójcika. Dzieci z entuzjazmem uczyły się podstaw tańców kurpiowskich – charakterystycznych dla regionu, z którego pochodzą.

W Gminnej Bibliotece Publicznej w Jednorożcu również panowała twórcza atmosfera. Warsztaty rękodzielnicze poprowadziły Wiesława Bogdańska oraz Elżbieta Prusaczyk. Pod ich czujnym okiem uczestnicy wykonywali prace inspirowane ludowymi motywami i poznawali różnorodne techniki twórcze. Dużym zainteresowaniem cieszyły się także zajęcia taneczne, które w Jednorożcu prowadził Jacek Wójcik. Pod jego kierunkiem dzieci poznawały kolejne kroki tradycyjnych tańców kurpiowskich, a także uczyły się współdziałania w grupie i występowania w rytmicznych układach.

Wakacje w Krasnogrudzie i Krasnopolu

Podczas zajęć zorganizowanych w Krasnogrudzie uczestnicy mieli okazję zanurzyć się w świecie kultury ludowej Suwalszczyzny, biorąc udział w licznych warsztatach prowadzonych przez doświadczonych twórców i artystów ludowych. Poznawali tajniki plecionkarstwa z Adamem Pliszko, tkali własne zakładki pod okiem Sabiny Knoch i Grzegorza Litwina, zgłębiali wiedzę o ziołach i tworzy-



Ogólnopolski Nadbużański Festiwal Muzyki, Tańca i Śpiewu Kurpiowskiego, fot. Marta Król



Wakacje z NIKiDW w Krasnogrudzie i Krasnopolu, fot. z archiwum NIKiDW

li naturalne gobeliny z Mariolą Mitros-Wolską. W ramach warsztatów ceramicznych, prowadzonych przez Helenę Grygutis, lepili naczynia metodą wałeczkową. Z Kołem Gospodyń Wiejskich „Żegary” wypiekali litewskie kibiny i podlaskie racuchy, a z Urszulą Wasilewską zgłębiali tajniki wzornictwa suwalskiego. Robert Śliżewski wprowadził uczestników w świat tańców ludowych, natomiast Emil Kulbacki – w tradycyjne pieśni. Całość dopełniły gry i zabawy ludowe prowadzone przez Małgorzatę Makowską z kapeli Kanka Franka. Łącznie w warsztatach wzięło udział ponad 40 uczestników!

Zajęcia w Krasnopolu rozpoczęły się równie twórczo i radośnie – podczas warsztatów plecionkarskich, prowadzonych przez Adama Pliszko,

uczestnicy własnoręcznie wykonali koszyczki. Następnie, pod czujnym okiem Małgorzaty Makowskiej z kapeli Kanka Franka, poznali dawne instrumenty ludowe. Zaproponowano także gry i zabawy tradycyjne, które dostarczyły uczestnikom mnóstwo radości. Był też czas na kolejne warsztaty zielarskie, tańce i śpiewy ludowe, ceramikę, wzornictwo suwalskie, a także kulinarną niespodziankę – warsztaty, podczas których przygotowywano tradycyjne soczewiaki.

„Wakacje z NIKiDW” to inicjatywa, która pokazuje, że wakacyjny czas może być nie tylko odpoczynkiem, ale także okresem twórczego rozwoju i kontaktu z kulturą ludową.

Red. Kamil Pawłowski

Kazimierskie granie

Patronat medialny



Wręczenie nagród, fot. Rafał Karpiński

W dniach 27–29 czerwca w Kazimierzu Dolnym odbył się 59. Ogólnopolski Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych. To prestiżowe wydarzenie od dziesięcioleci ściąga na kazimierską scenę najwybitniejszych wykonawców muzyki ludowej z całej Polski.

Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym to największe wydarzenie poświęcone autentycznej muzyce ludowej. Jest organizowane nieprzerwanie od 1966 roku. Przegląd o charakterze konkursu prezentuje twórczość muzyczną artystów ludowych, w ich pierwotnym, nieprzetworzonym kształcie. Celem Festiwalu jest ocena, dokumentacja i ochrona tradycyjnego repertuaru, stylu muzykowania i śpiewu ludowego zachowującego gwarę regionów etnicznych, grę na unikatowych instrumentach ludowych oraz popularyzację i ożywianie tych tradycji w społeczeństwie.

W tym roku na Kazimierskim Rynku wystąpiło około 600 artystów z niemal całej Polski. Artyści konkurowali w sześciu kategoriach muzycznych: kapele, zespoły śpiewacze, soliści-instrumentaliści, soliści-śpiewacy, mistrz i uczeń – instrumentaliści, mistrz i uczeń – śpiewacy. Mimo zmiennej pogody publiczność szczerze wypełniała widownię przed sceną oraz stoliki

okolicznych kawiarni. Wydarzeniu towarzyszyły Targi Sztuki Ludowej, pokazy, warsztaty, dyskusje i spotkania oraz potańcówki. Tradycją Festiwalu stały się wieczorne koncerty gwiazd. W tym roku zagrali m.in. zespół WoWaKin, i Trebunie Tutki&Miroslav Rajt wraz z Krzesimirem Dębskim.

Nagrody Główne „Baszty” w poszczególnych kategoriach otrzymali:

- W kategorii Kapele: Kapela Ludowa „Trzcinicoki” z Trzcinicy (woj. podkarpackie).
- W kategorii Zespoły Śpiewacze: Zespół Śpiewaczy „Dobryna” z Białegostoku (woj. podlaskie) oraz Zespół Śpiewaczy „Dorbozianki” z Dorboz (woj. lubelskie).
- W kategorii Soliści – Instrumentaliści: Michał Umławski z Włoszakowic (woj. wielkopolskie).
- W kategorii Soliści – Śpiewacy: Janina Pydo z Zastawia (woj. lubelskie).

Red. Rafał Karpiński

Kiermas i Festyn Trzech Kultur w Sętalu

Patronat medialny

3 sierpnia 2025 r. na parafialnej posesji Sętala (z niem. Süßenthal, co znaczy Słodka Dolina) odbył się Festyn Trzech Kultur, urządzany od lat z okazji odpustu Przemienienia Pańskiego. Festyny były kiedyś na Warmii integralnym elementem odpustów, czyli *kiermasów*, na które zjeżdżali ludzie z bliższej i dalszej okolicy.

Tradycję *kiermasów* kontynuują organizatorzy Festynu Trzech Kultur: Stowarzyszenie Przyjaciół Sętala, Biblioteka i Świetlica w Sętalu oraz Parafia Sętal. Zaprezentowali tradycje, język i muzykę, które miały wpływ na życie ich społeczności, w tym przede wszystkim kulturę warmińską. Mieszkają w tej części Warmii, gdzie mówiło się po niemiecku – zatem można było usłyszeć piosenki niemieckie, a wśród gości spotkać przedstawicieli partnerskiej gminy Bad Laer. W regionie rozpoznawalne są wpływy ukraińskie, ponieważ po II wojnie państwo polskie przymusowo przesiedliło tu Ukraińców, a także wpływy kurpiowskie, bo po opuszczeniu przez Warmiaków swych domostw i emigracji do Niemiec, sprowadzali się tu osadnicy z Puszczy Zielonej i Białej.

Do udziału w wydarzeniu zostały zaproszone zespoły folklorystyczne: „Folkownia” z Olsztyna, „Kurpiowszczyzna” z Myszyńca oraz dwa zespoły z powiatu bartoszyckiego – „Wojcieszanie” z Wojciech i „Gala” z Galin. Łukasz Ruch, regionalista i propagator gwary warmińskiej, opowiadał jak się kiedyś świętowało *kiermasy* na Warmii. Była



Zespół Folkownia, fot. Leszek Kuryłowicz

licytacja rękodzieła i domowych produktów kulinarnych, z której dochód przeznaczany jest na remont murów kościelnych. We wsi znajduje się zabytkowy, neogotycki kościół św. Mikołaja z 1910 r., projektu Fritza Heitmanna.

Festyn został przygotowany przy udziale sołectw Nowe Włóki i Dąbrówka Wielka, skąd pochodzi Koło Gospodyń Wiejskich „Babeczki z Dąbróweczki”.

Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi znalazł się w gronie współorganizatorów festynu, a kwartalnik *Kultura Wsi* był jego patronem medialnym.

Red. Agnieszka Brodowska

Iłżecki Jarmark Sztuki Ludowej

Patronat medialny



Widok na scenę główną Jarmarku, fot. Damian Fużyński, archiwum Towarzystwa Ochrony i Promocji Zawodów Ginących w Iłży

10 sierpnia 2025 r. w Iłży, (pow. radomski, woj. mazowieckie) odbył się jubileuszowy XXX Iłżecki Jarmark Sztuki Ludowej. Wydarzenie organizowało Towarzystwo Ochrony i Promocji Zawodów Ginących w Iłży, a współorganizatorami byli: Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi, Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Iłży oraz Muzeum Regionalne im. Adama Bednarczyka w Iłży.

Iłżecki Jarmark Sztuki Ludowej oferował różnorodne atrakcje: (1) kiermasz wyrobów ludowych, z udziałem twórców ludowych i rękodzielników, ze stoiskami wystawienniczymi, w tym również z udziałem producentów tradycyjnych produktów spożywczych (np. miodów); (2) warsztaty dla odwiedzających, które odbywały się na stoiskach wystawienniczych twórców ludowych i/lub w wydzielonych sektorach; (3) konkurs dla Twórców Ludowych i Rękodzielników pod hasłem „Chałupnik – Spółdzielnia Pracy i Rękodzieła Ludowego w Iłży”. Kolejne części składowe wydarzenia to: (4) konkursowy Przegląd Solistów, Zespołów i Kapel Ludowych; (5) pokazy i ekspozycje rękodzieła, wyrobów inspirowanych wzornictwem ludowym; (6) koncert zespołów muzycznych Folk Kapela „Górska

Hora” i Kapela „Radomskie Muzykanty”, w ramach którego Jarmark kończyła zabawa ludowa pt. „Potańcówka nad Iłżanką”; (7) a także wydarzenie towarzyszące – II edycja Konkursu Kulinarного „Smaki Powiatu Radomskiego”, przebiegająca pod hasłem „Miód bohaterem dania”.

W tegorocznym wydarzeniu wzięło udział ponad stu (!) wystawców – twórców i rękodzielników, na scenie Jarmarku odnotowano łącznie 19 występów kapel, zespołów i solistów ludowych, a w imprezie towarzyszącej – o charakterze kulinarnym – uczestniczyło 13 Kół Gospodyń Wiejskich. Iłżeckie święto sztuki ludowej cieszyło się ogromnym zainteresowaniem. Wydarzenie wzbogaciły dodatkowe atrakcje dla dzieci m.in. w formie placu zabaw czy jazdy konnej.

Red. Rafał Zapłata

EtnoBaltica 2025

Patronat medialny

W pierwszy lipcowy weekend malownicze Swołowo ponownie stało się stolicą dźwięków, smaków i opowieści z różnych stron świata. Od 4 do 6 lipca odbywał się Festiwal EtnoBaltica – trzydniowa podróż przez muzykę tradycyjną, folkową i eksperymentalną, a także taniec, rzemiosło, śpiew i kuchnię.

Festiwal otworzył w piątek zespół „Etnos Ensemble”, a po nim sceną zawładnął energetyczny „Bum Bum Orkestar”. Sobota należała do lokalnych artystów – wystąpili m.in. kaszubska formacja „Drëszë”, trio „Chłopki” oraz „WoWaKin x 1670” i „Sw@da x Niczos”, którzy porwali publiczność folkową energią połączoną z nowoczesnym brzmieniem. W niedzielę zagrali „HrayBery”, a wydarzenie zakończyła Warszawska Orkiestra Sentymalna.

Oprócz koncertów odbywały się warsztaty rękodzieła, śpiewu i tańca, poranna joga oraz spektakl rzeźbiarski Ireny Brzeskiej. Nie zabrakło też kulinarnych atrakcji: pierogów, podplomyków, kiszzonek i domowych wypieków.

EtnoBaltica 2025 ponownie udowodniła, że tradycja może żyć, oddychać i bawić, a Swołowo stało się miejscem spotkania ludzi, kultur i emocji.

7. Festiwal Twórczości Ludowej EtnoBaltica dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury „EtnoPolska” na rok 2025.



Etno Baltica, fot. Tomasz Iwański

Organizatorzy: Gmina Redzikowo, Centrum Kultury i Biblioteka Publiczna Gminy Redzikowo, Zagroda Swołowo.

Współorganizator: Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi, Muzeum Kultury Ludowej Pomorza w Swołowie. Partner: Gospoda Spiżarnia w Kratę.

Patronat honorowy: Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Hanna Wróblewska, Wojewoda Pomorska Beata Rutkiewicz, Marszałek Województwa Pomorskiego Mieczysław Struk.

Patronat medialny: Dwójka Polskie Radio, Radiowe Centrum Kultury Ludowej, TVP Kultura, „Pismo Folkowe”, TVP 3 Gdańsk, Radio Gdańsk, GP24.pl, muzykatradycyjna.pl, „Kultura Wsi”.

Red. Katarzyna Wołoszyn

Odpust św. Rocha z błogosławieństwem zwierząt

Patronat medialny

W dniach 15–16 sierpnia Mikstat kolejny raz świętował uroczystości odpustowe ku czci św. Rocha. Od 2007 roku św. Roch jest także patronem miasta Mikstat.

Wydarzenie ma niezwykle przebieg, bo jego nieodłącznym elementem jest odbywający się od ponad trzystu lat obrzęd błogosławieństwa zwierząt. Uroczystości odpustowe gromadzą liczne rzesze parafian, pielgrzymów, ale także turystów. Przygotowania do świętowania trwają cały tydzień.

Czas wielkiego świętowania rozpoczęliśmy w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny nazywaną świętem Matki Boskiej Zielnej. W tym dniu do sanktuarium przybyła pielgrzymka weterynarzy i służb weterynaryjnych. Zgodnie z tradycją, po mszy św. sprawowanej w farze, przy dźwiękach orkiestry parafialnej procesja z Najświętszym Sakramentem, relikwiami św. Rocha, feretronami i chorągwiami wyruszyła do sanktuarium, gdzie odśpiewane zostały „solenne” nieszpory i rozpoczęły się całonocne czuwania.

Po porannej mszy w intencji rolników i hodowców zwierząt odbył się oczekiwany i gromadzący tłumy obrzęd błogosławieństwa zwierząt. Przed ks. biskupem Wiesławem Lechowiczem, który kropił wodą święconą idące wraz ze swoimi właścicielami zwierzęta, przeszło sporo koni, kotów i psów, chomiki, króliki, żółwie. Były sprawiające szczególną radość dzieciom kucyki i alpaki, ale także krowa, cielątko, papugi, kanarki, kurczaki, kura i gęś. Były i pszczoły. Na zakończenie obrzędu błogosławieństwa tradycyjnie zostały



Fot. Małgorzata Strzelec

wypuszczone gołębie. Później wiele osób udało się na odpustowy jarmark, w Mikstacie nazywany budami.

Po sumie odpustowej nadszedł czas na dalsze radosne świętowanie w gronie rodzinnym. Gwarno zrobiło się wokoło sanktuarium około godziny 18:00, gdyż ostatnim punktem uroczystości odpustowych była msza św. w intencji dzieci, podczas której zostało im udzielone specjalne indywidualne błogosławieństwo.

Red. Małgorzata Strzelec, Ks. Krzysztof Ordiniak – kustosz sanktuarium

Dzieje Centralnej Biblioteki Rolniczej

Daniel Kamiński, Elżbieta Kuriata

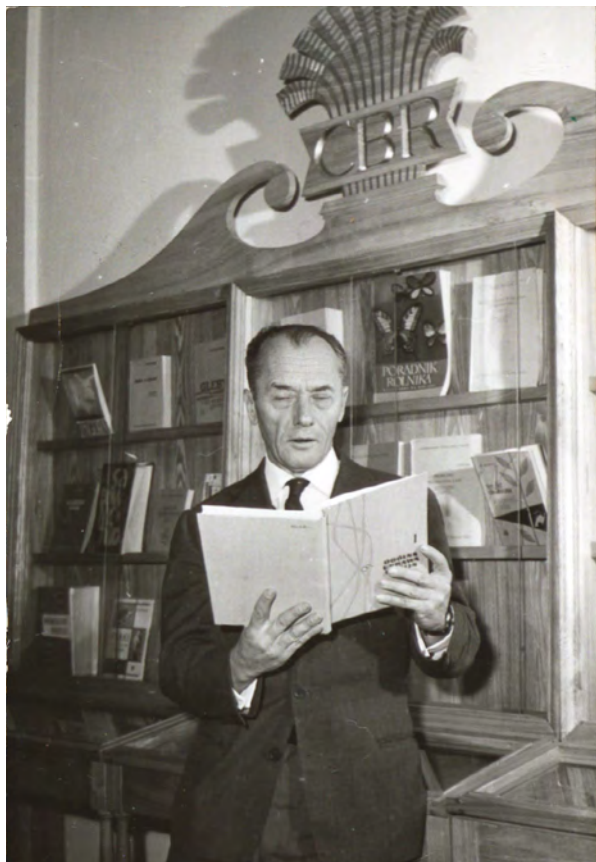


Gmach Centralnej Biblioteki Rolniczej w Warszawie ok. 1955 r., fot. Gustaw Russ, ze zbiorów NIKiDW

Centralna Biblioteka Rolnicza na podstawie statutu rozpoczęła swoją działalność 30 grudnia 1955 roku. Jej nadrzędnymi zadaniami od początku było gromadzenie dorobku polskiego piśmiennictwa rolniczego oraz podstawowych publikacji zagranicznych z zakresu rolnictwa i nauk pokrewnych. Oprócz gromadzenia piśmiennictwa fachowego statut CBR zobowiązał Bibliotekę do prowadzenia działalności informacyjno-bibliograficznej, dokumentacyjnej i wydawniczej.

CBR kontynuuje tradycje pierwszej tego typu biblioteki rolniczej w Polsce, która powstała w 1816 roku przy Instytucie Agronomicznym w Marymoncie koło Warszawy. Była to początkowo niewielka biblioteka, licząca około 200 pozycji z zakresu gospodarstwa wiejskiego, ale jak na ówczesny stan wiedzy i badań w tym zakresie, znalazły się tam wszystkie podstawowe publikacje

krajowe i zagraniczne. Drugim dyrektorem Instytutu Marymonckiego był Michał Oczapowski¹, który przyczynił się znacznie do rozwinięcia nie tylko biblioteki Instytutu w Marymoncie, ale do wzbudzenia w ogóle zainteresowania Polaków agronomią. Twierdził, że „ze wszystkich pomocy w naukach najpotrzebniejsze są książki”. Jako autor licznych publikacji z tej dziedziny przysłużył



Dyrektor Tadeusz Żeligowski w holu CBR, ok. 1970 r.
fot. ze zbiorów NIKiDW

się do rozbudowy księgozbioru Instytutu i swojego prywatnego, który w testamencie zapisał szkole. Był, obok gen. Dezyderego Chłapowskiego z Turwi, prekursorem nowoczesnego, praktycznego rolnictwa i leśnictwa. W tym czasie piśmiennictwo fachowe z tej dziedziny zostało ożywione i zaczęli z niego korzystać rolnicy – praktycy. W latach 60. XIX w. bibliotekę wraz z całym instytutem przeniesiono do Puław, gdzie w strukturach kolejnych rolniczych placówek oświatowych i naukowych funkcjonowała do 1955 roku, kiedy została włączona do nowo powstałej Centralnej Biblioteki Rolniczej.

Pierwszym dyrektorem Centralnej Biblioteki Rolniczej został Tadeusz Żeligowski, który przez następne 19 lat podejmował niemałe wysiłki, aby zgromadzić kompletny zbiór polskiego piśmiennictwa rolniczego oraz cenniejszej literatury zagranicznej z tego zakresu. Pochodził z patriotycz-

nej rodziny z Kresów. Był synem generała Wojska Polskiego, Lucjana Żeligowskiego i Tatiany Pietrowny, wnukiem po mieczu Gustawa Żeligowskiego, ziemianina i powstańca styczniowego, zesłanego na Sybir, z którego nigdy nie wrócił. Po szkole średniej w Toruniu i służbie wojskowej w Dęblinie studiował w Wyższej Szkole Mechaniczno-Technicznej im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Po pierwszym roku przeniósł się na Wydział Rolniczy Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, który ukończył w 1934 roku. Po studiach podjął pracę w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, a potem został wysłany na Bliski Wschód, gdzie brał udział w organizowaniu Wystawy Prób i Wzorów Polskiego Przemysłu w Aleksandrii, Kairze i Tel Awiwie². W kampanii wrześniowej walczył jako lotnik. Przez pewien czas był internowany w obozie jenieckim, skąd udało mu się uciec do Szwecji i dalej do Francji i Anglii. Wrócił w 1947 roku i podjął pracę w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, później w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, a w 1949 r. w Ministerstwie Rolnictwa. Po powstaniu w 1950 roku Centralnego Instytutu Rolniczego objął w nim funkcję kierownika Działu Dokumentacji i Wydawnictw. Po zawierusze wojennej CIR zajmował się porządkowaniem i gromadzeniem księgozbiorów o tematyce rolniczej. Niecały rok później, w marcu 1951 roku utworzono zespół bibliotek, w skład której weszła biblioteka CIR i rozwiązana biblioteka naukowa PINGW razem z Oddziałem Bydgoskim. Dzięki staraniom Tadeusza Żeligowskiego z bibliotek wchodzących w skład CIR powstała na podstawie uchwały nr 912/55 Rady Ministrów z 12 listopada 1955 roku Centralna Biblioteka Rolnicza z oddziałami w Puławach i Bydgoszczy. Siedzibą CBR został, odbudowany w roku 1952, dawny gmach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, przy ulicy Krakowskie Przedmieście 66.

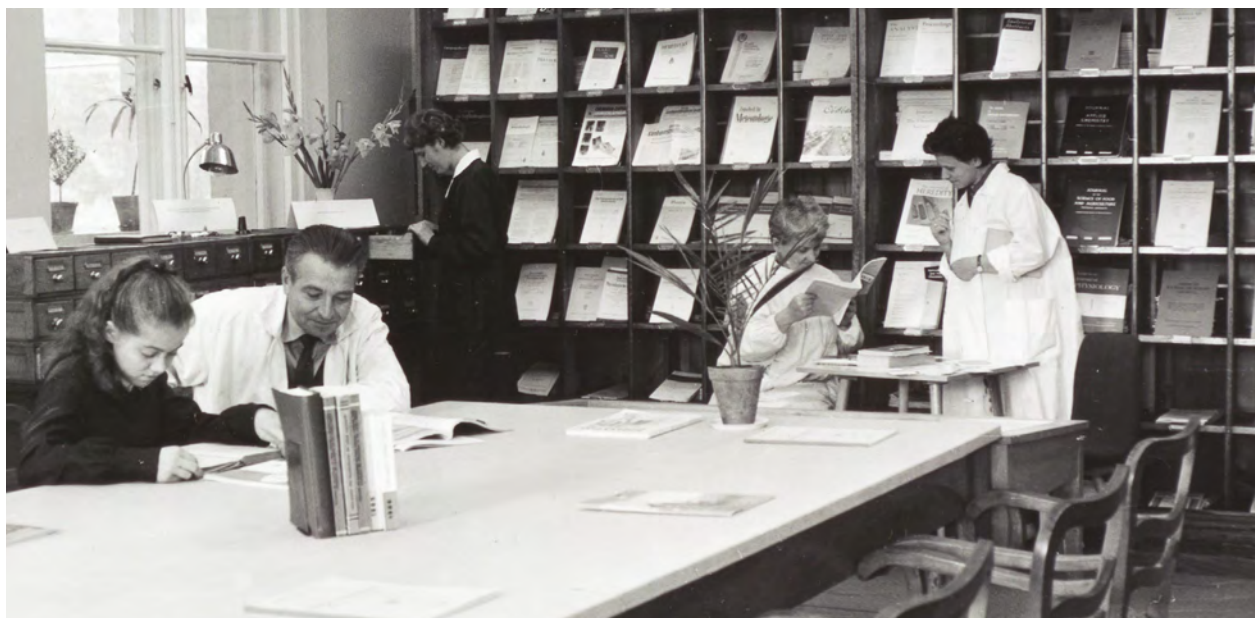
Za kadencji dyrektora Żeligowskiego zosta-

ła wyznaczona linia działania i statut Biblioteki, która odpowiadała za gromadzenie oraz prowadzenie działalności informacyjno-bibliograficznej, dokumentacyjnej i wydawniczej. Pod jego kierownictwem i przy pomocy kierownika Działu Księgozbioru i Bibliografii, Wandy Sampolskiej³ biblioteka stała się poważną placówką naukową. Żeligowski, w celu promocji biblioteki, wyjeżdżał za granicę, głównie do krajów RWPG, na liczne zjazdy i kongresy naukowe, związane z informacją naukową i techniczną w rolnictwie. W ramach stypendium naukowego Fundacji Rockefellera w 1958 i 1961 roku spędził kilka miesięcy w USA, gdzie badał stan nauki światowej w dziedzinie rolnictwa. Kiedy w 1964 roku powołano Komisję do Spraw Wydawnictw Rolniczych, zajmującą się m.in. ustalaniem planów wydawniczych, CBR pełniła funkcję sekretariatu. Nawiązywał kontakty i zapraszał na spotkania do CBR-u wybitnych uczonych, a wśród nich profesorów Jana Kielanowskiego, Emila Chroboczka, Witolda Staniewicza i innych. W okresie pracy w Bibliotece nie wahał się zatrudniać tzw. osoby niewygodne, w tym byłych ziemian, którzy w czasach komunistycznych byli zagroże-

niem dla ustroju. Wśród nich znaleźli się: Wanda Korybut-Daszkiewicz, Janusz Pstrokoński, Piotr Sobieszczański i Zygmunt Chłapowski. Otrzymywali także prace zlecone inni ziemianie, związani z działalnością AK-owską i przedwojenną dyplomacją. W 1974 roku odszedł na emeryturę, serdecznie żegnany przez pracowników, których traktował jak przyjaciół. Zmarł bezpotomnie 6 marca 1990 roku w Warszawie⁴. Pochowany jest razem z żoną, Heleną Wilson, córką dyplomaty brytyjskiego, na Cmentarzu Ewangelicko-Reformowanym przy ulicy Żytniej 42.

Dzieło zapoczątkowane przez Tadeusza Żeligowskiego z powodzeniem było kontynuowane i rozwijane przez kolejnych dyrektorów CBR.

W momencie powstania CBR księgozbiór biblioteki składał się z trzech odrębnych zbiorów: warszawskiego, bydgoskiego i puławskiego. Zbiór warszawski powstał dzięki kilku kolekcjom bibliotecznym. Oprócz biblioteki CIR do jego zasobów włączono kolekcje: dawnej Wyższej Szkoły Rolniczej z Prószkowa na Śląsku Opolskim, byłej Szkoły Pomologicznej na Ursynowie, część zbiorów Domu Radzieckiej Nauki i Kultury, Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji



Czytelnia Oddziału CBR w Bydgoszczy, ok. 1980 r., fot. ze zbiorów NIKiDW



Czytelnia CBR w Sali Odczytowej, 2004 r., fot. ze zbiorów NIKiDW

i Widowsk Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Łódzkiego i innych instytucji⁵.

Oddział bydgoski, którego historia związana była od 1903 roku z Wyższą Szkołą Rolniczą, zajmował się gromadzeniem zbiorów pod kątem potrzeb instytucji naukowych znajdujących się w tym mieście oraz regionie. W składzie księgozbioru znalazły się pozycje dotyczące rolnictwa Pomorza i Polski północnej. W czerwcu 2004 roku oddział został rozwiązany, w związku ze znacznym ograniczeniem budżetu CBR. Księgozbiór, który liczył w tym czasie 60131 woluminów częściowo przekazano Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, a resztę włączono do warszawskiego i puławskiego zasobu CBR⁶.

Oddział w Puławach, którego księgozbiór miał swe początki w bibliotece powstałego w 1816 roku Instytutu Agronomicznego w Marymoncie i związany był z późniejszą historią funkcjonowania puławskich instytutów rolniczych, kontynuował tradycje swoich poprzedniczek. Oprócz

literatury rolniczej gromadził publikacje dotyczące regionu, Puław i rodu Czartoryskich.

Oddział był placówką ogólnie dostępną, z możliwością wypożyczenia publikacji na zewnątrz lub skorzystania na miejscu w czytelni. Główną grupą użytkowników byli pracownicy Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach.

Centralna Biblioteka Rolnicza jako samodzielna jednostka podlegała bezpośrednio Ministerstwu Rolnictwa od początku funkcjonowania miała służyć szerokiemu gronu odbiorców i prężnie rozwijającemu się rolnictwu. W pierwszej kolejności przez gromadzenie możliwie kompletnego polskiego piśmiennictwa rolniczego oraz cenniejszych pozycji zagranicznych. Ważną rolę było również prowadzenie działalności informacyjno-bibliograficznej, dokumentacyjnej i wydawniczej. Ponadto CBR została koordynatorem zakupów prasy zagranicznej dla innych instytucji rolniczych oraz kierowała działaniami resorto-

wej sieci bibliotek. W 1976 r. CBR przystąpiła do Międzynarodowego Systemu Informacji Rolniczej AGRIS i zostając biblioteką depozytową ONZ do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO). Dzięki temu oraz ożywionej wymianie, głównie z krajami europejskimi, była placówką posiadającą największy księgozbiór rolniczy w Polsce. W kolejnych latach CBR zaczęła łączyć tradycyjne formy gromadzenia i udostępniania zbiorów z formami nowymi, jakimi stały się bazy danych. Rozpoczęto prace nad wdrożeniem nowoczesnego komputerowego katalogu bibliotecznego, tworzeniem własnych rolniczych baz danych: SIGŻ, SIBROL i InfoRol. W kolejnych latach odbiorcy mogli skorzystać z obcojęzycznego AGRIS-FAO, a także sieci AgroWeb Poland czy pełnotekstowych elektronicznych wersji czasopism dostępnych przez bazy SPRINGER, ELSEVIER I EBSCO. Biblioteka była też członkiem międzynarodowej sieci bibliotek rolniczych AGLINET (zrzeszającej placówki z ponad 50 krajów).

W 1998 roku CBR weszła w skład 55 bibliotek w kraju, których zbiory, w części lub w całości, tworzyły Narodowy Zasób Biblioteczny. W skład NZB weszły dwie najstarsze i najcenniejsze kolekcje: starodruki (dzieła wydane od XVI do końca XVIII wieku) w liczbie 828 woluminów i polonika XIX-wieczne liczące 8200 woluminów.

W 2004 roku rozpoczęto digitalizację zbiorów CBR, w pierwszej kolejności cyfrową wersję zyskały pozycje należące do NZB. Zbiór ten dostępny był on-line jako Rolnicza Biblioteka Cyfrowa na stronie domowej CBR oraz poprzez Federację Bibliotek Cyfrowych.

W 2005 roku CBR otrzymała imię Michała Oczapowskiego – prekursora polskich nauk rolniczych. Centralna Biblioteka Rolnicza w Warszawie z Oddziałem w Puławach funkcjonowała z powodzeniem do października 2019 r.

Zarządzeniem Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi z dnia 16 października 2019 roku powołano Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi w Warszawie, w strukturach którego znalazła się Centralna Biblioteka Rolnicza. W kolejnym roku, decyzją ówczesnej dyrekcji NIKiDW, biblioteka w Warszawie przestała istnieć, a cały zgromadzony księgozbiór, z wyjątkiem niewielkiego zbioru dotyczącego kultury wsi, został przewieziony do Puław. W praktyce cały ciężar prac bibliotecznych spadł na barki ośmioosobowego zespołu Oddziału puławskiego. Niestety spośród baz danych istniejących do czasu konsolidacji zbiorów po dwuletniej przerwie kontynuowano jedynie prace w bazie SIGŻ.

W 2023 roku dzięki powstałej w siedzibie NIKiDW w Warszawie własnej specjalistycznej pracowni rozpoczęto ponowną digitalizację najcenniejszych zbiorów. Cała kolekcja starodruków



Czytelnia CBR im. Michała Oczapowskiego Oddziału NIKiDW w Puławach, wystawa z okazji 15 sierpnia 2024 r., fot. Elżbieta Kuriata

i niektóre polonika XIX-wieczne są dostępne w bibliotece cyfrowej Polona. Sukcesywnie zasób ten powiększa się o kolejne zdigitalizowane pozycje.

CBR NIKiDW jest nadal biblioteką naukową, liczącą 380 tys. woluminów książek i czasopism. Nadal gromadzi i udostępnia literaturę rolniczą, przyrodniczą, regionalną oraz szeroko pojętego polskiego dziedzictwa kulturowego. Prowadzi również rozwiniętą działalność dydaktyczną i kulturalną, organizując m.in. lekcje biblioteczno-historyczne połączone z warsztatami introligatorskimi, konferencje, seminaria, spotkania autorskie, wystawy okolicznościowe i artystyczne.

W listopadzie 2024 roku CBR wdrożyła system biblioteczny Alma i rozpoczęła współkatalogowanie z Biblioteką Narodową. Współpraca w ramach ogólnokrajowej sieci bibliotecznej przynosi korzyści zarówno bibliotekarzom, jak i czytelnikom, którzy zyskują szerszy, szybszy i bardziej przejrzysty dostęp do katalogu biblioteki.

Czytelnicy chcący korzystać z bogactwa zbiorów biblioteki w Warszawie od niedawna mają taką możliwość poprzez nowo utworzony Dział Informacyjno-Biblioteczny, mieszczący się w siedzibie NIKiDW przy ul. Krakowskie Przedmieście 66.

Obecnie pełna nazwa biblioteki to Centralna Biblioteka Rolnicza im. Michała Oczapowskiego Oddział Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi w Puławach (CBR NIKiDW). Choć długa, łączy w sobie przeszłość i teraźniejszość instytucji nieprzerwanie, od lat służącej kolejnym pokoleniom czytelników.

Prezentowany tekst w części pochodzi z publikacji: *Historia Miejsca. Dzieje posesji przy ulicy Krakowskie Przedmieście 66 na przestrzeni wieków w opracowaniu Daniela Kamińskiego*, wyd. CBR, Warszawa 2010. Został uzupełniony o aktualne informacje.

Przypisy:

- 1 Michał Oczapowski (1788–1854), agronom, profesor Uniwersytetu Wileńskiego, dyrektor Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa na Marymoncie.
- 2 http://www.cbr.edu.pl/rme23/dane/1_1.html
- 3 Wanda z Węgorzewskich Sampolska (1906–2004) była redaktorem roczników „Bibliografii Polskiego Piśmiennictwa Rolniczego” za lata 1945–1957, które były w Polsce opracowaniem o pionierskim charakterze.
- 4 http://www.cbr.edu.pl/rme23/dane/1_1.html
- 5 Ibidem, s. 17.
- 6 Pięćdziesięciolecie Centralnej ..., op. cit., s. 17.



Elżbieta Kuriata – starszy bibliotekarz, zastępca kierownika biblioteki. Od 1988 roku nieprzerwanie związana z puławskim oddziałem Centralnej Biblioteki Rolniczej, obecnie Centralną Biblioteką Rolniczą im. M. Oczapowskiego Oddziałem NIKiDW w Puławach. Miłośniczka zwierząt, roślin i historii biblioteki puławskiej.

Nowości wydawnicze

Nabytki Centralnej Biblioteki Rolniczej im. Michała Oczapowskiego,
Oddziału NIKiDW w Puławach

Krzysztof Makijewski



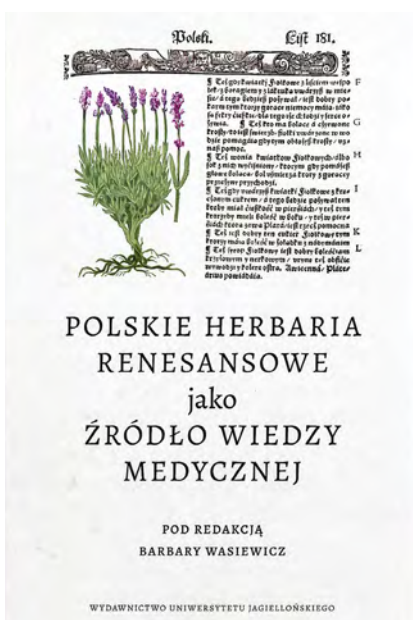
Henryk Biegeleisen

Lecznictwo ludu polskiego

Poznań 2024

Publikacja jest reprintem książki z 1929 roku. Jest to obszerne kompendium wiedzy na temat chorób, przyczyn dolegliwości, sposobów leczenia, rytuałów, zaklęć, „zamawiania” i roli guślarzy oraz czarownic.

To fascynująca podróż do korzeni polskiej tradycji medycznej. I rzadki przykład pracy, która łączy twarde dane etnograficzne z barwnym językiem i podmiotowym podejściem do narracji kulturowej. Książka podoba się historykom medycyny, kultury, folkloru, a także czytelnikom zainteresowanym dawnymi wierzeniami. Pomimo niekiedy przerażających opisów jest to bez wątpienia dzieło wartościowe – przybliża świat, w którym medycyna i magia współistniały na co dzień.

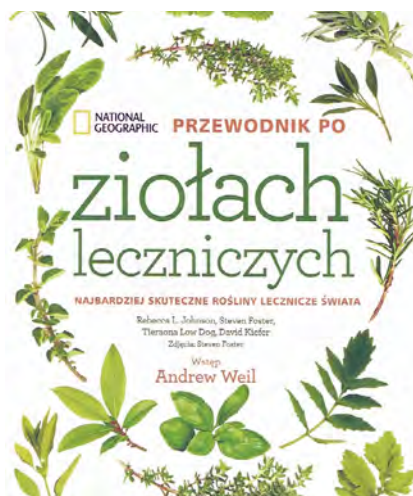


Barbara Wasiewicz

Polskie herbaria renesansowe jako źródło wiedzy medycznej

Kraków 2022

Publikacja ta jest fascynującym i oryginalnym opracowaniem, które łączy historię medycyny z historią botaniki oraz kulturą renesansu. Stanowi owoc współpracy naukowców i studentów Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, co nadaje jej charakter interdyscyplinarny, świeży i jednocześnie rzetelny. Zawiera teksty renesansowych botaników i lekarzy, w których znalazły się zarówno opisy roślin, jak i wskazówki dotyczące ich zastosowania w terapii. Co istotne, publikacja nie ogranicza się do ujęcia historycznego – każdy rozdział dotyczy konkretnego działu medycyny (np. okulistyki, kardiologii, psychiatrii, seksuologii czy dietetyki) i zestawia dawne receptury z dzisiejszą wiedzą medyczną. To pozwala czytelnikowi zrozumieć, które zalecenia naszych przodków miały sens medyczny, a które opierały się na magii, przesądach lub obserwacjach pozbawionych podstaw naukowych.



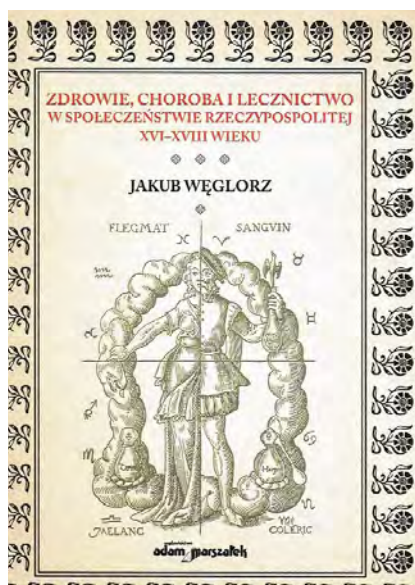
Rebecca L. Johnson, Steven Foster, Tieraona Low Dog, David Kiefer

Przewodnik po ziołach leczniczych, najbardziej skuteczne rośliny lecznicze świata

Ożarów Mazowiecki 2024

Praktyczny i bogato ilustrowany przewodnik po leczniczych właściwościach ziół z całego świata. Łączy on wiedzę botaniczną z medycyną naturalną. Autorzy – doświadczeni specjaliści – w przystępny sposób opisują właściwości lecznicze ziół, ich zastosowanie oraz bezpieczeństwo stosowania.

Książka zachwyca pięknymi ilustracjami, a jednocześnie dostarcza praktycznych informacji popartych badaniami naukowymi. To wartościowe źródło wiedzy dla osób zainteresowanych naturalnymi metodami wspomagania zdrowia.



Jakub Węglorz

Zdrowie, choroba i leczenie w społeczeństwie Rzeczypospolitej XVI-XVIII wieku

Toruń 2015

Cenne i rzetelne opracowanie ukazujące, jak ludzie epoki nowożytnej postrzegali zdrowie, chorobę i proces leczenia. Autor sięga do licznych źródeł historycznych – pamiętników, listów, traktatów medycznych – by odtworzyć ówczesną mentalność i codzienne praktyki lecznicze.

Mocną stroną pracy jest pokazanie, jak bardzo postrzeganie zdrowia było zakorzenione w kulturze i wierzeniach. Obok zaleceń lekarzy oraz uczonych autor przedstawia popularne, „domowe” sposoby leczenia, krążące między tradycją ludową a medycyną oficjalną. Szczególnie ciekawe są fragmenty dotyczące oczekiwań pacjentów wobec medycyny i tego, co uważano za skuteczne leczenie.

Węglorz nie tylko opisuje przeszłość – stawia też pytania o trwałość pewnych postaw. Lęk przed chorobą, sceptycyzm wobec medycyny czy wiara w cudowne uzdrowienia mają często zadziwiająco współczesny wydźwięk.

Styl książki jest naukowy, ale przystępny. To publikacja, która może zainteresować nie tylko historyków, lecz także lekarzy, antropologów czy pasjonatów dziejów kultury.



Krzysztof Makijewski – absolwent informacji naukowo-technicznej i bibliotekoznawstwa na UMCS w Lublinie. Od 2009 roku pracownik puławskiego oddziału Centralnej Biblioteki Rolniczej w Warszawie, a obecnie Centralnej Biblioteki Rolniczej im. Michała Oczapowskiego, Oddziału NIKiDW w Puławach.

Leon Bokiewicz – lekarz, ludoznawca Mazowsza Leśnego

Jacek Żukowski



Grupa Rekonstrukcji Historycznej Ludności Cywilnej „Rajski Ptak” z Tłuszcza prezentuje stroje włościan dawnego Powiatu Radzyńskiego, fot. Jacek Żukowski

Postać, którą chcę przybliżyć czytelnikowi w tym artykule, nie jest powszechnie znana nawet w środowisku etnologów. Leon Bokiewicz doczekał się jedynie tablicy pamiątkowej w Jadowie, mieście, w którym zmarł i został pochowany. Wszystkim chcącym poznać warunki życia na wsi panujące 150 lat temu gorąco polecam lekturę dzieł tego autora.

XIX-wieczny lekarz, absolwent wiodącej w zaborze rosyjskim uczelni, związany z dworem hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, członek korespondent Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, prowadząc swoją praktykę zawodową w Jadowie, zajmował się równocześnie pisaniem artykułów naukowych i książek. Nie zachowała się żadna podobizna Bokiewicza, ale pozostawił po sobie dwie prace, będące fachowymi opisa-

mi ówczesnego powiatu radzyńskiego, czyli znacznego fragmentu kolbergowskiego Mazowsza Leśnego: wydaną w 1861 roku *Hygienę Popularną*¹ oraz niezwykle interesujący pod względem etnograficznym *Opis powiatu radzyńskiego*². Dzieła te znacząco różnią się od pisanych przez ówczesnych humanistów. Tworzone z perspektywy praktykującego w terenie lekarza, są naturalistyczne i moralizujące – krytyczne i piętnujące



„Włościanin” z GRH Ludności Cywilnej „Rajski Ptak”
podczas klepania kosy, fot. Jacek Żukowski

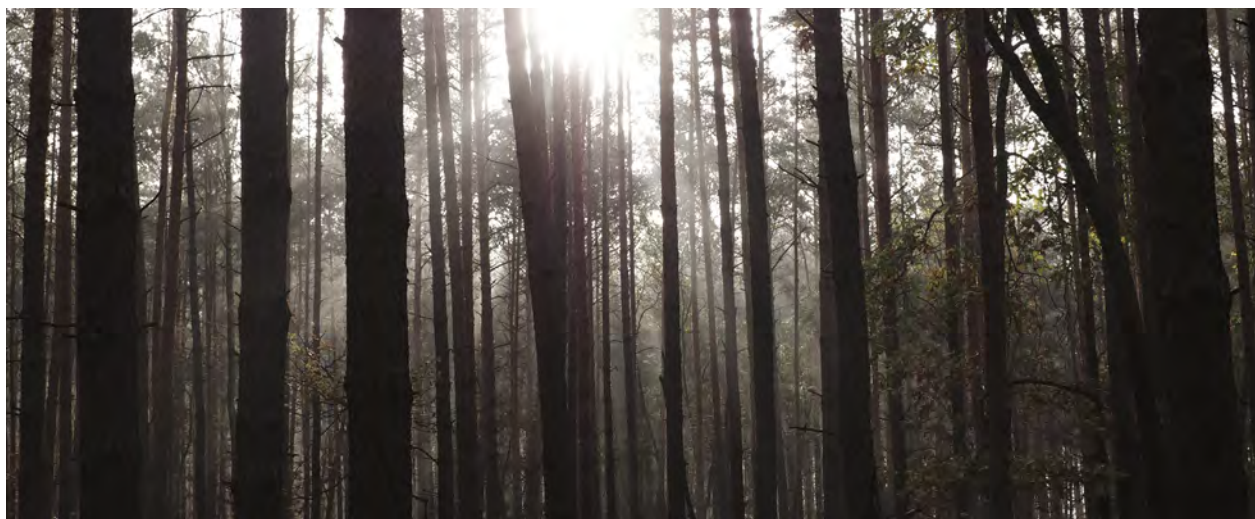
zastany przez autora kulturowy porządek. Inaczej niż pierwsi ludoznawcy, Bokiewicz nie widział we włościanach romantycznych depozytariuszy piękna rodzimej kultury, a raczej ludzi wymagających edukacji i pomocy w zmianie nawyków popartych nie nauką, a tradycją i przekazem międzypokoleniowym³. To inne podejście do tworzenia opisu powoduje, że obydwie książki są doskonałym materiałem źródłowym dla badaczy tradycyjnej kultury ludowej, gdyż autor swoje uwagi krytyczne opiera na szczegółach zaobserwowanych osobiście w terenie (wsiach i chałupach) lub stworzonych przez siebie statystykach. Przyjrzyjmy się zatem, jak jawi się tradycyjna kultura ludowa w XIX-wiecznym powieściu radzyńskim.

Dzieła Bokiewicza są wielowątkowe, użyteczność etnograficzna zawiera się między innymi w informacjach o zdrowiu i chorobie, warunkach życia oraz pożywieniu mieszkańców wsi, których w drugiej książce określa już włościana-

mi⁴. Z oczywistych powodów zawodowych autor dużo uwagi poświęca praktykom i wierzeniom związanym ze zdrowiem i chorobą. Te mają najczęściej charakter magiczny, będący odzwierciedleniem myślenia mitycznego i rozumowania w kategoriach: „podobne działa na podobne lub przeciwne odczynia przeciwne”. Bokiewicz zetknął się zarówno z praktykami szeroko rozpowszechnionymi wśród polskich włościan, jak i specyficznymi – lokalnymi⁵. Zaczniemy budzącym dzisiaj uśmiech przekonaniem o roli kołtuna w zachowaniu zdrowia i kondycji. Bokiewicz pisze o nim tak: *Zastarzały przesąd, rozliczne cierpienia przypisujący kołtunowi, niczem nie da się usprawiedliwić. Lud nasz wiejski, bez zastanowienia się, jedynie ze zwyczaju, wielką wiarę przywiązuje do nieokreślonego i niepojętego przez włościan cierpienia, który kołtunem nazywają, a który głównie odznacza się zwinięciem włosów na głowie. Aby tylko objawiły się jakiekolwiek kurcze, łamania po członkach i ból głowy, zaraz lud wiejski używa różnych środków do zlepienia i zwinięcia włosów; gdy tymczasem choroba za kołtun brana jest artrytyczna, albo goścowa, lub wreszcie zastarzała wenerya. A w takim razie przez zapuszczenie kołtuna nie tylko że w niczem cierpieniom swoim nie ulżywa, lecz jeszcze zaniedbując prawdziwą chorobę, która wielkie zniszczenie w ciele zdziałać może, naraża się na obrzydliwe plugastwo na głowie. Najusilniej tedy przestrzegamy wszystkich mieszkańców naszego kraju, a szczególnie lud wiejski, iżby nareszcie przestał tak osobliwe znaczenie nadawać kołtunowi, pokątnych i babskich rad nie słuchać; lecz iżby z wszelkiem zaufaniem w różnych cierpieniach szukał pomocy u lekarza...*⁶. Ten uniwersalny przesąd był utrapieniem lekarzy jeszcze w dwudziestolecie międzywojennym. Bokiewicz – poza kołtunem – zetknął się z *macicą* (bóle brzucha różnego pochodzenia „leczone” kroplami o różnym składzie ziołowym), *przeszkadzaniem krwi* (bóle pleców i kłopoty z poruszaniem

się „leczone” poprzez upuszczanie krwi) i najgorszym włościańskim utrapieniem zdrowotnym – *urzeczeniem* (urok mający liczne, różne objawy zależne od płci i wieku poszkodowanej osoby). „Leczenie” tego ostatniego przebiegało następująco: *...gdy urzeczenie szkodliwy wywarło już wpływ na dziecko lub dorosłą osobę, wtedy baby znające się na tem odczyniają, czyli zdejmują to urzeczenie, w powieście Radzywińskim, w następujący sposób: Do szklanki napełnionej wodą wpuszcza po jednemu trzy żarzące się węgle i za każdym wpuszczeniem odmawia Zdrowaś Marja, — po czem w tej wodzie macza koszulę mężką, jeśli urzeczona osoba jest płci żeńskiej, koszulę kobiecą, jeżeli urzeczonym jest mężczyzna, — po ukończeniu tej czynności zmaczaną koszulą obmywa twarz urzeczonej osoby. Drugi sposób zdejmowania uroków na tem zależy, iż baba osobie urzeczonej trzy razy od nóg do głowy zdmuchuje, wymawiając kilka słów po cichu...⁷. W XIX wieku dostęp do lekarza na wsi nie był powszechny, podobnie jak wiedza o istnieniu medycyny i samych profesjonalnych lekarzy. Stąd domowe sposoby wsparte pójściem do „baby” lub felczera (tak Bokiewicz określa znachorów i szarlatanów) były jedynymi przed pojawieniem się np. samego Bokiewicza sposobami radzenia sobie z licznymi przypadłościami.*

Współczesny czytelnik może być zaskoczony, jak wielką wiedzą ogólną dysponował autor. Obydwa dzieła nie odnoszą się wyłącznie do kwestii medycznych. Znajdują się w nich opisy i porady z zakresu geografii, statystyki, budowlanki, planowania przestrzennego, socjologii, rolnictwa, biologii, a nader wszystko BHP. Wiele uwagi poświęca warunkom życia, jako mającym wpływ na zdrowie i kondycję. Pojęcia czystości i porządku mają rozmaite odzwierciedlenia w różnych kulturach. Dla wykształconego mieszczańskiego zetknięcie z „ludową czystością” było pewnym szokiem kulturowym. Autor daje upust tym emocjom w obydwu dziełach. O porządku w chatkach mówi tak: *...Lecz samo codzienne przewietrzanie nie będzie jeszcze w stanie utrzymać wnętrza izby w warunkach dla zdrowia zupełnie korzystnych, jeżeli w ciasnem pomieszkaniu wszelkiego rodzaju śmieci, nieczystość, a niekiedy nawet odchody zwierzęce po kilka dni nie wymiatane pozostają...⁸. Wypowiedź ta jest zaledwie przedsmakiem ogromnej krytyki, jaką kilka lat później wyraził w drugiej książce: *...Ani brak jakichkolwiek wygod w mieszkaniu, ani ubóstwo wszelkich sprzętów nie dałyby się uczuć biednemu, do prostego życia przyzwyczajonemu ludowi, gdyby skromne to mieszkanie zawsze czysto, sucho utrzymane było;**



Wschodnie Mazowsze nazwano Leśnym nie bez powodu, fot. Jacek Żukowski



Bug wyznacza północną granicę Mazowsza Leśnego i Powiatu Radzyńskiego. Po drugiej stronie rzeki zaczynają się Kurpie Białe, fot. Jacek Żukowski

*lecz na nieszczęście ta cnota, a raczej powiedzieć ten obowiązek niezaprzeczony wpływ na zdrowie mający, jest po większej części w wielkiem u ludu wiejskiego i miejskiego zaniedbanu. Wszędzie prawie po wsiach i miasteczkach widać w mieszkaniach i około osób brud, nieporządek i zanieczyszczenie...*⁹. Urodzony w dużym mieście (Lublin), wykształcony w ówczesnych metropoliach (Moskwa, Warszawa) i obracający się w towarzystwie arystokratów, autor miał dostęp do najnowszych rozwiązań technicznych i wiedzy naukowej. Był przyzwyczajony do zupełnie innych warunków życia i podejścia do czystości i uważał to za standard. Pomimo upływu ponad 150 lat wiele porad autora jest aktualnych. Technologie się zmieniły, ale ogólne zasady, np. utrzymania czystości, pozostają te same.

Dzisiejsza medycyna wskazuje na codzienną dietę jako sposób utrzymania zdrowia i dobrej kondycji. Bokiewicz w pierwszej pracy stworzył poradnik dobrej diety (wg ówczesnej wiedzy medycznej), a w drugiej opisał, jak wygląda żywienie włościan w powiecie. Ubolewa, że włościanie nie jedzą niczego przed pójściem do pracy, a śniadanie jadają dopiero w polu. Najpopularniejszym i ulubionym daniem śniadaniowym były ziemniaki z mlekiem „słodkim” – świeżym lub

„kwaśnym” – zsiadłym. Wczesnym popołudniem jedzony był w chałupie obiad w postaci barszczu, ziemniaków, kaszy i razowego chleba. Wieczorna kolacja składała się z ziemniaków ze skwarkami lub barszczu z chlebem. Autor podkreśla, że dieta ta jest prawie wyłącznie roślinna, ale... *Odmiana w potrawach nie częsta bywa, w miejsce barszczu kapuśniak lub zupa z dyni, niekiedy z grochu, którego jak w ogólności wszystkich jarzyn włościanie nie lubią...*¹⁰. Wskazując na jej jednorodność i małą pożywność, przekonuje do korzystania z jarzyn, mięsa, jaj, ryb i innych przetworów mlecznych, np. sera. Zdaje się nie brać przy tym pod uwagę statusu majątkowego włościan i przypisywać powyższą dietę wyłącznie tradycji i wyborom smakowym. Dodaje, że w czasie świąt i uroczystości rodzinnych schemat diety ulega zmianom, pojawia się mięso, rosół i placek. W niedziele i święta na stole zdarza się wieprzowina, wołowina i baranina. Latem i jesienią urozmaiceniem są jagody, grzyby i różne owoce. W Wigilię jedzono ryby (szczupaki, liny i inne), a w czasie postu chętnie sięgano po śledzie, które były jedynymi rybami morskimi w diecie. Co ciekawe, drób i rosół przeznaczone były dla chorych. A z jaj jadano tylko te ugotowane na twardo. Bokiewicz zauważa, że

ludność żydowska ma zdecydowanie lepszą dietę oraz większą dbałość o jakość i smak potraw. Na koniec warto dodać, że autor zwraca też osobno uwagę na napoje. Píše o jakości wody, która była głównym napojem na wsi. Krytykuje napoje wyśkokowe, w szczególności piętnując wódkę i jej pochodne. Uważa, że piwo jest napojem o wiele lepszym i bardziej wartościowym dla mieszkańców wsi: *...Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby lud nasz wiejski zamiast rozpalającej i szkodliwej dla zdrowia gorzałki, gwoili swego pragnienia i uraczenia gościnnego sąsiadów, większą skłonność do piwa okazywał i pierwszeństwo mu przyznawał...*¹¹. Ucieszyłby się pewnie z faktu, że we współczesnej Polsce to właśnie piwo stało się pierwszym wyborem konsumentów. Ta zmiana kulturowa o podłożu obyczajowym i ekonomicznym w czasach Bokiewicza była trudna do wyobrażenia, sam autor pisał bowiem tak: *...Piwo w ogólności a zwłaszcza zwyczajne niebardzo jest lubiane przez włościan, dla tego bez wątpienia, że nie tak prędko rozgrzewa i odurza jak gorzałka, że mała ilość ostatniej rozwesela humor, że piwo wreszcie więcej*

*kosztuje, jak wódka, gdyby kto chciał piwem w podobny sposób uraczyć się...*¹².

Podsumowując zebrane wiadomości, tradycyjna kultura ludowa w powiecie radzywińskim, czy szerzej Mazowsza Leśnego, w pracach Bokiewicza jest przedstawiona jako relikw przeszłości, wymagający wprowadzenia pilnych zmian kulturowych w celu poprawy jakości życia i zdrowia mieszkańców. Jest to zupełnie inny sposób przedstawiania ludu niż w pracach ludoznawców i późniejszych etnografów, którzy starali się tworzyć opisy pozbawione subiektywnych ocen. Często też pomijające pewne wstydlive lub nieobyczajne fakty. Książki Leona Bokiewicza na tym tle jawią się jako niezwykle ważne źródła porównawcze, uzupełniające „miodne” opisy etnograficzne o przysłowiową łyżkę dziegciu i dodające przedstawianemu terenowi i okresowi historycznemu realizmu. Uważam, że dla etnologów i mieszkańców Mazowsza są lekturą obowiązkową. Cieszy fakt, że dostępne są w całości w Cyfrowej Bibliotece Narodowej POLONA. Zachęcam do lektury.

Przypisy:

- 1 L. Bokiewicz, *Hygiena Popularna, czyli nauka zachowania zdrowia, dla ludu wiejskiego*, Warszawa 1861 (drugie wydanie 1870).
- 2 Tenże, *Opis powiatu radzywińskiego pod względem topograficzno-historycznym, statystycznym, higienicznym i lekarskim*, Warszawa 1872.
- 3 Przekonanie to wyrażone jest już w pierwszych zdaniach wstępu do *Hygieny*, gdzie autor pisze: Wpłynąć na ogólną poprawę ludu wiejskiego tak pod względem materalnym, jak i maturalnym, wskazując mu sposoby uniknienia działania szkodliwych wpływów na jego zdrowie, usiłując przekonać go, iż przesady i zgbne nałogi najczęściej niekorzystny wpływ na zdrowie wywierają i poniżają rozum i godność człowieka, obok zaś wyłożenia i wskazania środków utrzymania i szanowania zdrowia, wzbudzić zamilowanie do pracy, która jest główną dźwignią polepszenia bytu naszego na ziemi — jest celem higieny dla ludu wiejskiego przeznaczanej..., L. Bokiewicz, *Hygiena...* 1861, s. 1.
- 4 Pierwsza książka powstała przed uwłaszczeniem chłopów w zaborze rosyjskim (1864). Druga kilka lat po tym wydarzeniu.
- 5 W żadnym bez wątpienia stanie nie znajdzie się tyle przesądów i przestarzałych zabobonów, co w rolniczym, czyli u ludu wiejskiego i mieszkańców małych miasteczek, wyjąwszy lud wyznania starozakonnego, którego pojęcia pod tym względem są jaśniejsze i nie tracą taką przesadą i śmiesznością, jak u jego współziomków słowiańskich; chociaż nie można przeczyć, że ludność żydowska nie tylko, że wiele miejscowych przejęła przesądów, lecz ma jeszcze i swoje własne z samej religii i zwyczajów wypływające..., L. Bokiewicz, *Opis powiatu...*, dz. cyt., s. 191.
- 6 L. Bokiewicz, *Hygiena...*, dz. cyt., s. 34.
- 7 L. Bokiewicz, *Opis powiatu...*, dz. cyt., s. 197–198.
- 8 L. Bokiewicz, *Hygiena...*, dz. cyt., s. 51–52.
- 9 L. Bokiewicz, *Opis powiatu...*, dz. cyt., s. 104–105.
- 10 Tamże, s. 109.
- 11 L. Bokiewicz, *Hygiena...*, dz. cyt., s. 105.
- 12 L. Bokiewicz, *Opis powiatu...*, dz. cyt., s. 144.

Wybuch II wojny światowej w pamiętnikach chłopskich

Elżbieta Osińska-Kassa



Wieluń. Zniszczenia centrum miasta z 1 września 1939, zdjęcie ze zbiorów Muzeum Ziemi Wieluńskiej
źródło: Wikimedia, domena publiczna

W tym roku mija 86. rocznica wybuchu II wojny światowej. Bogactwo pamiętników, zwłaszcza napisanych przez mieszkańców wsi, zgromadzonych w Centralnej Bibliotece Rolniczej skłoniło nas do uczczenia tej rocznicy poprzez publikację fragmentów pamiętników Walentego Jareckiego *W opłotkach Osjakowa* opisujących wybuch wojny i pierwsze miesiące jej trwania. Zostały one umieszczone w książce z cyklu *Wspomnienia chłopów z lat 1939-1945*, tom *Reduty wiejskie*, wydawnictwo Książka i Wiedza, 1969.

Pamiętniki mają wielki urok i są wysoko cenione przez czytelników i historyków. Dają możliwość niemal bezpośredniego obcowania duchowego z ludźmi, poznawania ich myśli i opinii, a także zwierzeń o nich samych. Pozwalają czytelnikowi nie tylko poznać przeszłość, ale

także wczuć się w wydarzenia opisywane przez naocznych świadków.

Walenty Jarecki

W opłotkach Osjakowa

Kiedy kładłem się spać 31 sierpnia, nawet nie

pomyślałem, że obudzą mnie huki i brzęczenie szyb. Kilka dni przedtem wyszło zarządzenie: zasłaniać wszystkie okna, żeby światła nie było widać.

1 września 1939 roku zerwałem się o piątej rano. Obudziły mnie huki i drżące w oknach szyby. Ojciec stał przed oknem i patrzył w górę na samoloty. W pierwszej chwili nie było jeszcze popłochu, bo nikt nic dokładnie nie wiedział, co się stało. Szybko jednak zorientowali się ludzie, że to niemieckie samoloty i że to właśnie rozpoczęła się wojna. Widać było, jak z samolotów spadały bomby, które wybuchały ze strasznym hukiem.

Te głośne huki, wybuchy, od których trzęsły się szyby – to właśnie bombardowanie Wielunia, miasta powiatowego, oddalonego od Osjakowa o dwadzieścia kilometrów. Wieluń pierwszy padł ofiarą hitlerowskich bombowców. Bombardowanie tego miasta rozpoczęło się właśnie o godzinie piątej rano. Wtedy to Niemcy przekroczyli granicę, przeszli przez Prosnę i szybko zaczęli iść w głąb polskich terenów.

Wieluń – jedno z pierwszych miast Polski rozwalonych przez hitlerowskie bombowce – został zniszczony prawie w siedemdziesięciu pięciu procentach. Waliły się i paliły w tym mieście nie tylko domy, ale także szpital, kościół i inne obiekty, urzędy i instytucje. Ludzie uciekali w wielkim popłochu na wschód. Uciekali boso, w koszulach, jak kto zdążył i jak mógł, zostawiając cały dobytek i rzeczy wszystkie na pastwę losu. Uciekali nawet ranni. Tylko ci zostali w gruzach, którzy już nie żyli lub którzy o własnych siłach iść nie mogli. To było straszne przeżycie dla ludzi. Nawet ci, którzy tygodniami całymi leżeli chorzy w szpitalu, a teraz udało im się wymknąć z walącego się gmachu, zebrali się i o własnych siłach szli, byle dalej od tego piekła, od tego huku, dymu, ognia...

O godzinie piątej rozpoczęło się bombardowanie, a niedługo już pierwsi wielunianie byli

w Osjakowie. Tu się teraz zrobił ruch, wielki popłoch, zwłaszcza, kiedy ludzie zobaczyli rannych wieluniaków. Zorganizowano też natychmiast coś w rodzaju szpitala, gdzie rannym lekarze udzielali pierwszej pomocy.

Wieluniacy uciekali, jak kto mógł. Jedni rowerami, inni pieszo. Gnał ich strach, lęk – jakaś niezwykła siła. Cała szosa zatarasowana była ludźmi. Niektórzy zatrzymali się w Osjakowie na pewien czas, aby odpocząć, inni, bardziej wystraszeni, szli dalej na wschód szosą wiodącą do Piotrkowa.

Najbardziej zmartwiona była moja ciocia Antosia, siostra mojego ojca, bo nie wiedziała, co się stało z jej narzeczoną, który mieszkał wtedy w Wieluniu. Ślub miał się odbyć wkrótce, a tu masz ci los! Kto wie, czy on żyje?... Tyle ludzi już jest z Wielunia, a jego wciąż nie ma. Zjawił się wreszcie i on. Przyszedł lekko ranny w czoło, zziębnięty, wystraszony, skrwawiony. I on to właśnie był przyczyną, że w domu naszym zaczął się ruch. Trzeba uciekać. Byle dalej na wschód, byle dalej.

Zostawiliśmy dom i wszystko w nim na pastwę losu. Mieliśmy ze sobą rower-damkę cioci Antosi – który ja prowadziłem – obładowany pakunkami i tobołami. Każdy z nas, a było nas z cicią i jej narzeczoną aż pięcioro, dźwigał coś na plecach. Nawet moja malutka siostrzyczka, którą mama trzymała za rękę, niosła swoją lalkę. – Po co ta lalka? – narzekała ciocia. – Trzeba było ją zostawić... Ale moja siostrzyczka płakała i nie chciała zostawić lalki.

Podczas naszej ucieczki zatrzymaliśmy się na chwilę na łące Icka (to taka łąka niedaleko od naszego domu, która wtedy była własnością Żyda Icka). Wtedy właśnie widziałem, jak pani naczelnikowa poczty wraz ze swoim synem bronili się przed gazem. Mieli z sobą duże białe prześcieradło. Gdy samoloty niemieckie przelatywały nad nami, wtedy syn pani naczelnikowej poczyty maczał w rowie prześcieradło i tym mokrym prześcieradłem owijał matkę i siebie. Wyglądało



Okładka książki „Wspomnienia chłopów z lat 1939–1948. Reduty wiejskie”, opracowanie zbiorowe, Książka i Wiedza 1969

to bardzo śmiesznie, ale nikt się wtedy nie śmiał. Tak ludzi przecież uczono robić krótko przed wybuchem wojny, podczas różnych odczytów i pogadanek. Ludzie bali się najwięcej gazu trującego. O bombach burzących niewiele się słyszało. A teraz właśnie nie gazowe, ale burzące bomby leciały z samolotów. Co chwila – to wybuch.

Na łące Icka nie było wcale bezpieczniej niż w domu, więc poszliśmy w słoneczniki i tam przeleżeliśmy kilka godzin. Ale wystraszona ciocia i jej narzeczonzy wciąż namawiali mego ojca, żeby iść dalej, bo tu lada chwila mogą być Niemcy. Zgodził się więc ojciec i przed wieczorem byliśmy już w Lesisku, to jest w takiej niedużej wiosce pod lasem, kilka kilometrów od Osjakowa. Zakwaterowaliśmy się u jednego gospodarza w stodole, bo w mieszkaniu byli już inni, którzy wcześniej

tu przyszli. Tu właśnie, w stodole, postanowiliśmy nocować. Nawet dobrze mi się spało na słomie, bo noc była ciepła. Ale rano o świcie ktoś krzyknął: – Gaz! Zerwałem się na równe nogi. Nie tylko ja. Wszyscy. Okazało się, że to nie był gaz, tylko smród z palącego się pierza. Gospodyni kurę zabiła i wrzuciła pierze pod blachę. I stąd ten dziwny zapach na podwórzu – i popłoch.

Niektórzy poszli do lasu oglądać dół, jaki zrobiła bomba, ale mnie mama nie pozwoliła. Rano po skromnym śniadaniu ojciec powiedział, że pojedzie na damce do Woli po szwagra i przyjadą wozem, to się zabierze rzeczy i pojedziemy wszyscy do Woli, bo tam na uboczu, z dala od szosy, będzie najbezpieczniej, dalej nie ma sensu iść. I tak się stało. Ojciec pojechał na damce do Woli, a myśmy czekali cierpliwie w stodole. Tak przeszedł prawie cały dzień. Ojciec zapowiedział, że mamy czekać na niego i nigdzie nie odchodzić.

Ale ludzie przynosili różne wiadomości. Straszyli się wzajemnie. Opowiadali, że Niemcy są już blisko, że kogo spotkają, to zabijają. Ciocia – wystraszona – powiedziała, że musimy uciekać stąd, nim będzie noc. Więc uciekliśmy. Doszliśmy do szosy i wsiedliśmy na wóz żołnierski, bo wojsko polskie też uciekało. Zamiast wysiąść w Mierzanowie i dojść do Woli, gdzie miał być ojciec, to myśmy dojechali aż do Ruśca. Tu mama powiedziała, że dalej się nie ruszy. Tak więc drugą noc wojny spędziliśmy w stodole w Ruścu.

Rano mama oznajmiła, że szosą nie pojedzie, wracać też nie będzie, bo kto wie, co się stało w Woli z ojcem. Może tam są już Niemcy i może ojca zabili. Postanowiła więc iść do siostry na Chrusty.

Ciocia kazała mojej małej siostrze zostawić lalkę w stodole i nie dźwigać jej dalej. Siostra płakała, ale lalkę zostawiła. Mama przykryła lalkę słomą i powiedziała, że jak będziemy wracać, to ją zabierzemy. Ale jużemy tą samą drogą nie wracali i lalka przepadła. Szliśmy na Chrusty przez las.

Po drodze mijaliśmy wioski i pojedyncze chaty, ale nigdzie już ludzi nie było. Uciekli. Więc i my uciekaliśmy coraz dalej.

W jednym mieszkaniu zobaczyliśmy nieżywego żołnierza polskiego. Leżał na podłodze. Wystraszeni tym widokiem, szliśmy coraz prędzej.

Kiedy znaleźliśmy się wreszcie u cici w Chrustach, to tam już był wielki ruch. Przygotowywano się właśnie do ucieczki.

Poszedłem za stodołę i płakałem. Tak jakoś smutno i przykro mi się zrobiło, że nie ma z nami tatusia. Kto wie, co się z nim stało? Czy żyje? Różne myśli i różne pytania przychodziły mi do głowy. Byłem zły na ciocię Antosię, że kazała nam uciekać. Przecież mieliśmy czekać na ojca.

A ojciec rzeczywiście przyjechał po nas do Lesiska wozem. Bardzo się zdziwił i zasmucił, gdy nas tam już nie zastał. Nie wiedział, gdzie nas szukać. Wrócił więc do Woli i tam przebywał przez najgorszy czas. Martwił się przy tym strasznie o nas.

A myśmy uciekali. Pamiętam, włożyliśmy na furę swoje tobołki i szliśmy za nią całą noc. To już była trzecia noc wojny. Moja siostra siedziała

na wozie, bo była malutka, a ja musiałem razem ze starszymi iść za furą. Tylko od czasu do czasu udało mi się niepostrzeżenie uwiesić u woza, ale koniom było ciężko, bo był załadowany, więc mnie spędzano.

Tych wozów jechało bardzo dużo, jeden za drugim. A ludzi szło jeszcze więcej. Jedni pędzili krowy i owce, inni prowadzili dzieci za ręce. To była taka strasznie smutna pielgrzymka. I nikt nie wiedział, gdzie idzie. Byłe dalej, byłe dalej na wschód...

Całą noc tak wędrowaliśmy. Całą noc przez las. To musiał być duży las. Mosty na rzekach zniszczone. Przechodziliśmy brodem przez wodę. Bywało, że konie stawały na środku i trzeba było pchać wóz, żeby wydostać się na drugi brzeg. Noc była ciepła, cicha. Nie słysząc ani strzałów, ani wybuchów, ani nawet warkotu samolotów, naprawdę idealna cisza. Tylko turkot furmanek i odgłosy kroków oraz rozmawiających ludzi. Czasem krowa zaryczała. Czasem ktoś krzyknął na konie. I tak przez całą noc. Nawet zdrzemnąłem się kilka razy na wozie, gdy udało mi się nań wskoczyć niepostrzeżenie.



Główny most w Osjakowie po inwazji niemieckiej, 4 września 1939 r., źródło: Wikimedia, CC 4.0

Wczesnym rankiem znaleźliśmy się na skraju lasu. Tu zatrzymaliśmy się. Nazbieraliśmy suchego drzewa i rozpaliliśmy ognisko. Gotowała się woda na herbatę. W pobliżu był dwór i stało kilka stogów. Gospodarze poszli do nich po siano dla koni.

Czy to można tak brać bez pytania, przecież to kradzież? Ale cóż, wojna... Konie zmęczyły się. Trzeba je napaść.

Herbata nie smakowała mi. Nie mogłem jej pić. Czuć ją było dymem. Jadłem więc tylko chleb na sucho. Dopiero ciocia przyniosła mi trochę krowiego mleka. Ale tylko trochę, bo mleko było dla małych dzieci.

Po krótkim odpoczynku znowu ruszyliśmy w drogę. Tym razem do najbliższej wioski. Jeśli się nie mylę, to ta wieś nazywała się Wygietzów. Właśnie w niej zatrzymaliśmy się. I tu doszło do sprzeczki pomiędzy moją mamą a ciocią Antosią. Ciocia chciała, abyśmy uciekali dalej do Piotrkowa, a mamusia nie. Sprzeczka przemieniła się nawet w kłótnię i padły wymówki, że to tylko przez ciocię jesteśmy teraz bez tatusia. Ciocia pogniwiała się na mamę. Poszła ze swym narzeczonym do Piotrkowa, a myśmy zostali w Wygietzowie i marzyli, żeby odnaleźć tatusia. Ale to nie taka prosta rzecz, bo była wojna. Znowu rozległy się strzały, huki. Znowu szyby brzęczały. Całe szczęście, że dni były ciepłe, pogodne, słoneczne, a nawet upalne. To ułatwiło nam życie w tułaczce.

Później znowu wędrowaliśmy. Przybyliśmy do wioski Chojcyny. Nie wiem, czy przez „H” czy przez „Ch” pisze się nazwę tej wioski, ale wiem, że tak się właśnie nazywała. Dziwna nazwa. Zastanawiałem się nad tym, skąd pochodzi taka właśnie.

Tu, w Chojcynach, przez jedną noc byliśmy pod ogniem. Przelatywały nad nami pociski. Przez cały czas rozlegał się huk. To była najgorsza, najstraszniejsza noc.

Tu, w Chojcynach, zobaczyłem też po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny polski samo-

lot. Ale niedługo latał. Właśnie nad lasem zaatakowały go trzy samoloty niemieckie. Spadł ten polski samolot na wierzchołki drzew. Niemieckie zwyciężyły go.

Front był niedaleko i z każdą chwilą przybliżał się. W nocy świeciły łuny pożarów. Paliły się domy, paliły się wsie całe. To był straszny widok.

W południe przyjechało dwóch żołnierzy polskich na motocyklu. Zaczęli się nas wypytwać o wojsko. Okazało się, że to byli przebrani Niemcy. Nawet motor był niemiecki. Tylko mundury mieli polskie. Szpiedzy!

W szóstym dniu naszej ucieczki dogonili nas Niemcy. Cóż, można było wracać do domu. Zaraz też ruszyliśmy. Ale teraz już nie przez las, lecz bliższą drogą. W czasie powrotu widzieliśmy tylko jednego trupa przy szosie. Był to zabity żołnierz polski. I widzieliśmy mogiły żołnierzy niemieckich.

Tydzień czasu trwała nasza wędrówka. Po tygodniu spotkaliśmy się z ojcem. Jaka radość, ile uciechy, że znowu jesteśmy razem! Tego nie da się opisać...

Kiedy wróciliśmy do Osjakowa, od razu zauważyliśmy, że w naszym domu ktoś podczas naszej nieobecności gospodarzył. Szmaty, bielizna na podłodze leżały zdeptane. Mama zauważyła, że brakuje wiele naszych rzeczy.

Kilka garnków znalazło się później, były u sąsiadki. Tłumaczyła się, że to Niemcy jej dali te nasze garnki.

Tak się zaczął okres okupacji. Trudno było żyć, bo nic kupić nie można. Nawet chleba. Dobrze, że zostało w domu sporo skórek chlebowych, które przez tydzień czasu zeschły się mocno, to gryźliśmy je jak suchary. Ale powoli wszystkiego zabrakło. Ludzie wyruszyli w pole. Zaczęły się wykopki, więc o ziemniaki nie było trudno. A jak były ziemniaki, to już głodu nie było.

Józef Mikułowski-Pomorski – pierwszy rektor SGGW

Tomasz Motyka



Prof. Józef Mikułowski-Pomorski, fot. ze zbiorów
Muzeum SGGW

Józef Mikułowski-Pomorski urodził się 1 lipca 1868 roku w Malicach Kościelnych w powiecie sandomierskim. Pochodził z postępowej rodziny ziemiańskiej. Jego ojcem był Władysław Teofil Mikułowski-Pomorski, matką zaś Ludwika Julia z Horochów. Rodzina cieszyła się szacunkiem wśród lokalnej społeczności, słynęła z działalności społecznej i patriotycznej. Miał dwóch braci – Stanisława i Jana. Z małżeństwa z Karolą Komorowską doczekał się dwóch córek: Felicji Rykowskiej oraz Zofii Weryhowej.

Po ukończeniu szkoły realnej w Warszawie w 1885 r., wstąpił na Politechnikę Ryską, która

Profesor Józef Mikułowski-Pomorski był wybitnym uczonym i organizatorem polskiego szkolnictwa rolniczego, pierwszym rektorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Stworzył nowoczesne zaplecze badawcze i łączył naukę z praktyką rolniczą, wnosząc ogromny wkład w rozwój polskiej agromonii. Swoją wiedzę i talent organizacyjny wykorzystywał także w działalności państwowej.

wówczas była jednym z ważniejszych ośrodków kształcenia rolniczego w Imperium Rosyjskim. Studiował botanikę oraz chemię rolną pod kierunkiem wybitnych profesorów: Bretfelda, Kniezima i Thomsa. Już w czasie studiów wyróżniał się zdolnościami badawczymi, pełniąc funkcję asystenta w stacji chemiczno-rolniczej u profesora Thomsa. Ta praktyka wywarła istotny wpływ na kształtowanie się jego dalszych zainteresowań naukowych.

W 1889 roku z odznaczeniem ukończył Wydział Agronomiczny Politechniki Ryskiej, uzyskując dyplom agronoma. Po zakończeniu

studiów przez cztery lata zarządzał rodzinnym majątkiem w Leszczkowie, co pozwoliło mu zyskać doświadczenie praktyczne i zrozumieć realne potrzeby rolnictwa.

W 1893 r. Mikułowski-Pomorski został powołany do pracy na stanowisku adiunkta w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach, gdzie wykładał chemię rolną. By nie poprzestać na dotychczasowej wiedzy, w latach 1894/1895 kontynuował studia w Lipsku u profesora Wilhelma Ostwalda, jednego z najwybitniejszych chemików i późniejszego laureata Nagrody Nobla, a także w zakresie fizjologii roślin u profesora Pfeffera.

Rozpoczęcie pracy w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach w 1893 roku otworzyło przed Józefem Mikułowskim-Pomorskim drogę dynamicznej kariery naukowo-dydaktycznej.

Jako adiunkt prowadził wykłady z chemii rolnej, stopniowo stając się jednym z najwybitniejszych specjalistów tej dziedziny w II Rzeczypospolitej.

Od 1900 roku, już jako profesor tytularny, wykładał gleboznawstwo, nawożenie i podstawy nauk rolniczych. Dodatkowe studia u prof. Wilhelma Ostwalda i Wilhelma Pfeffera w Lipsku pozwoliły mu wzbogacić warsztat badawczy oraz zrozumieć potrzebę łączenia teorii z praktyką. Po powrocie z zagranicy założył nowoczesną stację chemiczno-rolniczą, prowadząc liczne doświadczenia polowe. W 1909 roku powołał także stację badań nad torfami, istotnie przyczyniając się do rozwoju torfoznawstwa w Polsce.

Doświadczenie zdobyte wcześniej przy zarządzaniu majątkiem zaowocowało sprawnością organizacyjną. W Akademii Rolniczej



Grupa studentów z profesorami Władysławem Grabskim i Józefem Mikułowskim-Pomorskim
fot. ze zbiorów Muzeum SGGW

w Dublanach utworzył Zakład Chemii Rolnej i Gleboznawstwa, który stał się zapleczem doświadczalnym i dydaktycznym na najwyższym poziomie. W 1906 roku objął funkcję dyrektora Akademii, którą pełnił przez pięć lat, tworząc silny ośrodek naukowy o trwałym dorobku.

W efekcie jego działalności Dublany zyskały opinię jednego z najważniejszych ośrodków chemii rolnej, kształcąc pokolenia znakomitych naukowców.

Po opuszczeniu Dublan prof. Józef Mikułowski-Pomorski objął w Warszawie stanowisko dyrektora Kursów Przemysłowo-Rolniczych przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na Krakowskim Przedmieściu. Rezygnacja z prestiżowej funkcji dyrektora Akademii Rolniczej i przeniesienie się w mniej pewne realia stołecznego środowiska wymagały odwagi oraz wiary w idee rozwoju oświaty. Profesor, zamiast podtrzymywać ustabilizowaną pozycję, wybrał działalność na rzecz podnoszenia poziomu kształcenia wszędzie tam, gdzie istniała taka potrzeba.

Choć zakładane w 1911 roku Kursy były jedynie załącznikiem większego projektu, już wówczas Mikułowski-Pomorski dostrzegł szansę na odbudowę szkolnictwa wyższego w Polsce. Polityczne zawirowania na początku XX wieku, zwłaszcza kryzysy i rewolucja w Rosji, wzmocniły nadzieję na odrodzenie instytucji akademickich, choć działania musiały być prowadzone ostrożnie, by nie wzbudzić nadmiernego zainteresowania władz zaborczych.

Profesor, dzięki doświadczeniu w zarządzaniu i kontaktom dyplomatycznym, okazał się idealnym kandydatem do organizacji nowej placówki. Początkowo trzeba było uzyskać pozwolenia, znaleźć lokal przy ul. Miodowej, wyposażyć go w sprzęt i skompletować kadrę. Wzorując się na Dublanach, zadbano również o zaplecze praktyczne: pole doświadczalne w Wilanowie, a od 1913 roku także folwark w Chylicach. Skuteczna

organizacja i wysoki poziom nauczania przyciągały coraz liczniejsze grono słuchaczy.

Dzięki wieloletnim staraniom profesora i współpracowników w 1916 roku Kursy przekształcono w Wyższą Szkołę Rolniczą – pierwszą uczelnię agronomiczną w Królestwie Polskim. Rozwój ten ułatwiły przemiany geopolityczne, m.in. ustąpienie Rosjan z Warszawy w 1915 roku i bardziej przychylny stosunek Niemców do Polaków. Dotychczasowy dyrektor Kursów został przewodniczącym Rady Naukowej, a funkcję tę później przejął prof. Stefan Biedrzycki.

Niezależnie od zmian stanowisk Mikułowski-Pomorski zabiegał o upaństwowienie uczelni. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku udało się to zrealizować: Wyższa Szkoła Rolnicza przekształciła się w Królewsko-Polską Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Profesor powrócił do pracy dydaktycznej jako wykładowca chemii rolnej i objął zaszczytną funkcję pierwszego rektora tej nowej, państwowej uczelni.

Upaństwowienie uczelni, które nastąpiło 17 września 1918 roku, dało SGGW status szkoły publicznej, a wraz z tym opiekę państwa, nadzór ministerialny i dostęp do finansowania z budżetu. Tym samym otworzyło drogę do nauki młodzieży mniej zamożnej, wyrównując szanse edukacyjne i zmieniając oblicze uczelni.

Powstanie SGGW stało się symbolicznym dowodem odradzającej się państwowości i potrzeby budowy nowoczesnego systemu szkolnictwa wyższego w II RP. Uczelnia od początku łączyła dwa filary nauk przyrodniczych – rolnictwo i leśnictwo – nawiązując tym samym do tradycji Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie z 1840 roku. Ten model symbiotycznego kształcenia, choć z dzisiejszej perspektywy oczywisty, wówczas był nowatorski i dopiero się krystalizował, stwarzając podstawy do dalszego rozwoju nowych kierunków i dyscyplin naukowych.

Profesor Mikułowski-Pomorski, obejmując urząd rektora, szybko dostrzegł, że uczelni brakuje przede wszystkim stałej siedziby. Dlatego jednym z jego pierwszych działań było zdobycie terenu pod budowę gmachów SGGW. Dzięki jego autorytetowi udało się pozyskać działkę przy ul. Rakowieckiej na Mokotowie, gdzie rozpoczęto budowę nowoczesnych budynków zaprojektowanych przez architekta Tadeusza Zielińskiego. Prace te przypadły na okres drugiej kadencji profesora na stanowisku rektora.

Równolegle do rozwoju zaplecza dydaktycznego profesor Mikułowski-Pomorski doprowadził do pozyskania folwarku w Skierniewicach, który wraz z parkiem i pałacem stał się terenem doświadczalnym oraz miejscem działalności zakładów SGGW.

Na szczególną uwagę zasługuje także Zakład Chemii Rolnej, któremu profesor Mikułowski-

-Pomorski poświęcił ostatnie lata swojej pracy. Przyczynił się również do utworzenia Studium Agronomii Społecznej.

W całej karierze naukowej i zawodowej prof. Józefa Mikułowskiego-Pomorskiego podróż do Stanów Zjednoczonych w 1925 roku była bez wątpienia jednym z najciekawszych i najbardziej pouczających wyzwań, z jakimi przyszło mu się zmierzyć. Można z dużym przekonaniem stwierdzić, że celem jego podróży było zebranie doświadczeń i danych z innych ośrodków naukowych i rolniczych, również tych działających poza granicami kraju, z myślą o wykorzystaniu ich na potrzeby młodego, odradzającego się państwa polskiego. Profesor wykazywał dalekowzroczność, dostrzegał konieczność wymiany wiedzy między państwami, a także potrzebę nauki od społeczeństw, które osiągnęły wysoki poziom organizacji życia gospodarczego. Jego wyjazd stał się



Prof. Józef Mikułowski-Pomorski w Akademii Rolniczej w Dublinach, fot. ze zbiorów Muzeum SGGW



Uczestnicy Kursów Przemysłowo-Rolniczych, tzw. „Kursów Pomorskiego”, między rokiem 1911 a 1916
 fot. ze zbiorów Muzeum SGGW

możliwy dzięki stypendium przyznanemu przez amerykańską Fundację Johna Rockefellera.

Dla państwa słabego gospodarczo, zmagającego się ze skutkami wieloletniej niewoli i wyniszczającej wojny, możliwość korzystania z pomocy finansowej i merytorycznej Fundacji była bezcennym wsparciem, otwierającym drogę do kształcenia najzdolniejszych i najaktywniejszych.

Śladem tej wyprawy w zbiorach Muzeum SGGW zachowało się kilkanaście fotografii opatrzonych pieczęciami Departamentu Rolnictwa USA, z dopisanymi nazwami stanów, w których zostały wykonane – m.in. Luizjany, Missouri czy Północnej Karoliny. Na zdjęciach uwieczniono uporządkowane farmy, bryły domów, wozy konne oraz poletka uprawne – obrazy kontrastujące z ówczesnym krajobrazem polskiej wsi. Porównanie to uświadamia, jak duża była przepaść cywilizacyjna dzieląca Polskę od krajów dynamicznie się rozwijających.

Pobyt w Stanach Zjednoczonych, liczne obserwacje i analizy, a przede wszystkim zdobyte tam doświadczenie profesor wykorzystał w Polsce, przyczyniając się do rozwoju oświaty rolniczej. Organizował kursy, praktyki i poradnictwo, kładąc nacisk na powiązanie wiedzy akademickiej z realiami codziennej pracy w terenie. Uważał, że w tym celu niezbędna jest ścisła współpraca uczelni przyrodniczych z praktykami – instruktorami. Podobne przekonania żywił także prof. Michał Oczapowski – dyrektor Instytutu Agromicznego w Marymoncie. Symbolicznym potwierdzeniem wspólnoty tych idei jest medal wybity z okazji jubileuszu 170-lecia tradycji SGGW w 1986 roku, na którym obok siebie umieszczono wizerunki obu wybitnych reformatorów i pionierów nowoczesnej nauki rolniczej.

Równoległe z działalnością naukową prowadził ożywioną aktywność polityczną. W 1917 roku został wicemarszałkiem Tymczasowej

Rady Stanu, a po jej rozwiązaniu przewodniczącym Komisji Przejściowej. W pierwszym rządzie Rady Regencyjnej kierowanym przez Jana Kucharzewskiego pełnił funkcję ministra rolnictwa i dóbr koronnych. Był również wicemarszałkiem Rady Stanu. Po 1921 roku związał się z Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego – początkowo jako dyrektor Departamentu Nauki i Szkół Wyższych, następnie jako minister (1926 r.). W kolejnych latach piastował funkcję dyrektora Departamentu Oświaty Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa (1928–1930).

W 1929 roku SGGW przyznała mu tytuł doktora *honoris causa*, co było wyrazem uznania dla jego zasług dla rozwoju nauk rolniczych. W tym samym roku analogiczne wyróżnienie przyznał mu Uniwersytet Poznański.

Mikułowski-Pomorski był także aktywnym członkiem wielu towarzystw naukowych i społecznych: m.in. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Towarzystwa Popierania Polskiej Nauki Rolnictwa i Leśnictwa, Centralnego Towarzystwa Rolniczego czy Akademii Nauk

Technicznych. Był również członkiem korespondentem Czechosłowackiej Akademii Rolniczej i członkiem honorowym Zrzeszenia Nauczycielstwa Szkół Gospodarstwa Wiejskiego.

W 1924 roku został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. Zmarł 4 maja 1935 roku w Warszawie. Spoczywa na Cmentarzu Powązkowskim (kwarta 187-6-3).

Jego imię do dziś nosi budynek SGGW w kampusie przy ul. Nowoursynowskiej, mieszczący Wydział Rolnictwa i Biologii oraz Wydział Ogrodnictwa, Biotechnologii i Architektury Krajobrazu. Patronat ten kontynuuje tradycję historycznego audytorium jego imienia przy ul. Rakowieckiej, gdzie dawniej stało popiersie profesora – dziś witające gości w Pałacu Ursynowskim, siedzibie władz uczelni.

Profesor Józef Mikułowski-Pomorski na trwałe zapisał się w historii polskiej nauki i szkolnictwa wyższego jako wybitny uczony, organizator, reformator oświaty rolniczej oraz patriota, dla którego idea służby nauce i społeczeństwu była nadrzędnym celem życia.



Tomasz Motyka – muzealnik, kurator wystaw, członek ICOM Polska oraz Stowarzyszenia Muzeów Uczelnianych. Kierownik Muzeum SGGW oraz pełnomocnik Rektora SGGW ds. Kolekcji i Zbiorów Muzealnych. Interesuje się sztuką, historią, a także zarządzaniem zasobami muzealnymi w strukturach akademickich. Jako kurator stawia na immersyjność i ponadczasowość wystaw.

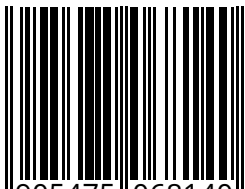


NIKiDW

NARODOWY INSTYTUT KULTURY
I DZIEDZICTWA WSI

Cena 18 zł (w tym 8% VAT)

NIKiDW Kwartalnik Kultura Wsi



5 905475 068140 >

KULTURA WSI

Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi
www.nikidw.edu.pl

ul. Krakowskie Przedmieście 66, 00-322 Warszawa
tel. 22 380 98 10, tel. 22 380 98 00
e-mail: sekretariat@nikidw.edu.pl
Dział Promocji i Komunikacji: promocja@nikidw.edu.pl

Facebook: Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi
Twitter: @NarodowyI
Instagram: folkodnowa

Cenralna Biblioteka Rolnicza im. Michała Oczapowskiego
Oddział NIKiDW w Puławach
ul. Czartoryskich 8, 24-123 Puławy, tel. 81 88 77 290
e-mail: biblioteka.naukowa@nikidw.edu.pl

Instytucje zainteresowane współpracą z redakcją
lub otrzymywaniem kwartalnika „Kultura Wsi”
prosimy o kontakt na adres e-mail:
redakcja@nikidw.edu.pl

Instytucja finansowana przez
Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi